Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 23 (1575) ROK XXXI 4 CZERWCA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

■ Katechetka krytykuje lekcje religii — str. 2

■ Sens legionowej epopei — str. 5

■ Niebezpieczeństwo w powietrzu, wodzie i na ziemi — str. 6

■ Kalkulator rządzi sportem — str. 15

Skandal w centrum Łodzi. Zabytki na śmietniku!

Komu zabrakło wyobraźni i kultury?

MAREK KOPROWSKI

Foto: Konrad Turowski

Gdyby 13 maja 1988 roku ktoś mi powiedział, że nazajutrz, czyli czternastego, w sobotę, cały dzień spędzę grzebiąc w śmietniku — nie uwierzyłbym w takie wredne pomówienia. Tymczasem, nie tylko ja, ale i grupa znajomych, w tym kilku kolegów dziennikarzy, a także przypadkowi przechodnie i — oczywiście — wszędobylskie dzieciaki, przeglądaliśmy kilogramy dokumentów, ksiąg i różnych przedmiotów, wysypanych wprost na ziemię pod ścianą z napisem: **„Nie wyrzucać śmieci".**

Zanim przyszedłem na miejsce wiatr, psy i dzieci rozwłóczyły papierzyska po całym prawie podwórku kamienicy **przy al. T. Kościuszki, w samym centrum Łodzi.**

Do najcenniejszych znalezisk należą: **przedwojenna monografia starego cmentarza żydowskiego w Łodzi**, ze szczegółowym opisem poszczególnych kwater (znawca tematu stwierdził, iż wie o czterech egzemplarzach unikatowej księgi, to jest więc piąta), **banknoty z łódzkiego getta zwane rumkami, mosiężna pieczęć** z napisem w języku hebrajskim, **zwoje Tory** barwnie ilustrowane, cenne **znaczki pocztowe** i stemple na kopertach, w tym cesarskie z zaboru rosyjskiego. Dokumenty, to np.: **listy z głównego rabinatu Wojska Polskiego** podpisane przez ppłk. dr **Dawida Kahane**, Głównego Rabina W.P., **korespondencja z Władysławem Gomułką, Józefem Cyrankiewiczem, Mieczysławem Moczarem**, żydowskie księgi urodzeń, wizytówki znanych osób, **listy dyplomatyczne**, korespondencja prywatna, zdjęcia, legitymacje, odezwy, apele, obwieszczenia, plakaty ręcznie wykonane po hebrajsku, **wiersze o zagładzie Żydów**, a nawet pełen swoistej poezji i dramatyzmu list miłosny, oraz mnóstwo cennych przedmiotów, godnych muzeów, bibliotek i archiwów. Znaleziono chałaty żydowskie, talesy mycki w sporej ilości, nie noszone skarpetki, buty, dużą amerykańską torbę brezentową i najrozmaitsze różności. Przyjechał fotoreporter „Kuriera Polskiego" **Konrad Turowski**, zrobił masę zdjęć, które później wraz z odpowiednim tekstem publikował w odcinkach na łamach swojej gazety. Ludzie odpowiedzialni (a właściwie nieodpowiedzialni) za ten stan rzeczy poczuli, że zrobili głupstwo.

Pojawili się również milicjanci, chcąc wlepić gospodarzowi posesji mandat za bałagan we włościach, wybronili go jednak lokatorzy znający źródło owego nieporządku.

Skąd i dlaczego skarby takie znalazły się na podwórku, z przeznaczeniem do całkowitej likwidacji przy pomocy dzielnych służb komunalnych? Szczęśliwy przypadek uchronił cenne archiwum przed zniszczeniem. Zostało jednak podzielone, kilkanaście prywatnych mieszkań jest nowym miejscem pobytu dokumentów. Oczywiście, lepsze to, niż ogień lub gnicie na wysypisku, ale **czy musiało się tak stać?**

Otóż, w kamienicy, o której mowa, opróżniono mieszkanie. Eksmitowano dobytek bowiem właściciel od wielu lat żyje i mieszka w USA, w Nowym Jorku. Zabezpieczono bogaty księgozbiór, meble, a nawet, jak wynika z protokołu, w 9 worków zapakowano makulaturę, a dokumenty w worek jeden. Na reszte zabrakło widać, worków. Wszystko wywieziono „gdzieś". To, co zostało beztrosko wywalono na podwórze. Zabrakło wyobraźni i rozumu. I nie można przerzucać winy na sobotę. W sobotę też trzeba myśleć.

Właścicielem owych dóbr jest Wawa M. Gdy mieszkał w Łodzi tytułował się tak: **Naczelny Rabin Miasta Łodzi, Rabin Krajowy Gmin Wyznaniowych Żydowskich w Polsce, Prezydent Kongregacji Wyznania Mojżeszowego w PRL, b. Rektor Wyższej Szkoły Rabinicznej „NETZACH ISRAEL"** — i nie są to jeszcze wszystkie tytuły. Starsi łodzianie pamiętają czarno ubraną postać w kapeluszu, ze zwisającymi pejsami, spacerującą alejami Kościuszki. Dziś tylko w kinie lub na zdjęciach można obejrzeć podobny obrazek.

Nie był, co prawda, zarejestrowany w odpowiednim urzędzie państwowym jako rabin, karano go nawet za bezprawne używanie wymienionych tytułów, niemniej społeczność żydowska, a przynajmniej spora część, uznawała go. W obszernych pismach do władz **Wawa M.** udowadniał swoją legalność, ostro protestował przeciwko orzeczeniom jurysdykcji — a dokumenty o tym traktujące również podniesiono ze śmietnika. Trzeba przyznać, że jest to pasjonująca lektura. W ogóle, znalezione dokumenty domagają się osobnego opracowania, i — jeśli nic i nikt nie przeszkodzi — niebawem do nich wrócimy. Są tego warte. W głowie się nie mieści, że ostatnie ślady egzotycznej dziś dla nas kultury i obyczajowości Żydów ortodoksyjnych, zostały potraktowane w tak skandaliczny sposób.

Postanowiliśmy **wraz z Konradem Turowskim**, mając identyczny pogląd na sprawę i jednaką opinię o sprawcach, wytropić i dotrzeć do autorów barbarzyńskiej decyzji. Tym bardziej, że we wtorek, 17 maja 1988 roku z rzeczonego mieszkania na 2 piętrze wyrzucano całkiem dobre regały książkowe, rozwalające się o podwórkowy beton na drzazgi. Czy nikt nie pomyślał, że można je było ofiarować jakiejś piszczącej z biedy bibliotece? A w najgorszym razie harcerzom którzy wszystko przyjmą? **Czy można tolerować wandalizm? Bezmyślność?** I niech mi nikt nie wmawia, że regały były zniszczone przed zrzuceniem z okna. Widziałem je z bliska i dotykałem. Nie tylko ja.

7

Człowiek jest bezradny wobec plotki, która zawsze może go dosięgnąć. Jedynym ratunkiem jest cierpliwość i czas.

Plotka nie ma autora

STEFANIA DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA

Plotka zawsze przekazywana jest ustnie, rozchodzi się tym szybciej im więcej ludzi interesuje zawarta w niej informacja. Jest kontynuacją „bębna plemiennego", jest „cechą gatunku homo sapiens"

Dowodem na organizowanie zbiegowisk przez plotkę i faktu, że ludzie mogą uwierzyć w najbardziej absurdalną historię jest „zaaranżowane" spotkanie z przybyszami z kosmosu w jednej ze wsi przez dwie dziennikarki z Polskiego Radia w Katowicach. Informacja o mającym nastąpić wydarzeniu przekazana poufnie jednej osobie zgromadziła setki ludzi. Uczestnicy spotkania z „kosmitami" dowiedzieli się o mistyfikacji i ta prawda nie znalazła wiary.

Oddziaływanie plotki na życie przebiega w różnym nasileniu, różna jest jej siła oddziaływania, różny zakres. Plotka może dotyczyć rozmaitych sfer życia społecznego, obejmować różne grupy i zbiorowości społeczne, może być „organizatorem" indywidualnych i zbiorowych zachowań społecznych. Może być przyczyną trudności gospodarczych, politycznych, trudności w życiu ogólnospołecznym i w życiu jednostek. Może być „organizatorem" manifestacji, demonstracji, przyczyną powstawania paniki, „organizować" tłumy nabywające, uciekające, grabiące, walczące, mordujące (linczujące).

Każdy organizator życia społecznego z łatwością dostrzeże, że grupy terytorialne, ludzie skupieni w miastach, osiedlach, wciąż bardzo żywo reagują na informacje, zarówno uzyskiwane za pośrednictwem środków masowego przekazu — jak i rozchodzące się poza obiegiem zinstytucjonalizowanym. Ludzie niezależnie od płci, wieku, poziomu wykształcenia są twórcami i przekaźnikami plotek, a absurdalność treści przekazu w żaden sposób nie koreluje z poziomem wykształcenia, zawodem czy statusem społecznym.

Informacja zawarta w plotce może być absolutnie bez sensu, a mimo to ma chętnych słuchaczy, podobnie jak „przeciek" informacji ukrywanej i „zdobytej" przez kogoś przed przekazaniem do publicznej wiadomości.

Twórcą plotki może być każdy człowiek

świadomie przekazujący jakieś informacje lub nieświadomie czynący się swoimi przypuszczeniami, które w opinii słuchacza i pośrednika stają się „faktem". Treść plotki może ulegać deformacji w czasie przekazu, ale może w sposób niezmieniony obiec znaczny obszar społecznego bytowania, objąć znaczne liczebnie zbiorowości i rozprzestrzenić się na ogromnym terytorium. Przekaźnikiem plotki może być każdy człowiek, niezależnie od płci, wieku, wykształcenia, miejsca zajmowanego w strukturze klasowo-zawodowej.

Odbiorcą plotki, podobnie jak twórcą i przekaźnikiem może być także każdy człowiek. Niejednokrotnie udowodniono, że plotka ma znacznie łatwiejszy „byt" społeczny, jest „łatwiej" przyjmowana, „chętniej" udziela się jej wiary niż niejednej naukowo udowodnionej teorii. Przykładem mogą być zachowania, które zaobserwowano po ogłoszeniu wiadomości o skażeniu promieniowaniem atmosfery w Polsce po awarii elektrowni atomowej w Czernobylu. Ktoś powiedział, że dobrze przeciwdziała absorbowaniu przez organizm jodu-132, podanie porcji jodu dostępnego w jodynie lub innych preparatach, szczególnie chroniąc przed nieprzewidzianymi skutkami dzieci. Rodzice niekiedy bez zastanowienia podawali dzieciom jodynę oraz inne preparaty, szturmowali apteki i poradnie o podanie płynu „Lugola". Kobiety ciężarne domagały się zapobiegania napromieniowaniu. Wiadomość o leku „na promieniowanie" obiegła całą Polskę lotem błyskawicy, zanim ogłoszono zasadę postępowania.

Nie mają prawie żadnego wpływu nawoływania lekarzy w Polsce, aby kobiety ciężarne, matki karmiące i w ogóle rodzice małych dzieci nie palili papierosów, bo jest to szkodliwe dla przyszłego i już narodzonego potomstwa. Można sobie wyobrazić matki podające

4

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70, 32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Marek Koprowski, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn), Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Włodzimierz Krzemiński, Zenon J Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Strvjski, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i miejscowościach gdzie nie ma odziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 23. 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — od dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 1768 S-5.

Przegląd prasy

Bardzo interesujące wspomnienia Izaaka Baszewisa Singera publikuje w odcinkach miesięcznik „ODRA" (nr 5). W dziewiątym już fragmencie pisarz relacjonuje ostre spory toczone w przedwojennej Warszawie wśród intelektualistów żydowskich.

„Izaak Deutscher, który stał się trockistą, ujawnił w swym pisemku wiele potworności stalinowskich — obozy pracy przymusowej, likwidację starych bolszewików, sfałszowane procesy oraz czystki, które pochłonęły już życie milionów niewinnych ludzi. Czy to był socjalizm? Czy taki był ideał postulowany przez Marksa, Engelsa, Lenina? Deutscher dysponował przytłaczającym dowodem, że Lew Trocki inaczej by wszystkim pokierował. Był obecny na spotkaniu w Klubie Literatów, na którym prelegentem był ów Izaak Deutscher. Staliniści usiłowali go przekrzyczeć. Nazywali go renegatem, faszystą, zdrajcą, kapitalistycznym lizusem, imperialistycznym mordercą, prowokatorem. Lew Deutscher miał potężny głos. Walił pięścią w podium, a jego trockistowscy słuchacze zachęcali go burzliwym aplauzem. Ciskał gromy na stalinistów i prawicowych socjalistów, na faszystów oraz takie rzekome demokracje, jak Ameryka, Anglia i Francja. (...)

Wśród tych, którzy przyszli na odczyt, znajdowała się Sabina i jej młodszy brat Mottel. Chociaż Sabina była nastawiona lewicowo, nie zdecydowała się jeszcze, czy jest stalinistką, trockistką, czy też anarchistką. Mottel był żarliwym stalinistą i przyszedł, by zagłuszać prelegenta i może nawet rzucić weń zgniłym ziemniakiem lub jajkiem. Mottel był niski i barczysty i miał grube usta, szeroki nos, przypominający dziób kaczki (przezywano go nawet Mottel Kaczor) i małe, przenikliwe oczy pod krzaczastymi brwiami. Był trochę komediantem. Sypał dowcipami i niedorzecznościami wywołującymi śmiech. Miał niskie czoło i strzechę czarnych jak smoła, kędzierzawych włosów. Mottel Kaczor odsiedział już wyrok w więzieniu na Pawiaku za działalność komunistyczną. Jego siostra powiedziała mi, że nosi przy sobie pistolet. Pozwalał, by utrzymywały go siostra i matka. Zadawał się z bogatymi dziewczętami, które pociągał komunizm, i brał od nich pieniądze, rzekomo na cele partyjne. Był żarłokiem i potrafił wyżłopać jeden za drugim wiele kufli piwa oraz spać bez przerwy czternaście godzin".

Niezwykle ciekawe dla biografów i czytelników mogą być wątki osobiste. Izaak B. Singer tak m.in. pisze o sobie.

„Nie byłem wysoki ani przystojny i kiepsko mówiłem po polsku. Za każdym razem, gdy spojrzałem w lustro, na widok własnej twarzy ogarniało ...nie niemal przerażenie. Resztka włosów, jaka mi została na głowie, była ruda jak ogień. Twarz była blada, a często tak biała jak twarz kogoś, kto wstał właśnie z łóżka po chorobie. Miałem zapadnięte policzki, rozpalone uszy, przygarbione plecy. Kobiety nieustannie poprawiały moją polszczyznę, zwracały mi uwagę, że mam przekrzywiony krawat, że moje spodnie wyglądają, jakby miały za chwilę opaść, i że mam rozwiązane sznurowadła. Dokuczały mi przeziębienia i choćbym nie wiem, ile miał chusteczek, zawsze były zabrudzone".

W najnowszym numerze miesięcznika wrocławskiego polecam ównież rozmowę Heleny Zaworskiej z Tadeuszem Siejakiem. Mieszka on w Chodzieży. Jest inżynierem, ma troje dzieci i liczne obowiązki domowe, pracuje na budowie (od siódmej do piętnastej), prowadzi czterdziestoosobowy klub kulturystyczny (trenuje trzy razy w tygodniu). W czasie wolnym, po kolacji (od dwudziestej do dwudziestej trzeciej) systematycznie pisze znakomite powieści.

Tadeusz Siejak stopniowo wypracował własną filozofię życia. Pomysły jego, o czym się niedawno przekonał, są zbieżne z poglądami Teilharda de Chardin. Oto fragmenty wypowiedzi:

„Moje pozytywne wnioski mogą wydawać się naiwne, ale one wywodzą się przecież bezpośrednio z filozofii chrześcijańskiej. To, co Chrystus mówił o miłości bliźniego, jest jedynym skutecznym sposobem regulowania stosunków pomiędzy ludźmi (...).

Ludzkość naturalnym swoim biegiem zdąża do wspólnoty i altruizmu. I chrześcijaństwo, i komunizm do niej dążą. Ale nasz średni poziom moralny jest jeszcze może za niski na takie dekretowanie. (...)

Z konstrukcji wewnętrznej pozostaję urodzonym wspólnotowcem. Dlatego jestem chrześcijaninem. Przy tym — nie wrogiem komunizmu jako idei społecznej. Przez czterdzieści lat ludzie tutaj przekonali się jednak, że poza wszystkimi błędami i nieporozumieniami są w tej idei również i dobre strony. Często nie zdajemy sobie z tego sprawy wprost. Może jednak z tego przedwczesnego zadekretowania, poza wszystkimi oczywistymi szkodami, pozostaną jakieś korzyści? Bałbym się precyzować to, co można nazwać jedynie odczuciem, impresją, ale pewnie żadne nasze doświadczenie nie przechodzi bez, również, pozytywnych śladów. W tym moja nadzieja, że ostatnie czterdziestolecie na naszej ziemi nie zostało zmarnowane do końca, bez tej nadziei zostaje tylko dezercja. (...)

Na Zachodzie bogactwo jest wynikiem pracy pod bardzo ścisłymi rygorami ekonomicznymi, pod kątem rywalizujących interesów. Praca i wolność we wspólnocie powinny mieć choćby inny charakter. Komunizm zaproponował coś szlachetniejszego, ale ponieważ w praktyce tak to nie wychodzi, boję się, że zrażeni, wylejemy dziecko z kąpielą. Chodziłoby zaś o to, żeby nie wracać do starego świata i wycofać się tylko o tyle, o ile jest to konieczne, nie wytracając tego, co z owej nowej świadomości wspólnotowej tu powstało. (...)

Wielu zachwyca tam jedno: mieć, mieć i jeszcze raz mieć. Tylko to, samochody, magnetofony, kasety, wideo, uczciwszy pani uszy: pierdoły. Uprzyjemniają one życie, ale przecież nie są celem i sensem".

Na temat współczesnej cywilizacji mieszczańskiej i stanu literatury krytycznie pisze w najnowszej „TWÓRCZOŚCI" (nr 3) Ernesto Sábato. Jego zdaniem, ten sam duch technokratyczny, ubóstwienie maszyny i nauki występuje na Wschodzie i na Zachodzie. Demon mechanizacji i tayloryzacji manipuluje świadomością ludzi. Stajemy się niewolnikami bezlitosnej maszyny. Niewiele brakuje, by świat, który chcieliśmy podbić, zgniótł nas do reszty.

Rewolucjonistom autor przypomina jednak, że twórcy marksizmu cenili wielką literaturę i sztukę, rozumieli konieczność przejęcia spuścizny duchowej odchodzących społeczeństw.

„Pewien głośny, dziewiętnastowieczny rewolucjonista zwany Karolem Marksem, którego nikt nie może oskarżyć o drobnomieszczańskie skłonności, recytował z pamięci Szekspira, zachwycał się Byronem i Shelleyem, wychwalał Heinego i miał reakcjonistę Balzaca za godnego podziwu geniusza. On i Fryderyk Engels ubolewali, że taki geniusz jak Goethe poniżył się filistersko i połasił na godność książęcego ministra. Nie były im obce jego ludzkie i filozoficzne sprzeczności, doskonale wiedzieli do jakiego stopnia Goethe był artystą klas wstecznych, a jednak kochali go i podziwiali, uważali, że przyczynił się do wzbogacenia światowej kultury. Piękna lekcja dla niektórych naszych, domorosłych rewolucjonistów".

Wielokrotnie w tym miejscu przytaczałem różne dane statystyczne i opinie na temat kryzysu gospodarczego, społecznego, kulturalnego, moralnego. Okazuje się, że mamy również kryzys religijny. Alarmujący artykuł Zofii Modzelewskiej ukazał się w miesięczniku katolickim „WIĘŹ"(nr 4). Autorka uczy trzeci rok katechizacji w parafii na peryferiach dużego miasta, w kilkunastotysięcznym osiedlu. Mieszkańców charakteryzuje następująco:

„Ta parafia — to idealna mieszanina społeczna: dość dostatnio żyjący robotnicy z pobliskiego, priorytetowego zakładu, którzy stroją swe córki w pierwszokomunijne kreacje z komisów, podczas gdy pielęgniarki, nauczyciele i urzędnicy pod koniec kwietnia miotają się po wypożyczalniach białych sukienek i garniturków lub dzwonią gorączkowo po znajomych. (...) Niżsi rangą wojskowi oraz milicjanci mieszkają na moim osiedlu drzwi w drzwi z ludźmi żyjącymi nie wiadomo z czego: czasem z wyjazdów do Turcji, czesem z wytrwałego obstawiania sklepów przemysłowych, czasem z wynajmu pokoju Arabom i różnym wesołym panienkom. Jest w naszej parafii trochę rolników z podmiejskich osad i sporo dzisiejszej arystokracji finansowej: właścicieli owych peryferyjnych warsztatów i drobnych wytwórni, wokół których wyrastają jak grzyby po deszczu strojne wille".

Zofia Modzelewska dostrzega ogromną przepaść między udziałem wiernych w życiu Kościoła a religijnością w życiu codziennym. Rozbieżność między deklaracjami a czynami kojarzy jej się ze schizofrenią. Podziela pogląd dziennikarzy zachodnich, że jest to naród ludzi praktykujących, ale nie wierzących. Bycie katolikiem nic dziś w Polsce nie znaczy.

Rodzice narzekają na mnożące się formy obowiązku religijnego. Ktoś ironizował, że niedługo emeryci będą musieli chodzić na nauki przedpogrzebowe. Na lekcjach religii panuje atmosfera nie lepsza niż w szkole. A efektywność nauczania jest znikoma.

„W sali katechetycznej tłok większy niż w klasie szkolnej. Czterdziestu, pięćdziesięciu rowieśników. Zachrypnięty katecheta musi krzyczeć, gdyż inaczej zaczyna się harmider i przepychanka. Lekcja religii — to często tylko modlitwa, sprawdzenie listy, odpytanie z poprzedniej lekcji, nowy temat i — znów trzeba siedzieć w duchocie, w bezruchu i tylko słuchać. Więc szturcha się w końcu tego, co siedzi obok, gra w «okręty», odrabia matmę albo pisze list do Kaśki z siódmej ce. Jak zacznie człowieka zupełnie roznosić, puszcza się dowcip, który wzbudzi uznanie tylnych ławek i zezłości katechetę. No i fajnie, wreszcie coś się dzieje. (...)

A co zostaje w głowach i sercach? Po ośmiu i dziewięciu latach nauki młodzież ma trudności z odpowiedzią na proste pytania. Jeśli nie zaskoczy jakaś klepka i nie pojawi się stosowna formuła, gubią się całkowicie. (...)

Przeciętna znajomość Ewangelii, nie mówiąc już o Starym Testamencie, jest bliska zeru. *Przykro to przyznać, ale jedynymi kompetentnymi w tych sprawach nastolatkami, jakie zdarzyło mi się spotkać, były dzieci pewnej rodziny protestanckiej oraz dziewczyna, którą matka — ateistka sama wprowadziła w «kulturę tradycyjną».*

Katechetka z dużego miasta krytykuje materiały dla katechetów za werbalizm i czystą retorykę. Młodzież śmieje się po kątach z naiwnych, umoralniających przypowiastek. Odnosi wrażenie, że etyka katolicka dotyczy wyłącznie sfery od pasa w dół.

„Po kolejnym roku katechizacji wyraźnie czuje, że były to rozmowy ze ślepymi o kolorach. Czy raczej gawędy o różach, gdy płoną lasy. Nie jest to wrażenie odosobnione. Od wielu innych katechetów słyszę, że do tej pracy trzeba jakichś niezwykłych ludzi — z charyzmą albo po prostu z batem. Z dziećmi bowiem da się jeszcze wytrzymać, przy młodzieży opadają jednak ręce (...). Oczywiście w sali katechetycznej jest zawsze tych kilkanaście jasnych twarzy, po których od razu widać, że modlą się nie tylko w niedzielę. To ci, którzy wstępują do oaz, zakładają grupy muminkowe, chodzą na pielgrzymki. Ale, tak jak w całym naszym życiu społecznym, to nie oni nadają ton. Ton nadają tylne ławki, które potężnieją z każdym rokiem. Rozparte, ironiczne, obkupione w butikach. Rośnie pokolenie, do którego nie wiadomo, jakim językiem przemawiać, czego się jąć".

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Piołun czy lukier...

Odwoływanie się do patriotycznych uczuć jest wypróbowaną metodą politycznej agitacji, mającą wyjątkowo silne podłoże emocjonalne. Zresztą skuteczność tych odwołań jest, jak wolno sądzić, w dużym stopniu niezależna od stopnia słuszności patriotycznej argumentacji, bywa bowiem często, że większe sukcesy odnosi patriotyczne pustosłowie i demagogia. O przykłady z dawniejszej i nowszej naszej historii można by się spierać...

Na długą metę jednak, dla losów kraju i narodu okazuje się owocniejszy patriotyzm gorzki, obnażający nieraz w sposób brutalny wady i przywary rozpowszechnione w narodowej społeczności, niż patriotyzm schlebiający narodowej próżności, podbijający bębenka samouwielbienia. Słowem, opowiadam się zdecydowanie za patriotyczną refleksją i niepokojem, z czym spotykamy się m.in. u Piotra Skargi, Juliusza Słowackiego, Stefana Żeromskiego, także Witolda Gombrowicza, a co pobudza do intelektualnych i moralnych przewartościowań.

Jednym z rzeczników i, powiedziałbym, praktyków tak pojmowanego patriotyzmu jest też od dziesiątków lat wybitny publicysta historyczny, autor znakomitych „Dziejów głupoty w Polsce", stale jeszcze czynny w życiu publicznym Aleksander Bocheński. Nie bez powodu przytaczam przykład Bocheńskiego, dał on bowiem znów o sobie znać dwoma wywiadami, a w jednym z nich próbował ustalić najprostsze, niejako sprawdzalne, kryteria patriotyzmu doby obecnej.

Otóż nawiązując do niedawnych strajków i do wysuwanych pochopnie żądań płacowych, zwrócił Bocheński uwagę na to, iż w tych zachodnioeuropejskich państwach, na które lubią się powoływać nasi krajowi opozycjoniści, ujawnia się w trudnych sytuacjach ekonomicznych postawa powszechnej lojalności i poparcia wobec poczynań rządu, mających na celu wybrnięcie z opresji. Na drugi plan schodzą wtedy odmienności zdań co do metod rządzenia i całe społeczeństwo, mimo dzielących je różnic politycznych, znosi bez szemrania niezbędne ograniczenia i wyrzeczenia. Ten sposób pojmowania ogólnonarodowych powinności jest w tych społeczeństwach tak już ugruntowany, że jedno z zachodnich pism o umiarkowanym obliczu politycznym napisało wprost, oceniając sytuację w naszym kraju, że Polskę nie stać jest obecnie na luksus strajkowania, lecz przeciwnie, należy popierać zaprowadzane u nas reformy.

Aleksander Bocheński usiłował wyjaśnić przed ekranem telewizora tę najprostszą prawdę, iż domaganie się wypuszczania dodatkowych pieniędzy, gdy dla tych co są w obiegu nie starcza towarów jest dla gospodarki narodowej, a więc i dla nas wszystkich niebezpieczne i szkodliwe. Właśnie w związku z tym sędziwy pisarz nie zawahał się określić działań strajkowych, podejmowanych zresztą nielegalnie, sprzecznie z ustawą, za działania niepatriotyczne.

Wyobrażam sobie doskonale, że niejeden ze strajkujących kierujących się na co dzień i od święta patriotyczną frazeologią, a nieskłonny do refleksji, mógł się poczuć dotknięty przypisaniem mu braku patriotycznych uczuć, ale przecież nie o uczuciach tu cały czas mowa, lecz o świadomych i odpowiedzialnych postawach obywatelskich, w porównaniu z którymi, żadne wymachiwanie biało-czerwonym sztandarem, żadne orły — z koroną czy bez — i żadne ryngrafy nie zastąpią logiki argumentów. A już powoływanie się w tych sytuacjach na — jakże zresztą rzadkie — działania strajkowe na Zachodzie, zakrawają na kpiny w żywe oczy. Tamtejsi robotnicy strajkując walczą o prawo do pracy!

Dla mnie zresztą najbardziej żenująca była postawa tych odłamów młodzieży studenckiej, którzy przeprowadzili solidarnościowy bojkot zajęć. Co innego przecież problemy życia studenckiego, uczelnianego, których nie znam, ale zakładam, że pozostawiać mogą sporo do życzenia i wywoływać niezadowolenie młodzieży studiującej, co innego zaś udzielenie faktycznego poparcia siłom antyreformatorskim. Bo tak trzeba określić inspiratorów strajków, a jeśli się zdało maturę i zdobywa patent na inteligenta trzeba starać się zrozumieć gospodarcze mechanizmy i potrzeby kraju.

W ślad za Aleksandrem Bocheńskim powtórzę, że słabe, niestety, są wśród naszej inteligencji tradycje myśli racjonalistycznej, oświeceniowej, pozytywistycznej. Stąd i patriotyzm znacznej części społeczeństwa staje się coraz bardziej anachroniczny, spragniony ciągle lukru i kadzidła, goniący za mirażami, szukający szczęścia w dalekich krajach...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Na ulicach było niebiesko, ale spokojnie. W drodze powrotnej elektryczna kolejka zatrzymała się przy stoczni. Na dachu stali chłopcy z flagami, a na moście stali chłopcy w mundurach. Natomiast w Sopocie, jeśli było nawet jakieś zbiegowisko, to tylko wokół Petera Konfederata — reportaż ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO.

— W pierwszych miesiącach po wyzwoleniu Grand Hotel stanowił bazę dla personelu wielu instytucji i urzędów centralnych. Niemal codziennie przebywali w nim różni dostojnicy państwowi i partyjni — o gościach i personelu łódzkiego Grand Hotelu pisze LESZEK OLEJNIK.

— Manhattan to brzmi dobrze i światowo. Nazwa przylgnęła mocno od razu, choć jest nieoficjalna. Wszystko jedno, czy jej autor był ironistą, czy snobem. Najważniejsze, że w samym centrum Łodzi umieścił kawałek Nowego Jorku. No i jest kłopot, bo Manhattan lśnić powinien, jak w Ameryce, a on tymczasem zaczął się sypać — reportaż ANDRZEJA GĘBAROWSKIEGO.

— Państwo bez względu na ustrój i panującą ideologię zmuszone jest łożyć na filharmonię, galerie sztuki, ambitny teatr. Ale przecież nie na każdy teatr, nie na każdą galerię, nie na każdą orkiestrę! Ba, nie na każdą bibliotekę, że o wydawnictwach nie wspomnę — artykuł ANDRZEJA KAROLCZAKA pt. „Kto da pieniądze na kulturę?".

— Ta książka już dawno powinna być na półkach. Nawet powinno już jej nie być. Niestety, nasze wydawnictwa nie są na tyle szybkie i pieniądze przechodzą im koło nosa — pisze TOMASZ A. WŁODKOWSKI.

— Osobiście uważam, że jestem najskromniejszą i najmniej wymagającą śpiewaczką. Na pewno jestem szalenie wrażliwa, bardzo łatwo jest mnie dotknąć, urazić i skrzywdzić. Jeżeli obdarzę kogoś przyjaźnią to do końca i bez reszty — mówi WANDA POLAŃSKA.

W hołdzie wszystkim matkom

W miniony czwartek — w Dniu Matki — w 50 miesięcy od wejścia na teren inwestycji budowlanych przekazano do użytku służbom medycznym pawilon ginekologiczno-położniczy Szpitala — Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki.

W uroczystościach, a także specjalnym posiedzeniu Rady Obywatelskiej Budowy CZMP, któremu przewodniczył **Zenon Komender** — zastępca przewodniczącego Rady Państwa, wzięli udział między innymi: **T. W. Młyńczak** — zastępca przewodniczącego Rady Państwa, przewodniczący CK SD, **J. Baryła** — członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR, **M. Janiszewski** — szef Urzędu Rady Ministrów, **J. Niewiadomski** — I sekretarz KŁ PZPR, **J. Komender i B. Ferensztajn** — ministrowie zdrowia i budownictwa, władze polityczne i administracyjne Łodzi i sąsiednich województw, członkowie korpusu dyplomatycznego akredytowani w Polsce, przedstawiciele Polonii.

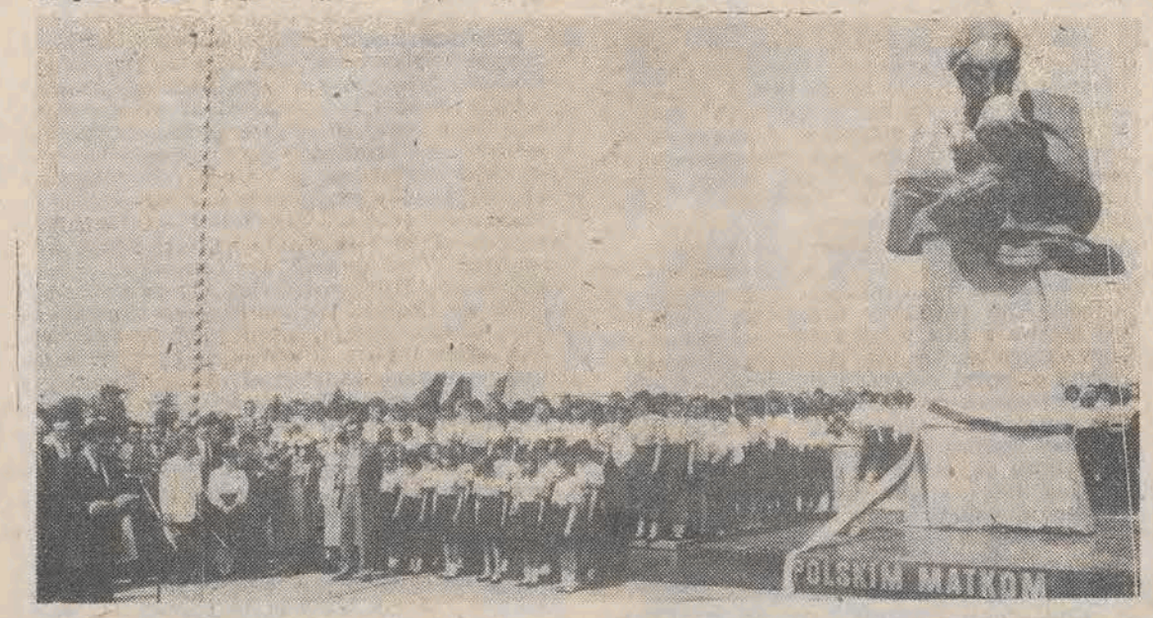

Foto: Grzegorz Gałasiński

Gratulacje dla „Odgłosów"

Z okazji trzydziestolecia pisma zespół nasz otrzymał wiele listów i gratulacji. Oto niektóre z nich:

„W imieniu Sekretariatu Komitetu Łódzkiego PZPR oraz własnym, pragnę złożyć najserdeczniejsze gratulacje z okazji jubileuszu 30-lecia „Odgłosów".

W tworzeniu tradycji kulturalnych w Łodzi, w kształtowaniu postaw obywatelskich i społecznych, „Odgłosy" odgrywają niepoślednią rolę. Godny podkreślenia jest także fakt, że Tygodnik Wasz stara się współpracować z czytelnikami, dzięki czemu niemal wszyscy Łodzianie współtworzą swoje pismo społeczno-kulturalne.

Korzystając z okazji chciałbym serdecznie podziękować za pracę i osiągnięcia, jakie są Waszym udziałem. Jestem przekonany, że najlepszym wyrazem uznania dla pracy Kierownictwa Redakcji, Organizacji Partyjnej i wszystkich członków Zespołu Redakcyjnego, jest zainteresowanie czytelników wyrażające się systematycznym wzrostem nakładu Tygodnika.

Proszę wszystkich pracowników i współpracowników „Odgłosów" o przyjęcie życzeń zdrowia i pomyślności na dalsze lata pracy oraz zadowolenia i satysfakcji w życiu osobistym".

Józef Niewiadomski

„Jubileusz 30-lecia „Odgłosów" to ważne wydarzenie w dziejach kultury okręgu łódzkiego. Święci go tygodnik, który posiadł ambicję z jednej strony być osadzonym głęboko w realiach wielkiej aglomeracji łódzkiej, z drugiej — dostrzegł jej wszechstronne związki z otaczającymi ją województwami.

Ciekawa, czasem kontrowersyjna, publicystyka obejmująca szeroką gamę zagadnień zyskała Redakcji wielu szczerych sympatyków, także i w województwie piotrkowskim.

Kierując się więc zyskanymi u społeczeństwa względami, szacunkiem środowisk inteligenckich — składamy w imieniu władz polityczno-administracyjnych województwa serdeczne życzenia i gratulacje z okazji Jubileuszu, łącząc do nich życzenia owocnej pracy dziennikarskiej dla dobra kraju, dla realizacji idei narodowego porozumienia Polaków, wielu dziennikarskich inicjatyw, pomyślności w życiu rodzinnym i osobistym".

Z wyrazami szacunku

Stanisław Kolasa

„Tygodnik Wasz zyskał sobie wysokie uznanie wśród czytelników i ma swój udział w społeczno-kulturalnym rozwoju województwa sieradzkiego. Przyczynia się do intelektualnej i kulturalnej inspiracji mieszkańców województwa, a zwłaszcza jego kręgów opiniotwórczych. Odgrywa znaczącą rolę w pogłębieniu obywatelskiej, politycznej i ekonomicznej edukacji społeczeństwa.

Wysoko sobie ceniąc dotychczasowe współdziałanie liczymy także na to, iż podobnie jak dotąd problematyka Sieradzkiego często będzie publikowana na łamach Waszego czasopisma".

Sieradz, 1988.05.19

Janusz Urbaniak

„W imieniu władz administracyjnych Łodzi pragnę przekazać dla Pana i wszystkich współpracowników najserdeczniejsze słowa uznania i gratulacje z okazji XXX-lecia istnienia Waszego pisma.

Wyrażam przekonanie, że nadchodzące lata będą okresem Waszych sukcesów i zaznaczą swój wkład w rozwój życia społecznego i kulturalnego Łodzi i całego regionu".

Jarosław Pietrzyk

„Z uznaniem pragnę podkreślić skuteczne wysiłki zespołu dla zwiększenia nakładu pisma, które jednocześnie w sposób interesujący podejmuje problemy społeczno-kulturalne i coraz bliżej odpowiada poglądom i odczuciom swoich czytelników.

Jubileusz ten stanowi powód do refleksji nad przebytą drogą, jest dogodną okazją do opracowywania nowych projektów dalszego rozwoju pisma. Rocznica ta jest również Świętem Czytelników, którzy z ogromną życzliwością odnoszą się do Tygodnika obecnego w ich życiu poprzez ukazywanie nurtujących problemów czy też podejmowanie ciekawych inicjatyw.

Życzę Zespołowi dalszych długich lat pracy nagradzanej sympatią Czytelników, a także własnej satysfakcji z zaspokajania ich różnorodnych zainteresowań".

Andrzej Mikołajczyk

„Odgłosy" przez cały czas swego istnienia wiernie towarzyszyły przemianom społecznym i kulturalnym, jakie dokonywały się w Łodzi i kraju. Głębokie zaangażowanie tygodnika w upowszechnianie dorobku kulturalnego i tego, co w nim najbardziej cenne i wartościowe, jest dużym osiągnięciem całego Zespołu Redakcyjnego i Współpracowników.

Z prawdziwą przyjemnością, jako jeden z członków licznego klubu przyjaciół „Odgłosów" przekazuję Redakcji Życzenia wielu dalszych lat powodzenia u dotychczasowych i nowych czytelników".

Piotr Sagan

Gratulacje i życzenia nadesłali nam również: **Zbigniew Kucharski** — I sekretarz KW PZPR Widzew, rektor Uniwersytetu Łódzkiego prof. dr hab. **Leszek Wojtczak**, dyrektor „Domu Książki" w Łodzi — **Stefan Czarnecki**, dyrektor Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego im. Mikołaja Kopernika — doc. dr hab. med. **Paweł Dyktyński**, główny lekarz wojewódzki — **Ryszard Machnikowski, Wanda Karczewska, Zofia Ignaczak, Marta Cedrowska, Leonard, Zbyszko Rzeźniacki** oraz redakcja **„Wiadomości Produkcyjnych"**.

Wszystkim, którzy na piśmie czy telefonicznie złożyli gratulacje i życzenia „Odgłosom" serdecznie dziękujemy.

Zespół „Odgłosów"

Z tej ziemi

Co po nas zostanie?

Oddano w Łodzi do użytku Szpital Pomnik poświęcony Matce. Oddano do użytku — to zbyt optymistyczne stwierdzenie, nawet dla mnie, który uważa się za urodzonego optymistę. Szpital zbudowano niemal w założonym terminie, ale pierwsze pacjentki przyjmie się tu — jak wszystko dobrze pójdzie — jesienią. Szpital przekazano zatem ludziom służby zdrowia, aby dobrze przygotowali się do służenia matce i dziecku.

Szpital ten powinien być rzeczywiście pomnikiem, który — przy należytej konserwacji i trosce o stałą modernizację — powinien przetrwać nie tylko nasze pokolenie, ale i przyszłym dowodzić o słuszności idei, jaka legła u jego podstaw. Fakt ten wszakże nasunął mi kilka refleksji.

Często, kiedy podróżuję autem przez Polskę i podjeżdżam do jakiegoś miasteczka, większej wsi, czy nawet miasta nad jego dachami unosi się kościelna wieża. I choć dziś nadal buduje się kościoły, to przecież te wieże wznoszące się nad dachami miast i wsi są pomnikami przeszłości. Wiele z nich powstało w odległych wiekach. Towarzyszące im pałace i zamki legły w gruzach. Niektóre z nich restaurujemy, niszcząc jednocześnie brakiem troski o otoczenie, jak choćby rejony wielkich skupisk przemysłu. Mam na myśli akurat Kraków, gdzie z jednej strony prowadzi się prace restauracyjne, a z drugiej wyziewy przemysłowe niszczą to, co już się uratowało i doprowadzają do ruiny to, czego jeszcze nie zdążono podratować. Zresztą tak dzieje się nie tylko w Krakowie.

Kiedy więc zdarza się podróżować przez Polskę i oglądać wieże kościelne wyłaniające się nad dachami ludzkich siedzib, to zadaję sobie pytanie: a co po nas zostanie? W jaki materialny sposób uwiecznimy ideę, której służymy, a której celem jest taka przebudowa świata, aby był on lepszy, lepiej zorganizowany i dawał człowiekowi możliwość wszechstronnego rozwoju?

Nie tak dawno na pytanie to byłaby gotowa odpowiedź. Ogólnie rzecz biorąc przekształciliśmy Polskę z kraju rolno-przemysłowego w przemysłowo-rolny. I to jest prawda. Wybudowano Nową Hutę, Nowe Tychy, Hutę Katowice, Pałac Kultury i Nauki w Warszawie, przebudowano centrum w Katowicach, wybudowano Port Północny, autostradę Warszawa — Katowice, zelektryfikowano wieś polską oraz linie kolejowe, wybudowano FSO i FSM, powstało kilka nowych gałęzi przemysłu. A Łódź? Nowe dzielnice mieszkaniowe, nowe fabryki na Dąbrowie, Teofilowie, w Nowych Sadach.

Pamiętam, jak w czasie „prezesury" Edwarda Kaźmierczaka na łódzkim stolcu nie mogła odbyć się żadna uroczystość, na której w referacie nie powiedziano by, ile to zbudowano kilometrów sieci wodociągowej, kanalizacyjnej, linii tramwajowych, dróg. Panowała wtedy moda na porównywanie się do czasów przedwojennych i wykazywanie, że przed wojną było bardzo źle, a teraz jest bardzo dobrze. Skutek takiej „filozofii dziejów" jest taki, że niech ktoś wspomni tylko, że przed wojną też była nędza i bezrobocie, a zaraz stanie się ofiarą niewybrednej napaści. Ale to nic nowego. Dzieje myśli ludzkiej odnotowały już niejedno idealizowanie czasów minionych, które zwykło się nazywać „wspaniałą przeszłością", do której współczesność ani się nie umywa.

Bolesław Drobner napisał kiedyś takie zdanie: *„Jako marksiści wiemy, że decydują o wszystkim nie ludzie, a warunki, a w nich dopiero ludzie"*. Ale też ludzie te warunki zmieniają poprzez swoją zamierzoną działalność. Odżegnując się od przeszłości tworzyliśmy wspaniałą przyszłość, której być może nie wszyscy doczekamy, ale którą budujemy dla przyszłych pokoleń. Dla nich poświęciliśmy cały nasz trud i nasze wyrzeczenia. Okazało się jednak, że ta wspaniała przyszłość jest coraz odleglejsza i trzeba też pomyśleć o teraźniejszości i o tym, abyśmy też coś z tego mieli.

W 1975 roku nakładem „Książki i Wiedzy" ukazała się książka z cyklu „Ideologia a współczesność" pt. „W kręgu ideologicznych dyskusji". Kosztowała wówczas... 30 złotych. Otóż w tej zbiorowej pracy Zbigniew Sufin tak między innymi pisał:

„Dla społeczeństwa socjalistycznego „jakość życia" ma szerszy i głębszy sens. Chodzi nie tylko o potrzeby materialne. Realizacja socjalistycznego ideału wszechstronnie rozwiniętego człowieka i społeczeństwa wymaga wielostronnego zaspokajania potrzeb bytowych, społecznych, intelektualnych, kulturalnych. Społeczeństwa socjalistyczne dążą do stwarzania warunków o takiej jakości, aby życie ludzi mogło być twórcze i aktywne".

Wielki to i wszechstronny program i chyba nie było warunków dla jego pełnej realizacji, gdy do niej przystępowaliśmy. Cały ciężar spełnienia tego programu wzięło na siebie państwo, które chciało i próbowało zajmować się nawet drobiazgami, do handlu pietruszką włącznie, zupełnie wyłączając społeczne inicjatywy, samorządność i samodzielność różnych grup i organizacji. Okazało się to ponad możliwości państwa.

Pamiętam taki czas, kiedy ludziom na wiecach dawano w nagrodę klucze od mieszkań, a chętnych na wczasy rekrutowano niemal... siłą. Wszystko miało być darmo. Dziś mieszkanie przypomina kwadraturę koła, książka stała się lokatą kapitału, a żeby kupić kolorowy telewizor najwyższej klasy trzeba zaciągnąć wieloletnią pożyczkę. Dopiero dziś zaczynamy rozumieć, że aby stworzyć warunki, *„aby życie ludzi mogło być twórcze i aktywne"* niezbędne jest wykorzystanie społecznych inicjatyw. Zaczynamy rozumieć, ale brak nam jeszcze konsekwencji i odwagi.

Jeśli pytam: co po nas pozostanie? — to mam na myśli nie tyle przeobrażenia gospodarcze, choć są one warunkiem wszystkiego, ile trwałe wartości kultury. Dialektyka historii wydaje się wskazywać, że możliwość przetrwania mają te osiągnięcia, które łączą materię z duchem, które są zaludnione ideą. Reszta skazana jest na przemijanie.

Gdy patrzy się na kulturalne osiągnięcia Łodzi, to nie można wielu z nich pominąć, ale też troska o stan posiadania musi przeważyć nad osiągnięciami. Nie udało się wybudować Muzeum Sztuki i bezcennym zbiorom grozi zagłada, nie udało się postawić Filharmonii Łódzkiej, rozsypują się kina, remontu wymagają teatry z Teatrem Wielkim włącznie. I nie jest to pełny rejestr potrzeb. Te potrzeby znacznie przewyższają możliwości państwa. Czyż zatem należy odwołać się do społecznej przemyślności? Czy można czekać, aż zbiory, pomysły i zamierzenia rozpadną się i rozmydlą, a ludzie odejdą do innych ośrodków?

Sprawozdawca „Głosu Robotniczego" — Matylda Garbolińska napisała, że *„prof. Aleksander Krawczuk zaprezentował się jako wielki optymista, oceniający polskie życie kulturalne na bardzo wysokim poziomie"*. Na ogół nie mieliśmy szczęścia do ministrów kultury — no z małymi wyjątkami, ale nie powiem, kogo mam na myśli. Cytowany już Bolesław Drobner narzekał na łamach „Dziennika Polskiego" we wrześniu 1956 roku, że w Warszawie decyduje się budowa domu kultury w Nowej Hucie i że Ministerstwo Kultury i Sztuki nie chce łożyć pieniędzy na niezbędną restaurację zabytków Krakowa. *„Nil novi sub sole"* — nic nowego pod słońcem — chciałoby się krzyknąć za starożytnymi Rzymianami. Może więc zamiast liczyć na kabzę ministra Aleksandra Krawczuka zacznijmy samodzielnie i społecznie — czyli razem — myśleć o rozwiązaniu palących łódzkich problemów kultury. Żeby jednak coś po nas — obok fabryk — zostało!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ze str. 1

dzieciom preparat przeciwko skutkom promieniowania w obłokach dymu palonych przez siebie i domowników papierosów.

Plotka o wzroście cen — może być wynikiem „przecieku" podjętej ale nie podanej do wiadomości decyzji, ale może być wymyślona przez jakiegoś „niespokojnego twórcę". Plotka o podwyżce cen przekazywana z ust do ust, obiega szybko wielkie liczby ludzi. Starając się wyprzedzić „spodziewaną", a nawet „pewną" podwyżkę cen — ludzie wykupują określone towary. Socjologowie taki „szał" zakupów nazywają tłumem nabywającym, nie wskazując jednak co zorganizowało tłum, co spowodowało niepokój, lęk, poczucie zagrożenia. Poczucie zagrożenia spowodowała nie decyzja, a przypuszczenie, że jakieś wydarzenie może mieć miejsce, że planowane jest jakieś działanie.

W gospodarce plotki powodują trudności w dostarczaniu do sklepów wykupywanych masowo produktów, wypłacaniu pieniędzy, dezorganizują pracę wielu instytucji, utrudniają normalną egzystencję ludzi, są źródłem spekulacji, szybkiego bogacenia się. Plotka na dłuższy lub krótszy czas może zdezorganizować gospodarkę.

Plotka może być formułowana, fabrykowana i rozprzestrzeniana celowo.

Plotki o zmianie cen można uruchamiać, aby pozbyć się starzejącego, niechodliwego towaru, ale i po to, aby załamć nadwątloną strukturę rynku. Dezorganizacja rynku (np. w Polsce) powoduje niezadowolenie obywateli, obniża lub załamuje zaufanie do jego organizatorów, do administracji gospodarczej, państwowej, do gremiów kierowniczych, wreszcie do ustroju społecznego. Utracone zaufanie trudno jest odzyskać. Pamięć ludzka jest zawodna i po upływie czasu, ludzie już nie pamiętają, czy plotka sprawdziła się czy nie, czy podniesiono ceny ale w pamięci na długo pozostają trudności organizacji życia codziennego i strach przed podobnymi sytuacjami.

Plotka o jakimś zdarzeniu, może spowodować przejawiającą się w różny sposób panikę wśród ludzkości, powodować niechęć lub wręcz wzajemną nienawiść. Warto zwrócić uwagę, jak ważną rolę odgrywa w życiu społecznym plotka o człowieku, wówczas gdy pełni lub ubiega się o ważne stanowisko. Plotka podważająca autorytet jednostki, może spowodować utratę autorytetu zespołu, którego dany człowiek jest członkiem lub reprezentantem. Plotka może ujemnie wpływać na życie jednostki. Człowiekowi można zbrzydzić życie, spowodować konieczność zmiany miejsca pracy, zamieszkania, utrudnić lub uniemożliwić realizację życiowych celów. Plotki o ludziach mają dwa zadania: zniszczyć moralnie, materialnie, fizycznie człowieka lub zwrócić na niego uwagę nawet w sposób skandalizujący. W plotce wskazuje się na cechy człowieka, lub dostarcza oszczerstw o „zdradzie", „łapownictwie", „lizusostwie", „alkoholizmie", „chorobie psychicznej". Plotka dochodzi do otoczenia i do samego zainteresowanego, osacza go. Człowiek wobec plotki jest bezradny. Nie ma przed nią obrony, nie ma ucieczki. Jedynym ratunkiem jest cierpliwość i czas.

Pogłoskę można określić jako opis jakiegoś zdarzenia, zachowań lub cech jednostek i zbiorowości mający miejsce w przeszłości lub w czasie teraźniejszym — bieżącym lub przyszłym.

Pogłoska może przybierać formę opowiadania o kimś lub o czymś, zazwyczaj krótkiego i ulegającego pewnym zmianom pod wpływem „inwencji twórczej" osób ją przekazujących. Mogą w niej występować zdarzenia prawdziwe (fakty) bądź całkowicie zmyślone, ale zawsze w sytuacjach nieprawdziwych.

Uderzające jest podobieństwo plotki-pogłoski do dowcipów, kawałów, żartów analizowanych przez etnografów.

„*Folklor* — pisze Dorota Simonides — *jest zjawiskiem absolutnie spontanicznym i żywiołowym. Przekazywane z ust do ust opowieści (...) są wyrazem społecznej potrzeby, inaczej dawno by już wymarły i zniknęły z ustnego obiegu. Nikt wszak nie lansuje, nie popiera, nie rozwija określonych tematów, gatunków czy rodzaju komizmu. Nawet gdyby podjęto tego typu zabiegi, nie gwarantują one wejścia w obieg społeczny (...).*

Jeśli danej grupie społecznej jakaś anegdota nie odpowiada, jeśli się nie podoba, nie uzyska społecznego poparcia, wówczas nie istnieje dla niej szansa wejścia w ustny obieg. Z tych też względów folklor stanowi znakomity miernik autentycznie społecznego zapotrzebowania na określony rodzaj kultury, typ bohatera, temat itp.

Każdy utwór folklorystyczny był niegdyś opowiadany w małym, kameralnym, niemal intymnym środowisku i kierowany był przez gawędziarza do konkretnych, zawsze obecnych przestrzennie słuchaczy.

Mechanizm powstania plotki-pogłoski i żartu, kawału jest taki sam. Muszą być w nich treści ważne i akceptowane przez grupę. S. Schachter i H. Budrick wskazuje, że aby plotka powstała i rozchodziła się muszą być wypełnione dwa warunki: musi istnieć niejasność poznawcza oraz sprawa, której plotka dotyczy musi być ważna dla grupy. Zdaniem badającego kanały rozchodzenia się plotki L. Festingera, plotkę przekazują głównie dwie grupy ludzi: z a g r o ż e n i i p r z e k o n a n i, że to jest prawda. Przekazywanie plotki jest działaniem przeciwko zagrożeniu. Jednak czy komuś plotka zostanie przekazana zależy od tego, czy zdaniem przekazującego odbiorca jest zainteresowany jej treścią.

Zdaniem psychologów „*pogłoski często stanowią niepokojącą uwerturę do jakichś psychicznych czy społecznych konfliktów*". Z tego zapewne powodu pogłoska ma ogromną literaturę światową.

„*Pogłoska to rzecz zasłyszana* — pisze Ralph Rosnow — *to co „ludzie mówią". To wieści, których nie zrodziły fakty, termin ten ma też konotację pejoratywną implikując niezgodność bądź skandal. (...) Plotka jednak może znaczyć też coś niecoś innego: nie musi, ale opiera się na faktach, w przeciwieństwie do całkowicie nieprawdziwej pogłoski. Według innego jeszcze rozróżnienia obiektem plotek są sprawy prywatne ludzi, pogłoska zaś może obracać się wokół czegokolwiek*".

Pogłoska nie jest jedynie przekazywana ustnie. Pogłoskami są nie zawsze prawdziwe informacje zamieszczone przez środki masowego przekazu. Taka niesprawdzona, nieprawdziwa wiadomość zamieszczona na pierwszych stronach gazet nazwana jest przez Normana Millera „faktoidem". Są to pogłoski opublikowane.

Sądzę jednak, że „wiadomości" opublikowanych nie należy zaliczać do plotek czy pogłosek, choćby były to informacje zmyślone. Inny jest ich wymiar, inna rola i inny status prawny w społeczeństwie. „Faktoid" — można publicznie odwołać, sprostować, można wystąpić na drogę sądową przeciwko autorowi lub wydawcy. Plotka — pogłoska nie ma autora, nigdy nie bywa w obiegu ustnym odwołana, może być dementowana, ale wyjaśnienia, odwołania nie dotyczą w żadnym stopniu autora — a jedynie sprawy lub faktu.

Plotka nie ma autora

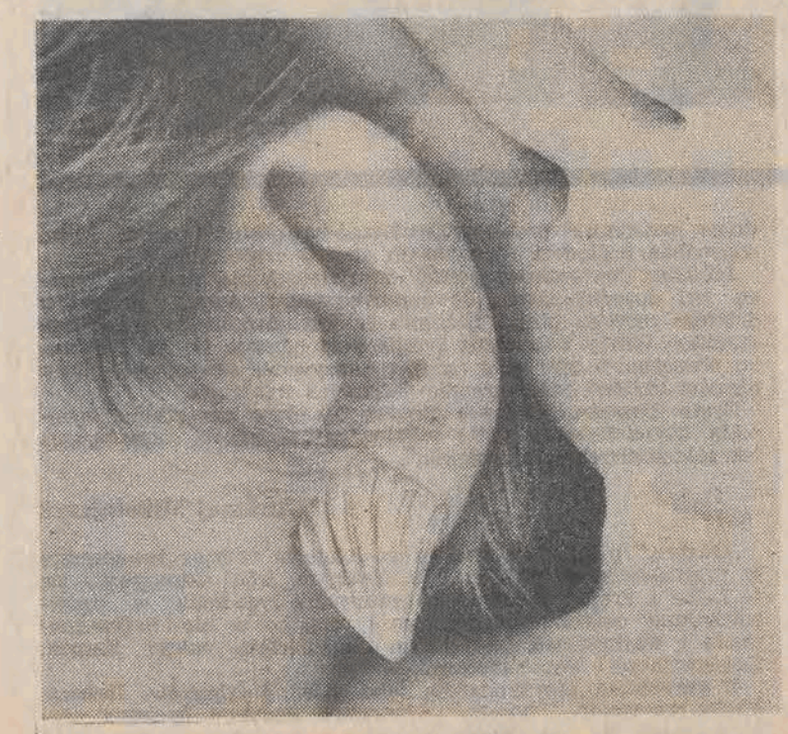

Foto: Grzegorz Gałasiński

Pogłoski — zdaniem Ralpha Rosnowa — mają trzy stadia

Narodziny — pogłoska może powstać spontanicznie, być puszczana celowo „doświadczalnie", aby sprawdzić reakcje ludzi, aby złośliwie uderzyć w coś lub kogoś, lub w wyniku połączenia przypadkowych elementów społecznych. Pogłoski mogą fabrykować ludzie — zdarzenia, klęski żywiołowe, napięcia społeczne, podniecenie lub niepewność. Zawsze w takich sytuacjach wielu ludzi chętnie słucha plotek, a im większa zbiorowość, tym szybciej obiega ją plotka.

W plotce ważną rolę ogrywa bliskość kontaktu, bliskość nadawców i odbiorców. W małych miastach plotka obiega lepiej, ponieważ łatwiej przekazuje się ją wśród znajomych niż wśród obcych. Ponieważ jednak ludzie mają niedoskonałą pamięć, następuje przekręcanie, upraszczanie i porządkowanie rzeczy. W literaturze światowej opisano trzy rodzaje odkształceń: wyrównywanie, wyostrzanie i asymilację. Wyrównanie polega na pomijaniu niektórych szczegółów, wyostrzanie — to przypisywanie pewnym szczegółom dodatkowego znaczenia, asymilacja — to taka transformacja treści, aby była bardziej zrozumiała.

Plotki mają różny żywot. Niektóre umierają szybko „śmiercią naturalną", inne są wygaszane, a jeszcze inne sztucznie podtrzymywane. Pogłoski mogą wygasać pod wpływem autorytatywnego udowodnienia ich nieprawdziwości. Sądzić jednak należy, że skuteczność zależy od wielu czynników, od wiarygodności głoszących, nieprawdziwości pogłosek, od stosunku ludzi do różnego typu autorytetów.

Czy chcemy, czy też nie, pogłoska towarzyszy nam w życiu, jest faktem, z którym styka się każdy.

STEFANIA DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA

Co nowego w prawie wyborczym?

Teraz każdy musi wejść za kotarę!

KRZYSZTOF SKOTNICKI

1.

Sejm PRL uwzględniając przemiany zachodzące w naszym systemie politycznym, uchwalił dwie ustawy: z 13 lutego 1984 r. — „Ordynację wyborczą do rad narodowych" oraz z 29 maja 1985 r. — ordynację wyborczą do Sejmu PRL. Wybory do rad narodowych (17 czerwca 1984 r.) zweryfikowały prawo wyborcze. Pomimo dokonania niewątpliwej demokratyzacji prawa wyborczego, zmiany te nie zaspokajały jednak oczekiwań społecznych.

10 marca 1988 r. została uchwalona ustawa o zmianie ustawy „Ordynacja wyborcza do rad narodowych". Formalnie obowiązuje zatem nadal ustawa z 1984 roku. Faktycznie zakres dokonywanych zmian jest tak duży, że możemy mówić o nowej ordynacji wyborczej.

Najważniejsze zmiany oznaczają zerwanie z dotychczasowym głosowaniem plebiscytowym na rzecz wyboru. Powstała możliwość większego wpływu obywateli na dobór kandydatów na radnych. Zmiany te zmuszają wyborcę do aktywnego udziału w wyborach.

2.

Zagadnieniem wzbudzającym od wielu już lat sporo kontrowersji była kwestia udziału w wyborach osób, które w dniu głosowania nie przebywają w miejscu swojego stałego zamieszkania. Powstaje bowiem pytanie, czy powinny one wywierać wpływ na skład terenowych przedstawicielskich organów władzy państwowej? Szczególnie w miejscowościach uzdrowiskowych może bowiem dojść do sytuacji, że o wyniku wyborów zadecydują przyjezdni, a nie miejscowa ludność. Dotychczas bowiem każdy obywatel, który chciał wziąć udział w wyborach w miejscu zameldowania na pobyt czasowy, mógł to uczynić, uzyskując wcześniej właściwe zaświadczenie o prawie do głosowania. Obecnie dokonano jednak bardzo istotnej zmiany. Do głosowania w miejscu pobytu czasowego dopuszczone są bowiem wyłącznie te osoby, które posiadają zameldowanie czasowe w związku z pracą lub nauką. Chcąc uczestniczyć w wyborach, muszą one wystąpić z wnioskiem do terenowego organu administracji państwowej właściwego ze względu na miejsce pobytu czasowego o wpisanie do spisu wyborców.

3.

Cechą charakterystyczną *wyborów w Polsce*, podobnie jak we wszystkich państwach socjalistycznych, jest ich jednorodność polityczna. Do udziału w nich nie jest dopuszczona opozycja. Wybory mają zatem charakter wyłącznie personalny. W mechanizmie wyborczym niezwykle istotne znaczenie nabiera sposób wyłaniania kandydatów na radnych (czy posłów), na których ostatecznie oddają swoje głosy wyborcy. Sposób ten w znacznym stopniu decyduje o demokratyzacji całego systemu wyborczego.

Tworzenie list wyborczych jest długim i złożonym procesem, w którym można wyodrębnić trzy etapy: pierwszy — wysuwania osób proponowanych na kandydatów na radnych; drugi — społecznej konsultacji osób proponowanych na kandydatów na radnych; trzeci — ostatecznego ustalenia kształtu list wyborczych i ich zgłoszenia do właściwych komisji wyborczych.

4.

Wszystkie osoby proponowane na kandydatów na radnych zostały poddane obowiązkowej wstępnej konsultacji społecznej. Była ona przeprowadzona na przedwyborczych zebraniach. Ordynacja przyznaje wyborcom prawo do wnioskowania o wycofanie określonej kandydatury, co musi być jednak umotywowane.

Przy jednorodności politycznej wyborów, pod wpływem praktyki, ukształtowała się na początku lat siedemdziesiątych zasada naszego prawa wyborczego, iż wszystkie podmioty uprawnione do zgłaszania kandydatów na radnych wysuwają wspólną listę wyborczą. Od 1984 r. czynią to kolegia wyborcze. Ich znaczenie w procesie wyłaniania kandydatów na radnych jest olbrzymie. One decydują bowiem o tym, które z proponowanych osób znajdą się ostatecznie na listach wyborczych, dokonując jak gdyby wstępnych prawyborów.

Dokonując selekcji osób proponowanych na kandydatów na radnych kolegia wyborcze badają, czy odpowiadają one warunkom stawianym radnym przez ordynację wyborczą oraz czy nie zgłoszono w stosunku do nich uzasadnionych zastrzeżeń na przedwyborczych zebraniach.

5.

W celu wybrania radnych tworzone są okręgi wyborcze, obejmujące część terytorium działania danej rady narodowej. W okręgach wybierani są wszyscy radni rad narodowych stopnia podstawowego oraz przynajmniej 90 proc. radnych rad narodowych stopnia wojewódzkiego. Pozostali radni wojewódzkich rad narodowych wybierani są z listy wojewódzkiej, co oznacza, że niejako całe województwo stanowi w tym wypadku jeden okręg wyborczy.

W wyborach z 1984 r. wybrano w ten sposób 15 proc. radnych wojewódzkich rad narodowych. Powszechnie wskazywano jednak, że z listy tej wybranych było zbyt dużo radnych, co sprawiło, że znalazła się na nich część osób na to nie zasługujących. W związku z tym postulowano nawet zlikwidowanie tych list. Ostatecznie zachowano je ograniczając jedynie liczbę wybieranych radnych najwyżej do 10 proc. ogólnego składu WRN.

6.

Dokonane zmiany dotyczą również wielkości okręgów wyborczych. W Polsce wybory tradycyjnie odbywają się w okręgach wielomandatowych. Za ich zachowaniem przemawia niewątpliwie istniejący system wieloparty jny oraz szeroki krąg podmiotów uprawnionych do wysuwania kandydatów na radnych. W ten sposób istnieje bowiem możliwość zapewnienia w okręgu wyborczym pełniejszej reprezentacji wszystkich partii politycznych, organizacji społecznych i zawodowych czy środowisk. Z drugiej jednak strony podkreśla się, że wielomandatowość okręgów wyborczych nie sprzyja utrzymywaniu bliskiej więzi radnych z wyborcami. Stąd też już w wyborach z 1984 r. ograniczono liczbę mandatów w okręgu wyborczym od 3 do 6, wyodrębniając jednocześnie poszczególne mandaty, o które ubiegali się kandydaci. Było to zatem w pewien sposób połączenie koncepcji okręgów wielomandatowych z jednomandatowymi — konstrukcja bardzo oryginalna i nie stosowana w żadnym innym państwie socjalistycznym.

Obecnie ordynacja wyborcza przewiduje tworzenie okręgów wyborczych dla wyboru od 1 do 5 radnych. Zmiana ta odpowiada zgłaszanemu od wielu lat przez część środowiska naukowego postulatowi przejścia do wyborów wyłącznie w okręgach jednomandatowych.

7.

W oparciu o wyniki konsultacji społecznej osób proponowanych na kandydatów na radnych, właściwe kolegia wyborcze ustalają okręgowe listy wyborcze oraz listy wojewódzkie. Zachowując wydzielenie poszczególnych mandatów na listach okręgowych, zmieniona ordynacja wyborcza dopuszcza, by o każdy spośród nich ubiegało się 2 lub 3 kandydatów. Bardzo istotne jest przy tym to, że obecnie kandydaci nie będą ustawiani w kolejności preferencyjnej lecz alfabetycznej.

W przypadku list wojewódzkich przyjęto, iż zostanie na nich umieszczonych tylu kandydatów, ile przypada na nie mandatów. Będą oni oczywiście wymienieni w kolejności alfabetycznej.

8.

W dniu wyborów każdy z wyborców otrzyma w obwodowej komisji wyborczej trzy karty do głosowania. Na jednej będą umieszczeni kandydaci na radnych z okręgowej listy wy*borczej do rady narodowej stopnia podstawo*wego, na *drugiej* — kandydaci na radnych z okręgowej listy wyborczej do rady narodowej stopnia wojewódzkiego, zaś na trzeciej — kandydaci na radnych z listy wojewódzkiej. W przypadku dwóch pierwszych z wymienionych list wyborca chcąc oddać swój głos, powinien pozostawić nie skreślone jedno spośród nazwisk osób ubiegających się o dany mandat. Inaczej głos nie zostanie zaliczony żadnemu z kandydatów. Natomiast w przypadku listy wojewódzkiej wyborca może pozostawić na karcie wyborczej nazwiska wszystkich kandydatów, co będzie oznaczać, że jego głos jest oddany na każdego z nich.

Zmiany dotyczące głosowania zmuszają wyborcę do czynnego udziału w akcie wyborczym. Realną wydaje się jednak obawa, czy przy istniejących wieloletnich przyzwyczajeniach, część wyborców nie będzie tradycyjnie głosować bez skreśleń. Przy tym, aby dokonany wybór był świadomy, należy oczekiwać dobrej znajomości przez wyborców zgłoszonych kandydatów na radnych. Powstaje jednak pytanie, na ile uda się to osiągnąć?

9.

Wśród zmian dokonanych w ordynacji wyborczej do rad narodowych szczególne znaczenie posiada zupełnie inne podejście do konstytucyjnej zasady tajności głosowania. W państwach socjalistycznych od wielu już lat obserwujemy ciekawe zjawisko, iż identyczne sformułowania ustaw zasadniczych podlegają różnej interpretacji. Problem sprowadza się do tego, czy tajność głosowania traktować jako prawo czy jako obowiązek wyborcy. Dotychczasowe polskie ordynacje wyborcze dawały głosującemu możliwość udania się do pomieszczeń za zasłoną, celem wypełnienia karty do głosowania. Nie był to jednak warunek konieczny, a zatem wyborca sam decydował, czy skorzysta z przysługującego mu prawa. Obecnie każdy głosujący przed oddaniem swojego głosu musi udać się do pomieszczenia za zasłoną i tam wypełnić kartę do głosowania.

10.

Dla wyboru radnych nie jest konieczne by w wyborach wzięła udział więcej niż połowa uprawnionych do głosowania. Za wybranego uważa się tego spośród kandydatów w obrębie każdego z mandatów, który otrzyma najwięcej ważnych głosów. A zatem, nie musi to być ponad 50 proc. głosów. Natomiast w przypadku kandydowania z listy wojewódzkiej, radnymi zostają ci kandydaci, którzy otrzymają więcej niż połowę ważnych głosów. Oznacza to, iż może dojść do sytuacji, w której część mandatów z tej listy nie będzie obsadzona. Ordynacja wyborcza nie przewiduje bowiem przeprowadzenia w takim wypadku wyborów ponownych.

Wybory ponowne będą mieć miejsce jedynie w przypadku, gdy w okręgu wyborczym w obrębie mandatu kandydaci otrzymają równą liczbę głosów. Odbędą się one w tym samym trybie co wybory, które nie przyniosły wyłonionego radnego.

„...Pamiątką całą brzozowy krzyż prosty,
na krzyżu wisi maciejówka siwa,
porosły w koło kąkole i osty,
a darń zielona grób z wierzchu przykrywa,
tabliczkę białą ktoś złożył na grobie
z napisem: „Polska niech się przyśni
Tobie!"..."

Władysław Broniewski

6 sierpnia 1914 roku wyruszyła z krakowskich Oleandrów ku granicy rosyjskiego zaboru garść żołnierzy w szarych mundurach. Wymarsz zmobilizowanego z niemałym trudem — był to okres wakacyjny — oddziału strzelców poprzedziło odczytanie następującego rozkazu dziennego.

„Żołnierze. Spotkał Was ten zaszczyt niemierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru by walczyć o Niepodległość Ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, które ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż każę tylko doświadczeńszym wśród Was, pełnić funkcję dowódców. Każdy z Was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było.

Patrzę na Was jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska i pozdrawiam Was jako pierwszą kadrową kompanię..."

O co chodziło?

Nieodparcie rodzi się pytanie, na co liczył Józef Piłsudski wysyłając tych nielicznych na pola bitew wielkiej wojny. Rozpoczynała się ona przecież w układzie dla sprawy polskiej zdecydowanie niekorzystnym. Państwa zaborcze znalazły się po obu stronach barykady i wystąpienie przeciw jednemu z nich, automatycznie powodować musiało opowiedzenie się za racjami drugiego, oznaczało chciane, czy nie chciane braterstwo broni z zaborcą. Józef Piłsudski akcentował, że było ono nie chciane.

„Co do stosunku politycznego i wojskowego względem państw centralnych — podkreślał — *stwierdzam, że żaden z nas nie żywił ku nim sympatii. Biliśmy się z Moskalami będąc z musu w szeregach wojska austriackiego".*

Na co liczył?

W rozkazie wydanym pod Ożarowem na pierwszą rocznicę wojny uzasadniał to następująco:

„...nie chciałem pozwolić, aby w czasie gdy na żywem ciele naszej Ojczyzny miano wyrąbywać mieczami nowe granice państw i narodów samych tylko Polaków przytem zabrakło. Nie chciałem dopuścić, by na szalach, na które miecze rzucano, zabrakło polskiej szabli".

Romantycznie to zabrzmiało, bardzo po polsku, ale przecież sam Piłsudski znacznie wcześniej określił — trzeba przyznać z dużymi umiejętnościami przewidywania — powody dla których przygotowywał czyn zbrojny.

„Rewolucja, której dokonać chcemy — pisał na łamach „Robotnika" w 1910 roku — *jest to wojna dwóch armii — naszej rewolucyjnej, ludowej z armią rządową, najezdniczą... Panuje słuszne przekonanie, że sami, w stosunkach normalnych nie damy sobie rady z najazdem, i że tylko czynniki zewnętrzne, osłabiające rząd... mogą nam dać te szanse zwycięstwa, jakich dziś nie posiadamy. Wojna, w którą się Rosja uwikła, jakieś rozruchy wewnętrzne, osłabiające państwo... wszystko to musi potęgować wiarę społeczeństwa w możliwość zwycięstwa nad wrogiem. I na tym czynniku musimy opierać swe obliczenia szykując się do walki zbrojnej..."*

Cały czas konsekwentnie szykował się do walki z Rosją i walkę taką podjął w chwili, gdy zaborcy uwikłali się w wojnę między sobą.

W walce przeciw Rosji postanowił Józef Piłsudski związać się z Austrią, a w konsekwencji i z Niemcami, ale przecież nie był dla nich partnerem do wykorzystania na pierwszym planie wojennych działań. Jak pisał Stanisław Cat-Mackiewicz *„z Piłsudskim konferowali oficerowie austriaccy wchodzący w skład sztabów krakowskiego i lwowskiego korpusu armii austriackiej. Wartość austriackiej orientacji Polaków oceniana była w Austrii, w tej właśnie skali: zainteresowań sztabu korpusów pogranicznych. Nic więcej".*

Austriaków interesował więc Piłsudski dostarczający żołnierzy do szeregów. Józef Piłsudski jako polityk stawiający poprzez czyn zbrojny na niepodległość nie wchodził w rachubę.

Na co zatem liczył?

„Twierdziłem z samego początku, wbrew wszystkim — powiedział po dziesięciu latach, już w Sulejówku — *że wojna potrwa znacznie dłużej, niż ogólnie przypuszczano. Wskutek tego obydwie siły, zwycięzca i zwyciężony, będą nader wyczerpane i osłabione. Ten stan rzeczy daje możliwość być w końcu silnym tym, którzy będąc słabym w początku, będą mieli dosyć siły moralnej i materialnej, by przetrwać..."*

Wychodził więc z teorią wykrwawienia się wrogów i liczył na doprowadzenie do tego *„by Polska stała się wartością gry w ostatniej chwili".*

Stanie się wartością gry w ostatniej chwili nie oznaczało oczywiście, że osłabieni zaborcy mogą ulec sile polskiego oręża. Był Józef Piłsudski romantykiem, ale nie był fantastą.

Konsekwencją takiego rozumowania było wystąpienie przeciw Rosji.

Czas rozczarowań

Tymczasem wydarzenia rozwijały się nie po myśli Józefa Piłsudskiego. Oczekiwane powstanie w Królestwie nie wybuchło, mimo rozwieszania przez strzelców w zajętych wsiach i miasteczkach plakatów informujących — wbrew oczywistej prawdzie zresztą — iż *„w Warszawie utworzył się Rząd Narodowy"*, a *„komendantem polskich sił wojskowych mianowany został obywatel Józef Piłsudski".*

Nie było powstania, a co gorzej nie było powszechnego entuzjazmu na widok polskich orłów i mundurów. Zamknął kielecki biskup bramę katedry przed polskimi żołnierzami, trudno powiedzieć czy ze strachu przed mogącymi wrócić Rosjanami, czy z niechęci do Józefa Piłsudskiego *„radykała i socjalisty".*

Zamykano w Kielcach przed polskimi żołnierzami bramy domów i wejścia do sklepów, tak jak ongiś, w Noc Listopadową uczyniło to bogate mieszczaństwo warszawskie. Józef Piłsudski pisząc z magdeburskiej twierdzy do Zdzisława księcia Lubomirskiego, stwierdzał z goryczą:

„...przez cały czas wojny, będąc przekonanym, że interesa mojej ojczyzny wymagają czynnego wystąpienia po stronie mocarstw centralnych w ich wojnie z Rosją, dawałem temu wyraz w mojej pracy nawet wtedy, gdy byłem pozostawiony własnym siłom i gdy szedłem wbrew opinii ogromnej większości swojego narodu, jak to było na początku wojny".

A w 1923 roku przemawiając we Lwowie na II Zjeździe legionowym powiedział:

„Wojsko polskie, któreśmy zaczynali budować wypływało nie z woli i nie z chęci narodu polskiego.... Ostatnim wojskiem polskim, które było bezpośrednio przed nami, było wojsko 1863 r. Poniosło ono klęskę, zostało rozbite i zgniecione. Przez 50 lat naród polski nie pragnął wojska. Z tych czy innych powodów nie ważył się na tworzenie własnego wojska, a i w momencie wybuchu wojny światowej również nie miał życzenia i aktu woli, aby stworzyć wojsko polskie... Dlatego też my, występując na arenę dziejową, jako wojsko polskie, byliśmy w stosunku do własnego społeczeństwa nowatorami — chcieliśmy dać Polsce polskiego żołnierza".

Nie chciał dopuścić, aby na szali, na którą miecze rzucono zabrakło polskich szabel.

Sens legionowej epopei

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Legiony Polskie

W kilka dni po wyruszeniu kompanii kadrowej uformował się w Krakowie Naczelny Komitet Narodowy z udziałem takich polityków jak Ignacy Daszyński, Wincenty Witos, Stanisław Stroński i rozpoczęło się organizowanie Legionów: w Krakowie — Zachodniego, a we Lwowie — Wschodniego. Legion Wschodni, dowodzony przez generała Adama Pietraszkiewicza rozpadł się zanim go w pełni uformowano. Jego część, około 800 osób zasiliło — jako 3 pułk piechoty — Legion Zachodni, na którego czele stanął generał Rajmund Baczyński. W tym to Legionie 1 pułk piechoty powierzono Józefowi Piłsudskiemu. Stanowiło to dla niego niewątpliwie duży zawód, gdyż przez wiele lat czyn zbrojny przygotowując i rozpoczynając — choć w niewielkim wymiarze — walkę zbrojną, czuł się predestynowanym do dowodzenia całością sił polskich.

Nie było mu to dane. Gdy Legion Zachodni, po rozpadnięciu się Wschodniego przekształcano w Legiony Polskie, dowodzili nimi kolejno: od września 1914 roku do lutego 1916 — generał Karol Durski-Trzaska, po nim do listopada tegoż roku generał Stanisław Puchalski, następnie do kwietnia 1917 roku pułkownik Stanisław Szeptycki i jako ostatni, do kryzysu przysięgowego — pułkownik Zygmunt Zieliński.

W swojej pracy „Moje pierwsze boje" pisał Józef Piłsudski o tej sytuacji następująco:

„Pierwszym ciosem, ciosem poważnym i bardzo boleśnie przez wojsko odczutym był pakt, zawarty przez Naczelny Komitet Narodowy z Naczelną Komendą Armii Austriackiej, co do formowania Legionów Polskich pod jego NKN opieką... Jako komendantów Legionów wyznaczono oficerów austriackich polskiego pochodzenia, nie mających nic wspólnego z formacjami tego charakteru co strzelcy".

Nie rozumiał Józef Piłsudski, czy też nie chciał zrozumieć, że nie było to ze strony Naczelnego Komitetu Narodowego dobrowolne, austrofilskie wstępstwo. Nie chciał zrozumieć, że alternatywę stanowić mogło tylko rozwiązanie polskich oddziałów. Tak więc ani przez jeden dzień nie stał Józef Piłsudski na czele Legionów Polskich i stało się to z dwóch powodów. Po pierwsze — był człowiekiem bez stopnia oficerskiego, co musiało obniżać jego rangę w oczach austriackiego dowództwa, ale ważniejszy był jednak drugi powód. Sztaby austriackie i niemieckie potrzebowały polskich żołnierzy, natomiast ogarnięty niepodległościową obsesją Józef Piłsudski jako dowódca tegoż wojska byłby kłopotliwy z politycznego punktu widzenia.

Bitewne drogi

Swój szlak bojowy rozpoczęły Legiony Polskie potyczką o Kielce. Dowodzony przez Józefa Piłsudskiego 1 pułk piechoty po trzytygodniowym pobycie w Kielcach, wycofując się razem z armią austriacką toczył walki obronne w trójkącie Wisły, Nidy i Dunajca. Potem w październiku 1914 roku były chwile nadziei spowodowane ofensywą austriacko-niemiecką na Warszawę, natarcie jednakże załamało się i uczestniczący w nim legioniści znaleźli się w odwrocie.

Józef Piłsudski był bliski załamania.

„Druga to już próba ofensywy nieudana — stwierdził w „Moich pierwszych bojach" — *kończąca się klęską i jakimś prawie haniebnym, bez przyczyny zarządzanym odwrotem... Gdy nie ma już nadziei na rozwój wojska, gdy po prostu Austrja walczy chyba o jako takie przyzwoite zakończenie wojny, trzeba kończyć i nam... Spróbujemy umrzeć z honorem lecz umrzemy na swojej własnej ziemi".*

Z tego dramatycznego okresu pozostało zapisane jeszcze jedno zwierzenie:

„Masz swą hekatombę, doprowadziłeś do niej. I to jest już cud, że ty i twoi żołnierze chodzicie po świecie! Za chwilę olbrzymia stopa potwora zgniecie ciebie z tym oddziałem bez śladu. Hekatomba będzie spełniona. Nie taka o jakiej w swej romantycznej głowie marzyłeś, by była ową nauką dla potomności, a taka po prostu, że licho żadne nie bardzo wiedzieć będzie, gdzie się właściwie podział Piłsudski ze swymi strzelcami".

Nocny marsz bojowy między korpusami rosyjskimi pod Uliną Małą przywrócił Józefowi Piłsudskiemu wiarę we własne siły. Operacja została przeprowadzona wzorowo i trudno powiedzieć co zadecydowało o jej powodzeniu — wrodzony talent dowódczy, instynkt, czy po prostu trochę szczęścia. Józef Piłsudski sukces przypisywał walorom swoich legionistów, zachowaniem się okolicznej ludności oraz... błędowi, jaki poczynił podejmując decyzję o marszu. Stwierdził przy tym, że *„wiele, bardzo wiele świetnych czynów wojennych zawdzięcza swe powstanie jedynie fałszywym, nieodpowiadającym istocie rzeczy przypuszczeniom co do nieprzyjaciela, przypuszczeniom, które ułatwiają wykonanie decyzji".*

11 listopada 1914 roku (jakiż to zbieg okoliczności) Piłsudski ze swoim pułkiem wkroczył do Krakowa. Jednakże — jak zapisał w „Moich pierwszych bojach" — *„okazaliśmy się całkiem zbytecznymi dla obrony prastarej stolicy. Uznano zdaje się, że nasz pobyt w Krakowie byłby po prostu szkodliwym. Pozbyto się więc nas stamtąd możliwie prędko bez wszelkich formalności i ceremonij".*

Później były walki na Podhalu, pod Limanową i Marcinkowicami, zajęcie w połowie grudnia 1914 roku Nowego Sącza i wreszcie w dniach od 22 do 25 grudnia bitwa stoczona pod Łowczówkiem, gdzie już sformowaną I Brygadą dowodził pod nieobecność Józefa Piłsudskiego jeden z jego, najbliższych współpracowników podpułkownik Kazimierz Sosnkowski. Bitwa ta ujawniła walory bojowe żołnierza Legionów. Kilkuset wziętych do niewoli żołnierzy rosyjskich oraz kilkunastu oficerów ze sztabem pułku włącznie, a także fakt, iż sąsiadujący dowódcy odcinków austriackich oddali się spontanicznie pod komendę Kazimierze Sosnkowskiego — wszystko to stwarzało Józefowi Piłsudskiemu nieco lepsze warunki dla przyszłych działań politycznych.

Dwa pozostałe pułki piechoty wysłano w końcu września 1914 roku do Karpat Wschodnich na węgierskie pogranicze. Przeznaczone następnie do Galicji przeszły tam przez Przełęcz Pantyrską, budując w ciągu kilku dni *„drogę Legionów i ustawiając na przełęczy krzyż z napisem: Młodzieży polska patrz na ten krzyż, Legiony Polskie dźwignęły go w zwyż, przechodząc góry doliny i wały, dla Ciebie Polsko i dla twej chwały".*

29 października 1914 roku stoczono bitwę pod Mołotkowcem, pierwszą większą bitwę „karpatczyków" zorganizowanych w II Brygadę. Następnie były walki w Kołomyi, udział w ofensywie na Stanisławów i wreszcie, po sześciu miesiącach wyczerpujących walk w górskim terenie przeniesienie na odpoczynek do Kołomyi.

Co przedstawiały sobą Legiony Polskie na progu 1915 roku?

I Brygada Legionów składała się z 1 i 5 pułku piechoty, ułanów Władysława Beliny-Prażmowskiego i dywizjonu artylerii. II Brygada Legionów została utworzona z 2 i 3 pułku piechoty, oddziału ułanów i dywizjonu artylerii. Była to siła niewielka, nie licząca się w kategoriach militarnych, chociaż na polu walki dawała znać o sobie, stanowiła natomiast liczący się fakt polityczny.

Jak pisał w rozkazie do żołnierzy na początku sierpnia 1915 roku Józef Piłsudski: *„wyrobił się u nas ten typ żołnierza, jakiego nie znała dotąd Polska. Nie brawura, nie błyskotka żołnierska stanowi naistotniejszą naszą cechę, lecz ten przedziwny spokój i równowaga w pracy bez względu na przeciwności jakie nas spotykają... Rok ciężkiej pracy minął.. i teraz po roku wojny, jak w początku jesteśmy tylko awangardą wojenną Polski, a także jej awangardą moralną".*

Nieco wcześniej, w czerwcu 1915 roku, miała miejsce słynna szarża 2 szwadronu 2 pułku ułanów pod Rarańczą, gdzie zginął prawie cały szwadron z dowódcą rotmistrzem Dunin-Wąsowiczem. Szwadron dokonał rzeczy uważanej, za niemożliwą zdobywając szarżą trzy linie umocnień strzeleckich i atakując główną pozycję nieprzyjaciela. Był to niewątpliwie czyn na miarę Somosierry, z tym, że w zdecydowanie bardziej etycznie czystych dokonany okolicznościach.

Druga z ciężkich bitew stoczonych w tym czasie — to bój pod wsią Kostiuchnówka w lipcu 1916 roku, gdzie na legionowe pułki uderzyły przeważające siły rosyjskie. Chęć przełamania pozycji przez Rosjan była podyktowana względami militarnymi i politycznymi. Dowództwo rosyjskie dążyło do zniszczenia oddziałów legionowych, przysparzających im problemów politycznej natury.

Jesienne walki rozsławiające imię Legionów, nadawanie w I Brygadzie pierwszych odznak „Za wierną służbę", zbiegło się z decyzją Józefa Piłsudskiego o podaniu się do dymisji. Była to konsekwencja uświadomienia sobie, iż wszelkie jego zabiegi o zadeklarowaniu przez państwa centralne swego zrozumienia dla sprawy niepodległości Polski pozostają bez echa, i że czyn legionowy nie może zmienić tego stanu rzeczy.

Bez komendanta

Odejście Józefa Piłsudskiego spowodowało jednak w sferach austriackich pewne zamieszanie. Żołnierz legionowy — jak się okazało bardzo dobry — był przecież potrzebny. Wkrótce potem, 5 listopada 1916 roku ukazała się deklaracja cesarzy Niemiec i Austrii — obietnica utworzenia po zwycięskiej wojnie niepodległego państwa polskiego. W utworzonej tymczasowej Radzie Stanu, na czele Komisji Wojskowej postawiono Józefa Piłsudskiego, rozumiejąc, iż bez niego nabór do wojska będzie w najlepszym przypadku niewielki.

Józef Piłsudski szukał powodów do zerwania z dotychczasowymi sojusznikami. Było to już po rewolucji lutowej w Rosji i zdaniem Piłsudskiego *„Rosja przestała zagrażać".* Był to także okres, w którym stało się oczywiste, że państwa centralne nie wyjdą z wojny zwycięsko. Ułatwiła sprawę decyzja władz niemieckich o obowiązku złożenia przez legionistów przysięgi na wierność krajom sprzymierzonym.

Józef Piłsudski wbrew Tymczasowej Radzie Stanu, wbrew Komendzie Legionów wezwał żołnierzy do nieskładania przysięgi. Podporządkowując się jego stanowisku żołnierze I i III Brygady stwierdzili, że niezbędne jest *„utworzenie rządu narodowego wyposażonego w pełnię władzy. Oddanie Legionów pod władzę narodowego rządu i uczynienie kadrami armii polskiej".*

Gdy do zbuntowanych żołnierzy przybyli przedstawiciele Tymczasowej Rady Stanu i Komendy Legionów aby nakłonić do złożenia przysięgi, miała miejsce scena jakby z Sienkiewiczowskiego „Potopu" wyjęta. Pod nogi przybyłych, na oczach uformowanych oddziałów *„oficerowie I Brygady rzucali swoje szable".*

Był to praktycznie koniec Legionów Polskich. II Brygadę przekształcono w Polski Korpus Posiłkowy i przekazano Austrii. W przypadku I i III Brygady, oficerów i żołnierzy pochodzących z Królestwa Polskiego internowano w obozach jenieckich. Oficerów z Galicji zwolniono z szeregów, a żołnierzy wcielono do jednostek austriackich. Za Józefem Piłsudskim 22 lipca 1917 roku zamknęły się wrota twierdzy w Magdeburgu.

O miejsce w historii

Legionowego czynu zbrojnego nie można oceniać w kategoriach ilościowych. Sens legionowej epopei to — po pierwsze — fakt, iż w amfiteatrze wielkiej wojny nie zabrakło — jak to podkreślił Józef Piłsudski — polskiej szabli. Powołać by się tu można na słowa Ignacego Daszyńskiego, że *„tylko garść Piłsudskiego wywiesiła śmiało sztandar niepodległości Polski, ona jedna nie taiła swoich zamiarów, ona jedna była przekonana, że trudzi się i umiera za Polskę".*

I miał rację Stanisław Zieliński, który w posłowiu do „Huraganu" pisał, iż *„taką miedzą, przeszłość że tyle było Polski, ile kompanii i szwadronów, ile patriotycznej ofiarności i męstwa"*, myśl tę odnieść trzeba by także do legionowych brygad.

Naiwnością byłoby, oczywiście sądzić — co zresztą próbowała wmówić społeczeństwu międzywojenna oficjalna propaganda — że Józef Piłsudski czynem zbrojnym legionowym Polskę wywalczył. Niewątpliwie jednak wśród czynników, które urzeczywistniły Polskę Odrodzoną znajduje się także legionowa epopeja. Przez trzy najtrudniejsze lata wielkiej wojny żołnierz polski w polskim mundurze i pod polską komendą bił się i umierał za przyszłą Niepodległą.

Kolejny aspekt sensu legionowego czynu przedstawiają słowa Józefa Piłsudskiego, które wypowiedział wiosną 1916 roku w gronie członków Naczelnego Komitetu Narodowego. Jest to aspekt bardziej etyczny niż polityczny, ale przecież jakże był ważny dla narodu pozbawionego niepodległości.

„Myśmy się porywali z „motyką na słońce" — powiedział — *dmuchali przeciwko wichurze nieufności, pogardy dla tych co się ważą na takie szalone czyny. Ale jeden jedyny tylko strach nas ogarniał, byśmy się nie stali śmiesznymi w historii, aby nie przysporzyć narodowi polskiemu jeszcze jednego upokorzenia. Żyła w nas ta wściekła ambicja: Własnymi siłami wytworzyć nowe wartości polskie".*

A w liście do prezesa NKN Władysława Leopolda Jaworskiego, Józef Piłsudski pisał:

„Niech mi Pan Prezes wierzy, gdybym mógł swych młodych żołnierzy, śniących w grobie o Polsce zapytać o zdanie szczerze — a umarli i umierający nie kłamią — powiedzieliby wraz ze mną, ich wodzem, że nie żałujemy ani krwi, ani ofiar, gdy ten sen i marzenie długich lat się ziściły. Żołnierz polski, własnemi polskimi siłami stworzony, dał swej ojczyźnie nową wartość, której bez niego nie posiadała".

Czyn legionowy poprzedzała ponadwiekowa niewola, ponadwiekowy okres prób germanizowania i rusyfikowania narodu. Poprzedzały go dramaty tragicznych narodowych powstań. Jeżeli uświadomimy sobie istotę tamtego czasu, owe kilkadziesiąt tysięcy w szarych mundurach nabierze zupełnie innego wymiaru.

Czyn zbrojny legionowy. Zarejestrujmy go w narodowej pamięci, jako jeszcze jeden zryw walecznych, przepełnionych myślą o wolnej Polsce.

(fragment przygotowanej do druku książki „Siwy strzelca strój")

To stało się już sprawą życia lub śmierci!

Niebezpieczeństwo czyha na nas w powietrzu, wodzie i na ziemi

RYSZARD BINKOWSKI

Tylko najstarsi pamiętają, co zostało Łodzi z dawnych lat, gdy w 1945 r. do miasta przyszła wolność. Zagospodarowanie przestrzenne w zasadzie nie istniało. Mieliśmy zagęszczony konglomerat budynków przemysłowych i mieszkalnych, wąskie ulice, brak wodociągów i kanalizacji, setki dymiących kominów. I szczerze mówiąc, dopiero w latach siedemdziesiątych nastąpiły w tej dziedzinie pewne korzystne zmiany. Nie były to jednak zmiany na skalę potrzeb, szczególnie w zakresie ochrony środowiska. Ba, nawet **uchwała RN MŁ z 23.IV.1985 r. w sprawie działań na lata 1985—1990 na rzecz ochrony środowiska nie doczekała się pełnej realizacji.** Radykalnej poprawy nie widać, chociaż poważnym ostrzeżeniem były głosy padające na konferencji naukowej nt. wpływu aglomeracji przemysłowych na środowisko człowieka na przykładzie makroregionu łódzkiego, której głównym organizatorem był Komitet Międzyuczelniany ZSL w Łodzi.

Zarzuca się środkom masowego przekazu, że pokazują tylko sytuacje ekstremalne, najgorsze, najtragiczniejsze. Wszyscy ponoć gonią za tanią sensacją, aby straszyć i przygnębiać ludzi, a w konsekwencji to, co się ukazuje w gazetach, radiu i telewizji, jest dezinformacją, a nie informacją. No cóż, faktem jest, że wszyscy mówimy o skutkach, nikt natomiast nie zajmuje się usuwaniem przyczyn ani profilaktyką, a przecież zagrożenie środowiska leży w źródłach jego powstawania. Trzeba sobie bowiem uzmysłowić, że **za stan środowiska nie odpowiada wyłącznie Wydział Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii.** Wydaje się, iż w obecnej sytuacji dyrektor tego wydziału ma najcięższe życie, nie znajduje bowiem sprzymierzeńców w innych wydziałach UMŁ. Być może jest to smutna prawda, ale właśnie na tym polu następuje szczególne skłócenie interesów, toteż **jedynym sojusznikiem mogą tu być Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej oraz Wydział Rolnictwa,** chociaż takie np. rolnictwo samo w sobie stanowi zagrożenie dla środowiska.

Skoro jednak mamy rzecz traktować poważnie, to powiedzmy uczciwie, iż **nie ma możliwości, aby wszystko naraz w Łodzi poprawić.** Trzeba się zająć przede wszystkim tym, co decyduje o życiu miasta, sprawami priorytetowymi, a do tych należy bez wątpienia

zaopatrzenie w wodę

Okazuje się, że **mamy najlepszą wodę pitną w Polsce.** Tak, bo pijemy mieszankę wód podziemnych i uzdatnionej wody rzecznej. 70 proc. zużycia stanowi woda z Pilicy, 30 proc. zaś wody podziemne zlokalizowane w województwie łódzkim. Użytkownicy wprawdzie nie twierdzą, że ich woda jest najwspanialsza, ale gdyby nawet tak było, to szczęście nie może trwać wiecznie.

Deficyt dobowy wody rośnie i będzie wzrastać. Od 120 lat ludność i rozwijający się przemysł łódzki korzystały wyłącznie z wód podziemnych. Doprowadziło to do naruszania równowagi w zasobach wód. W centrum łódzkiej depresji górnokredowej zwierciadło wody obniżyło się o około 70 metrów, a więc poniżej dopuszczalnego poziomu chroniącego przed zaburzeniami w dopływie wody. A ponieważ studnie, w liczbie 4000, były na dodatek niekorzystnie rozmieszczone, generalnie zmniejszyła się ich wydajność, przy czym wiele po prostu wyschło.

Dlatego też w latach 1973—78 trzeba było oddać do użytku pierwszy etap wodociągu **Sulejów — Łódź.** Mimo tego deficyt wody rósł, przybywało bowiem zakładów przemysłowych i wielkich osiedli mieszkaniowych. Władze miasta występowały wielokrotnie o rozpoczęcie II etapu budowy wodociągu z Pilicy, lecz inwestycja ta nie weszła do NPSG na lata 1986—1990, jako inwestycja centralna.

No i teraz musimy sobie uświadomić, **co nam grozi.** Otóż deficyt wody w Łodzi sięgnie w 1990 r. mniej więcej 163 tys. m. sześc. na dobę, a w 1995 r. wzrośnie do ok. 260 tys. m. sześc. na dobę. A ponieważ budowa wodociągu z Pilicy potrwa ok. 10 lat, trzeba ją zacząć jak najwcześniej, aby uniknąć tragedii. Stąd też prezydent Łodzi zwrócił się do premiera, aby budowę rozpocząć już w 1989 r., jako inwestycję centralną.

Póki co, jak to mówią, władze miejskie robią, co mogą, własnymi środkami, aby podreperować nieco stan zaopatrzenia w wodę. W tym celu rozbudowano i zmodernizowano komunalne ujęcie wód podziemnych, m.in. wodociągi **„Żabieniec", „Teofilów"** i **„Centralna".** Ponadto sieć wodociągowa w miastach woj. łódzkiego wzrosła z 778 km w 1976 r. do 1032 km w roku 1986. Zwodociągowano też, jak się to brzydko mówi, 60 wsi, a jeśli do 1990 r. dojdzie drugie tyle, to zaspokoi się potrzeby w tym zakresie w ok. 40 proc.

To, że w naszych mieszkaniach leci jeszcze coś z kranów, zawdzięczamy racjonowaniu wody dla przemysłu i ograniczeniu poboru przez fabryki wód podziemnych. W sumie w **zakładach przemysłowych pracuje 213 instalacji zamkniętego obiegu wody lub wtórnego jej wykorzystania.**

Nikomu nie należy życzyć, aby pił wodę odnawianą ze ścieków. Ale technologia ta już jest znana i praktykowana, i Łodzi także to grozi. Aby tego uniknąć, a przynajmniej odłożyć to do XXI w., szczególnego znaczenia nabiera dziś

ochrona wód

Maleńkie województwo łódzkie leży na tzw. wododziale, co sprawia, że praktycznie brak jest tutaj zasobów wód powierzchniowych, które dałoby się wykorzystać do celów pitnych lub przemysłowych, jak też rekreacyjnych czy hodowlanych. Mimo to w latach 1976—1987 udało się wybudować 85 takich zbiorników retencyjnych o łącznej powierzchni 497 ha. I nadal się je buduje. W **Strykowie** i w **Dobrej** na rzece Moszczenicy, na Mrodze w **Głownie,** no i wiele stawów rybnych w **Bałdowie** i u innych rolników.

Aby jednak zbiorniki retencyjne spełniały właściwie swoją rolę, niezbędna jest regulacja i czystość rzek, a tutaj pozostało jeszcze wiele do zrobienia. O ile regulacja leży w granicach możliwości, o tyle utrzymanie czystości jest sprawą wielce trudną. Bo **ochrona wód może być zapewniona tylko przez uruchomienie Grupowej Oczyszczalni Ścieków,** która rozwiązałaby w 90 proc. ten problem. A nie jest to wyłącznie problem lokalny, bo zatruwając **Ner** i **Bzurę,** zatruwamy Polskę.

Wyjątkowo toksyczne zanieczyszczenie **Bzury** to nie tylko brak wody pitnej w całym jej biegu (166 km), ale i niemożność nawodnienia ok. 50 tys. ha użytków rolnych. To także degradacja i niszczenie użytków zielonych przez trujące wylewy.

Ner z kolei to cuchnący, beztlenowy kanał o dług. 122 km. Zagrożenie dla rzeki **Warty,** a tym samym dla wodociągów **Konina i Poznania,** kanału **Warta — Gopło i Noteci.**

Tymczasem budowa GOS znalazła się w zastoju. Prezydent Łodzi występował do Komisji Planowania o wykorzystanie limitu dewiz na zakup materiałów antykorozyjnych. Najpierw miały to być specjalne żywice, potem okazało się, że potrzebne są glazury. **KŁ PZPR** zwracał się do wicepremiera o skierowanie na budowę GOS specjalistycznego wykonawstwa spoza granic województwa i o stałe dostawy materiałów i urządzeń.

No i jest tak, że są już miliardy złotówek, nie ma natomiast głównego wykonawcy, a za te pieniądze nie ma po prostu co kupić. I jeśli ten zestaw materiałów i urządzeń nie znajdzie się w zamówieniu rządowym, to sprawa nie ruszy z miejsca.

A tu **trzeba już budować oczyszczalnie ścieków w Głownie, Strykowie i Ozorkowie.** Nie dość tego. Więcej wodociągów wiejskich to konieczność odprowadzenia i oczyszczenia ścieków ze wsi. Jeżeli, na przykład, nie skanalizuje się **Rzgowa** i nie odprowadzi ścieków kolektorem do GOS, co na razie jest niemożliwe, trzeba jak najszybciej zbudować tam oczyszczalnię. Sprawa jest na etapie dokumentacji. Gdyby nie posunęła się do przodu, **wkrótce szlag trafi ostatni odcinek czystego Neru, hodowlę karpi w Gospodarzu i Stawy Stefańskiego.**

To samo zresztą dotyczy **Pabianic.** Wprawdzie dwa tamtejsze zakłady — **„Pamotex"** i **„Środki Opatrunkowe"** — podjęły się budowy oczyszczalni, ale rzeka **Dobrzynka** nadal będzie barwna i cuchnąca, bo największym trucicielem jest pabianicka „Polfa".

Najgorsze, że tam, gdzie od dawna funkcjonują wodociągi, **stare studnie zamienia się w szamba.** Od 1975 r. nadzór budowlany funkcjonuje na tej zasadzie, że budynek i towarzyszące mu urządzenia sanitarne sprawdza się po włączeniu ich do eksploatacji. Można więc zbudować nieszczelne szambo, żeby nie wywozić za często nieczystości, i z głowy. A potem chłopi skarżą się, że w rowach melioracyjnych płynie coś cuchnącego.

Członków Komisji Ochrony Środowiska WK ZSL w Łodzi pewnie to zdenerwuje, podobnie zresztą jak zarzut, że chłopi zatruwają środowisko nie przestrzegając terminów agrotechnicznych. Ano, rolnicy wysiewają nawozy i środki chmiczne wtedy, kiedy mogą je kupić. A gdy zamówią usługę w SKR, ta wykonuje ją w dwa tygodnie po terminie, a na dodatek nie wiadomo, co za świństwo sypie na chłopskim polu.

Najsmutniejsze jednak jest to, że cierpimy za bezmyślność decydentów, którzy wykroili nam województwo o rozmiarach większego pegeeru. I teraz jest tak, że władze łódzkie muszą płacić miliony za konserwację zbiornika sulejowskiego, na którego dnie **rosną na potęgę szkodliwe mikroorganizmy zatruwające wodę dla Łodzi.** Ba, wskutek zanieczyszczeń przemysłowych i rolniczych **pogarsza się stan wody w Sulejowie, bo zagrożone jest całe zlewisko w górnym biegu Pilicy.** Aby mieć czystą wodę, Łódź musi się martwić o to, co się dzieje w innym województwie. Musi płacić i chronić obcy teren, **zlecać prace ochroniarskie naukowcom z Wrocławia i Krakowa.**

Ratujemy się więc, jak możemy, lecz aby żyć, potrzebna jest nie tylko woda. Potrzebne jest jeszcze trochę słońca, a przede wszystkim zdrowe

powietrze

Gdy z krajobrazu miasta znikają setki dymiących kominów, tym bardziej razi i denerwuje jeden dymiący kopciuch. A jeszcze bardziej denerwuje śledztwo prowadzone przez telewizję warszawską w sprawie kotłowni **„Delty".** Wychodzi na to, że **w Łodzi nikt się nie liczy z samorządem, radni są bezradni, a prezydent ubezwłasnowolniony.** Nikt bowiem nie raczył powiedzieć, że sprawa zamknięcia kotłowni **„Delty"** ciągnęła się przez lata, ponieważ produkcja tego zakładu miała bardzo ważne znaczenie.

Komin „Delty" już nie dymi, teraz kolej na Łódzką Fabrykę Mebli, która chciałaby się podłączyć do ciepłowni miejskiej. Ale czym wówczas ogrzeje się mieszkania?

W latach 1985—87 zlikwidowano w Łodzi 10 lokalnych kotłowni c.o. oraz ok. 250 palenisk domowych **na Widzewie,** a także 2 kotłownie przemysłowe, **„Polmosu"** i **„Ariadny".** W wyniku budowy **EC-III w ZPB „Boruta"** i zainstalowaniu tam elektrofiltrów, do 1990 r. **planuje się zamknięcie w Zgierzu 14 lokalnych kotłowni.** Najtrudniej jest w **Pabianicach,** gdzie zadymienie zmniejszy się dopiero po 1990 r., o ile do tego czasu rozbuduje się ciepłownię miejską.

W centrum Łodzi będą musiały pozostać lokalne kotłownie, ponieważ wyczerpał się bilans ciepłowniczy miasta. W planie jest likwidacja EC-I oraz budowa EC-V, ale dopiero po 2000 r. Tak więc nadal centrum miasta stanowi obszar o przekroczonej normie opadu pyłu, przy czym w rejonie EC-II rocznie spada na kilometr kw. 800 ton pyłów. Wolne od przekroczeń tych norm są tylko tereny wiejskie.

Ponadto, wskutek zasiarczenia węgla, notuje się tu i ówdzie nadmierne stężenie dwutlenku siarki, a *w sąsiedztwie arterii komunikacyjnych występują przekroczenia norm stężenia* tlenku węgla.

Nie jest dobrze, ale stref ochronnych także nie można tworzyć, bo wówczas zamraża się tereny miejskie, architekci biją na alarm, że nie ma gdzie budować, i zaczyna się ekspansja miasta na tereny rolnicze. Jak nie kijem go, to pałą.

A gdzie wysypywać tysiące ton popiołów? Do województw ościennych nas nie wpuszczą. Narzekamy przy tym na brak materiałów budowlanych, a przecież taka „Kurzawka" przy ul. Wieniawskiego produkuje je z pyłów elektrociepłowni im. Włodzimierza Lenina, przerabiając 30 proc. tych pyłów. Dlaczego istnieje tylko jedna taka fabryka „domów z dymu"?

W Łodzi szerzą się choroby dróg oddechowych, wysoka jest umieralność niemowląt. Czy dzieje się tak pod wpływem skażenia środowiska? Lekarze nie potrafią odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ od lat nie prowadzi się badań pod tym kątem. Gdyby dyrektor **Wydziału Ochrony Środowiska** znał źródła tych chorób, miałby prawo zlikwidować te źródła. Może więc nie zaleca się prowadzenia badań, aby nie zamykać szkodliwych dla zdrowia fabryk?

Rosną kary za zanieczyszczenia środowiska, w ostatnich dwóch latach ściągnięto ich za 4,5 mld złotych. I nikt, cholera, nie przychodzi po te pieniądze. Bo na co komu pieniądze, skoro nie ma za nie co kupić? **Fabryka w Końskich** zrezygnowała nawet z produkcji najprostszych urządzeń odpylających typu „Cyklon".

Ale to nie wszystko. Bo czyste powietrze i podziemne źródła wody możemy także stracić i to z innego powodu. Mogą ulec zatruciu, gdy zasypie nas

góra odpadów

Każda akcja typu „Posesja" czy „Pomarańczek" powoduje, iż **przybywa nam dzikich wysypisk śmieci.** Bo jak oni sypną ci mandat, ty wywozisz cichcem wszelkie świństwo i zsypujesz do rowu, do zagajnika, nawet na zaniedbany cmentarz. Nic, tylko zgrzytać zębami i przeklinać tych, co zafundowali nam takie wielkie województwo. Nie ma gdzie wywozić odpadów, toteż aby na terenie miasta zlokalizować wysypiska, przyłącza się do Łodzi wieś **Łaskowice** i **Nowosolną.** Bo takie wysypiska, jak zamknięte już, w **Józefowie,** czy też przy ul. Marmurowej, ostatnio zaś w **Nowosolnej,** funkcjonują nielegalnie, na wariackich papierach. Odpady składa się tam w miejscu i w sposób nie zabezpieczający środowiska przed ich szkodliwym wpływem i wbrew warunkom określonym przez służby ochrony środowiska i służby sanitarne. Jeśli skażeniu ulegną wody podziemne, grozi nam klęska ekologiczna.

To, że dusimy się w śmieciach, niektórzy tłumaczą opornością ludności **Pałczewa.** A przecież tamtejsi chłopi postawili barykady broniąc się nie tylko przed przyjemnościami, jakie daje towarzystwo wielkiego wysypiska. Oni bronią przyrody, źródeł czystej wody.

Wysypisko musi jednak tam być, na jego budowę w latach 1988—1990 przeznacza się ponad 220 mln złotych. To bardzo dobrze, tylko trochę za późno. Gdyby tam wcześniej zbudowano bezpieczne dojazdy, gdyby przed dziesięciu laty posadzono pasy drzew i postawiono właściwe ogrodzenia, które chroniłyby przed zapachem i roznoszeniem śmieci, gdyby wreszcie wyłożono folią ściany i wybetonowano dno, co zabezpieczałoby glebę i wody przed skażeniem, nie byłoby dzisiaj problemu barykad.

Tymczasem zagrożeniem stają się już nie tylko miejskie odpady komunalne. Problemem staje się usuwanie odpadów stałych z terenów wiejskich. Dlatego też z inicjatywy **Wydziału Ochrony Środowiska w Gminie Stryków** rozpoczęto kontenerową wywózkę śmieci na wysypisko gminne. Z podobnym zamiarem wystąpiły także **gminy Zgierz i Głowno.** Być może pomoże to w jakiś sposób w likwidacji plagi dzikich wysypisk.

Ale wolne tereny kurczą się, toteż w niedalekiej przyszłości nie pozostanie nam nic innego, jak **spalanie odpadów komunalnych, przeróbka chemiczna lub kompostowanie.** Sprawa idzie jak z kamienia, gdyż w grę wchodzą ciężkie pieniądze, i to w walutach obcych. Ale chodzi także o ratunek dla całej aglomeracji. Maszyny i urządzenia do utylizacji są szalenie drogie, niemniej jednak prowadzi się już rozmowy w sprawie uruchomienia kompostowni oraz budowy stacji przeładunkowej odpadów komunalnych dla miasta Łodzi. Kompostownia ma być oparta o technologię zagraniczną firmy „Dano" lub firmy angielskiej „Tollemacke".

Abyśmy jednak nie zadusili się we własnych śmieciach, musimy zadbać o naturalnego sojusznika, który pomoże nam przetrwać. A tym *sojusznikiem jest otaczająca nas przyroda, w szczególności zaś*

zieleń

Na terenie województwa w praktyce wyczerpano istniejące możliwości w zakresie ustanowienia parków wiejskich (łącznie 36 obiektów) i stref chronionego krajobrazu o pow. 35 tys. ha. Karygodny wydaje się przy tym fakt, że każdej regulacji rzeki towarzyszy masowy wyrąb nadbrzeżnych olch, brzóz, wierzb, wikliny.

Dopóki na zieleń miejską będzie skapywać marny grosz z Wydziału Gospodarki Komunalnej, upadną parki miejskie. Jeśli nie zlikwiduje się „Lunaparku", zniszczeniu ulegnie park na Zdrowiu. A jak ma ratować parki miejskie naczelnik gminy, kiedy nie ma pieniędzy, ludzi, ani narzędzi? Ortodoksi twierdzą, że najlepiej oddać parki byłym właścicielom. Kto wie, może zbyt pochopnie weszliśmy w socjalizm łamiąc parkowe parkany? Może by tak oddać parki w ajencję i wrócić do parkanów? Brać opłaty za relaks, a na dodatek, jak dawniej, zatrudniać dozorców z kołatką lub gwizdkiem?

No cóż, każdy sposób na ratunek jest dobry, a cel uświęca środki. Szkoda tylko, że **bez przerwy wychodzi nam bokiem podział administracyjny z 1975 r.** Oto przygotowany przez Wojewódzką Radę Ochrony Przyrody projekt parku krajobrazowego **rejonu górnej Moszczenicy** trzeba odłożyć do lamusa, ponieważ park ów powinien obejmować kompleksowo teren, na którym występują podobne rośliny, cenne gatunki drzew, fauna itp. Sęk w tym, że znaczna część tego kompleksu krajobrazowego leży w województwie skierniewickim, które nie zgodziło się na włączenie w granice łódzkiego parku swoich zachodnich rubieży. Wojewódzki konserwator przyrody z Łodzi musiał więc uznać, iż nie ma sensu tworzyć miniparku, który na dodatek przetnie wkrótce autostrada Północ-Południe. Ale jest nadzieja że coś się zmieni, bo po 1990 r. mają nastąpić nowe korekty w granicach między województwami. Daj Boże i panie premierze, aby słowo ciałem się stało i Łódź miała wreszcie czym pooddychać.

Ochrona środowiska stała się dziś sprawą życia i śmierci. Nie znaczy to jednak, że należy zamknąć oczy, by nie ujrzeć widma apokalipsy, opuścić ręce i pogrążyć się w krańcowym pesymizmie. Wszyscy przyczyniamy się po trosze do stwarzania sobie piekła na ziemi, toteż sama „góra" nie będzie odpowiadać za warunki, w jakich przyjdzie nam żyć. Odpowiadamy za to wszyscy. A władze niech się starają, i to szybko, aby wszędzie **na szczeblu podstawowym zaczęły działać dobrze zorganizowane służby ochrony środowiska,** w każdym miasteczku i gminie. Jeśli rady narodowe będą bogatsze i bardziej samodzielne, znajdą środki na ochronę środowiska, na propagandę i działalność wychowawczą w tej materii, a wówczas i na naszym podwórku zaświeci jeszcze słońce i pobudzi do życia zmartwiałą ziemię.

Foto: Grzegorz Gałasiński

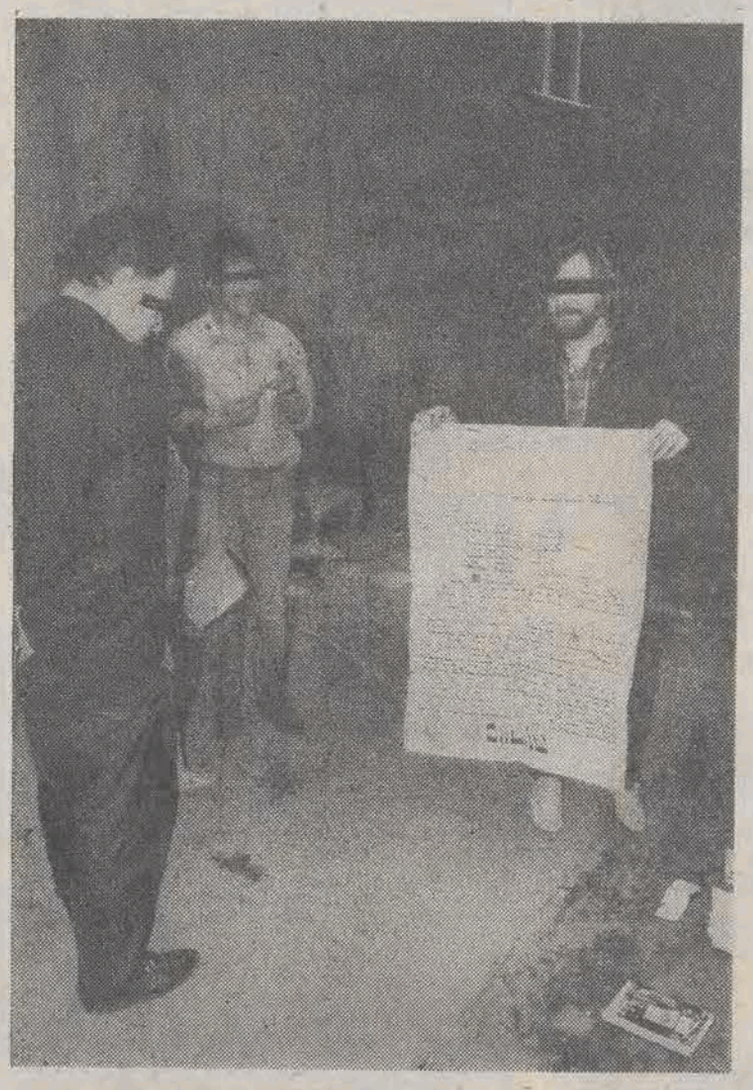

Komu zabrakło wyobraźni i kultury

ze str. 1

Naczelnik dzielnicy Łódź-Śródmieście, do którego poszliśmy 19 maja, naradzał się właśnie w swoim gabinecie z trzema zastępcami.

Narady takie nazywane są wdzięcznie „kierownictwem". Przyjęto nas, a jakże, kawą i herbatą, a my, niewdzięczni, zaczęliśmy zadawać kłopotliwe pytania. (Dzień wcześniej dowiedziałem się w Urzędzie Miasta, że człowiekiem odpowiedzialnym i obecnym przy eksmisji sprzętów z mieszkania rabina jest **zastępca naczelnika dzielnicy, Aleksander Sowa**, obecny na kierownictwie). Ponieważ ukazała się już w „Kurierze" notatka **Konrada Turowskiego** pt. „Skarby na śmietniku", opisująca owe skarby, a wszyscy znaliśmy jej treść, rozmowa nie wymagała wstępu. Naczelnik **Jan Markiewicz** zapewniał nas, że wyrzucono istotnie same śmieci: dwunastoletni kurz i pył i kto w ogóle naopowiadał nam o rzekomych skarbach, bzdura jakaś i nieporozumienie. Naczelnik **Jan Markiewicz** nie brał udziału w eksmisji; ciekawe skąd taka żelazna pewność bijąca z jego słów? Poparł swego szefa **Aleksander Sowa** mówiąc, że („jesteśmy w męskim gronie, to powiem po mesku") znaleziono, owszem, ale wstydliwe ślady kobiecości pani rabinowej i to właśnie wszystko, takie tam cenne rzeczy?

Zdziwieniom nie było końca. Powiedziałem wtedy, że przypadek zrządził, iż mieszkam w tej samej kamienicy i całą sytuację miałem prawie przed oknami, widziałem grzebałem w papierach, koledzy też zrobiono zdjęcia, jest dokumentacja, rzeczy cenne i mniej cenne są u ludzi. Panowie nie wydawali się przekonani, na wszelki wypadek zapewne zaapelowali do nas, by ze sprawy nie robić sensacji, by uspokoić opinię publiczną.

— Panowie, pomyślcie, kto tu naprawdę zrobił sensację? — **zapytał Konrad Turowski** — przecież nie ja. Ja przyszedłem na gotowe.

Odpowiedzialny za eksmisję **Aleksander Sowa** nie potrafił precyzyjnie określić, w ilu workach zapakowane są książki, nie mówiąc o dokładnej ilości samych książek; stwierdzono enigmatycznie, że dobytek wywieziono w odpowiednie miejsce, ale nikt niepowołany nie dowie się gdzie. Naczelnik **Jan Markiewicz** obiecał nam, że zostaniemy zaproszeni, gdy komisyjnie spisywać się będzie zawartość worków. Trzymam za słowo.

Dowiedzieliśmy się, że wyrok sądu o eksmisję zapadł w 1976 roku, a więc 12 lat temu.

I wtedy wyjaśniliśmy rozmówcom, że nie budzi naszych najmniejszych wątpliwości zasadność i konieczność działań eksmisyjnych. Zastrzeżenia i protest wzbudzają dwie okoliczności.

Po pierwsze — **dlaczego, w sytuacji niezaspokojonego głodu mieszkaniowego, lokal stoi 12 lat pusty?**

Po drugie — **karygodny sposób potraktowania mienia (tym bardziej że o wartości archiwalno-historycznej) człowieka, który gdzieś tam przecież żyje?**

A nawet gdyby nie żył, tak się nie postępuje. I nieważne, czy to Żyd, Turek, Eskimos albo kelner. Dowiedzieliśmy się również, że akta sprawy znajdują się w biurku u **kierowniczki Wydziału Spraw Lokalowych dzielnicy Śródmieście, ale jest ona na zwolnieniu, biurko zamknięte na klucz, a klucz ma przy sobie.**

Powiedziano nam, że pełnomocnikiem interesów **Wawy M.** ustanowiono sądownie **Teresę Stefańską z PGM Łódź-Śródmieście.** Teresa Stefańska od razu zastrzegła, że jest pełnomocnikiem z urzędu, że dyrektor PGM zlecił jej przyjęcie funkcji tylko dlatego, że pracowała kiedyś w dziale czynszów i orientowała się, jakie zadłużenie obciąża lokal przy al. Kościuszki. **W roku 1984 wynosiło ono 1.214.536 zł).** Dodała, iż po raz pierwszy w życiu obecna była przy egzekucji i nie zna się na prawie, co, jak sądzę, powinno być podstawową umiejętnością pełnomocnika cudzych interesów. Gdy zorientowała się, w co ją wpakowano, w poniedziałek, 16 maja 1988 roku **złożyła w sądzie kategoryczną rezygnację z funkcji pełnomocnika.** Cała eksmisja przeprowadzona została na zlecenie **śródmiejskiego Wydziału Spraw Lokalowych,** protokół jest tamże, ale kierowniczka na zwolnieniu, biurko, klucz, to już było.

Pamiętała jednak Teresa Stefańska, że zapakowano książki do 157 worków, 5970 — w języku hebrajskim i jidisz, w 9 workach 529 książek innych, 9 worków z makulaturą i jeden z dokumentami.

— Książki te wraz z meblami — **powiedziała** — przewieziono do jakiejś piwnicy.

Pięknie. Przez 12 lat stały w nie wietrzonym mieszkaniu, teraz wsadzono je do piwnicy. Zmiany temperatury i wilgotności spowodują, że w błyskawicznym tempie mogą zbutwieć. **A według przewodniczącego Kongregacji Wyznania Mojżeszowego w Łodzi, najstarsza księga w zbiorach rabina M. ma 1100 lat.** Kongregacje: łódzka i warszawska **odmówiły jednak, z sobie znanych powodów, asysty przy eksmitowaniu dobytku z mieszkania rabina.**

Idziemy do **Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi,** którego przedstawiciel również zaangażowany był w tę kompromitującą sprawę. Ale zaangażowany pozytywnie. Pani kustosz, specjalista ds. konserwacji i dokumentacji zabytków — **Anna Teodorczyk** — określa ją krótko: **„skandal!".** Mówi, iż w czasie wstępnych, kilkunastominutowych oględzin mieszkania przestrzegała:

— Mieszkanie stało puste 12 lat, jeszcze dwa miesiące nikogo nie zbawią. Trzeba w tym czasie zinwentaryzować wszystko, co znajduje się we wnętrzu.

Przestrogi zdały się na nic. Skutek ich był taki, że gdy doszło do właściwej eksmisji niedługo później, **nie powiadomiono Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ o terminie. Wydziału Spraw Lokalowych UMŁ zresztą też nie.** Może uznano, że będą nadmiernie przeszkadzać?

Księgozbiór trzeba uratować. Biblioteka im. Ludwika Waryńskiego nie chciała przyjąć całego zbioru judaiców, tylko poszczególne tomy, gdyż nie pozwala na to brak miejsca. To samo **Muzeum Historii Miasta Łodzi.** Zainteresowanie księgozbiorem i to mocne zainteresowanie wykazuje **Towarzystwo Społ.-Kult. Żydów.** Znalazłyby się i pomieszczenia. Tylko do kogo z tym iść? Jest bowiem obawa, że sprawa będzie się ciągnąć miesiącami. Dlaczego? **Konrad Turowski** podał naczelnikom Śródmieścia personalia i numer telefonu znawcy języków hebrajskiego i jidisz, gdyż on wyraził zainteresowanie księgami. Do dziś nikt się z nim nie skontaktował. Dlatego!

Niefrasobliwość też musi mieć jakieś granice.

Podobno jeden z wiceprezydentów miasta powołał specjalną komisję, która zbadać ma prawidłowość przebiegu eksmisji i ustalić ewentualnych winnych. Wielka szkoda, że komisje powołuje się, gdy błędy już zostały popełnione, a nie przed ich popełnieniem. Nawet jeśli znajdą się winni (a może za pół roku już się o wszystkim zapomni?), nic nie naprawi szkód i nie odbuduje tak łatwo zaufania do poczynań przedstawicieli władzy.

Nie chcę mówić rzeczy oczywistych: o kilkusetletniej tradycji, o wspólnocie historycznej Żydów i Polaków, o wspólnym tragizmie ostatniej wojny, o potrzebie wzajemnego szacunku. W tak delikatnej materii potrzebne są raczej białe rękawiczki niż butna bezmyślność. I odpowiedni ludzie.

Zastanawialiśmy się w gronie znajomych, co lub kto może stać za tak rażącym przejawem arogancji, lekceważenia norm prawnych i poczucia bezkarności. Wychodziło nam tylko jedno: głupota.

MAREK KOPROWSKI

Foto: Konrad Turowski

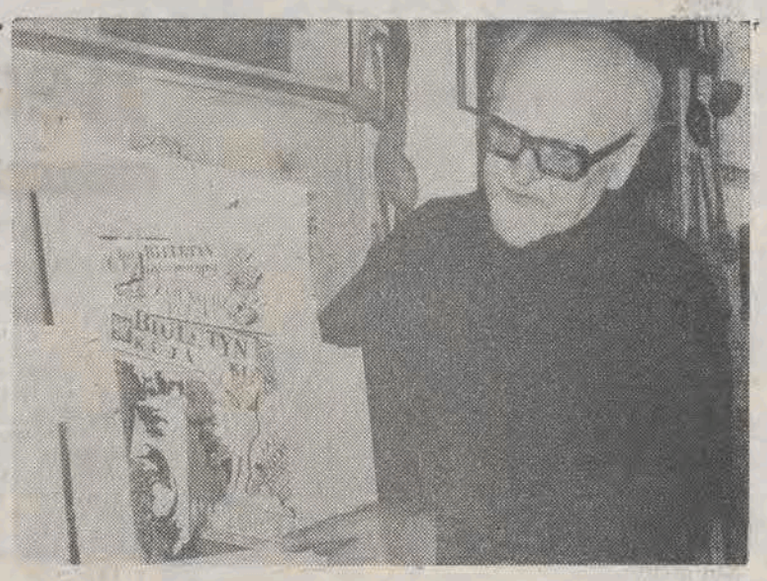

Mówi: Jerzy Wieczorek

— Ma pan w Zgierzu opinię dziwaka i ekscentryka, być może dlatego, że paraduje pan w pelerynie, na wzór artysty okresu Młodej Polski, kiedy ten strój służył nieraz do ukrycia mankamentów garderoby. Czy chce pan w ten sposób podkreślić swoją więź z artystowskimi ideałami ówczesnej sztuki?

— Nie pragnę utożsamiać się z epoką młodopolską, nie uprawiam też kokieterii. Zawsze chcę być wierny sobie, swojej życiowej filozofii i żeby mnie odbierano takim, jakim jestem w istocie. Uważam zresztą, że udaje mi się zachowywać twarz bez względu na koniunktury i układy.

— Wiem, że uchodził pan powszechnie za nonkonformistę, za człowieka, który potrafi „wygarnąć" władzy i może dlatego niektórym wydało się zaskakujące pańskie przystąpienie do PRON.

— Nie powinno to być zaskakujące dla nikogo, kto znał moje troski i niepokoje o losy kraju w dramatycznych latach 1980—1981. Jestem legalistą i nie poszedłem na żadne awantury...

— Widząc tę mnogość różnorodnych prac, które zapełniają oba pokoje od podłogi do sufitu, a nawet wiszą nad głową w przedpokoju — od dzieł własnych sztuki czystej do wytworów użytkowych różnej proweniencji, jak choćby te setki drewnianych łyżek, nie mogę oprzeć się zaciekawieniu pańskim życiorysem artystycznym...

— Zacząłem w 1937 r. od malarstwa, jeszcze jako uczeń zgierskiego liceum ogólnokształcącego. Po przerwie wojennej kończyłem liceum plastyczne w Łodzi, ale prawie równolegle chodziłem do wyższej szkoły plastycznej przy ul. Gabriela Narutowicza w Łodzi. Tu zaabsorbowała mnie najpierw grafika, potem znów malarstwo i wcześnie zaczął się też krystalizować mój pociąg do scenografii filmowej, w której szukałem własnych dróg pod wpływem teorii widzenia Władysława Strzemińskiego. Swoje impresyjne spojrzenie na scenografię scharakteryzowałbym jako dążność do uzupełniania treści dramatycznej filmu, nie zaś na jej emocjonalnym „dublowaniu". Od początku zresztą fascynował mnie film naukowy i mam w nim trochę swoich dokonań. Studiowałem zresztą już jako żonaty i dzieciaty, utrzymując się z nauczania rysunków w szkole podstawowej, a potem średniej. To tak najkrócej...

— Coraz bardziej nie mogę wyjść z podziwu nad zgromadzonym tu pańskim dorobkiem, oprócz bowiem tysięcy rysunków i grafik, akwareli i pasteli, skatalogowanych przeróżnych narzędzi, starodawnych tasaków itp. jest jeszcze choćby ten pokaźny album, zawierający tysiące akowskich nekrologów z całej Polski. A z tego wszystkiego wynika, że umie pan pracować niezwykle intensywnie i szybko.

— Z pewnością — tak. Proszę spojrzeć na rysunki nie istniejących już domków zgierskich tkaczy, utrwalające wprawdzie rysy najbardziej charakterystyczne, ale sporządzałem te prace w tempie kilku na godzinę, a np. z ogólnopolskich plenerów w Ręcznie przywożę po kilkaset rysunków i akwarel

— Podobno nie ma prawie dnia, żeby nie wędrował pan po Zgierzu i okolicy w poszukiwaniu tematu, a zwykle w ślad za informacją, że coś się dzieje, co należałoby utrwalić.

— Polska jest pięknym krajem, interesującym dla plastyka, choćby ze względu na bogactwo form architektury, tej choćby najzwyklejszej, codziennej, z czego bardzo wiele, nieraz pochopnie spisuje się na straty z powodu nie zawsze braku środków.

— A jak pan sobie radzi ze znanymi wszystkim trudnościami zaopatrzenia w materiały, na co plastycy się uskarżają?

— Ja po prostu z wewnętrznego musu nie mogę przestać pracować i działać, toteż nigdy nie zakładam rąk, rysując i malując na czym się da, czego dowodem jest ten cykl pastelі na papierze pakowym.

— Potwierdza pan przysłowie, że potrzeba jest matką wynalazków, ale w to, co tu widzę musiał pan też władować sporo grosza, a niewiele czasu poświęca pan na zarobkowanie.

— Nie mam samochodu, nie przepijam zarobionych pieniędzy, no i niewiele wydaję na osobiste potrzeby. Wracając do tematu peleryny, a mam ich dwie — na zimę i cieplejszą porę, to łącznie z ciemnym strojem z najzwyklejszej tkaniny, który służy mi zamiast garnituru, stanowi to w sumie ubiór niekosztowny.

— Teraz już rozumiem, że to nie poza, ani fanaberia. Ale wracając do pana prac, widzę sporo poświęconych tematyce patriotycznej, z uwzględnieniem okupacji i powstania warszawskiego co uzupełnia arcyciekawy księgozbiór.

— Zarówno ja, jak i moja, nie żyjąca już żona, działaliśmy w konspiracji, byłem na tym terenie dowódcą tajnego harcerstwa i tym samym wchodziłem w skład dowództwa rejonu Armii Krajowej, sporządzałem systematyczne raporty o miejscowej sytuacji, przekazywane wyżej.

— Co mnie jeszcze zdumiewa, że znajduje pan czas na intensywną działalność społeczną na polu kultury, przysparzając sobie swoim nieszablonowym i niepokornym działaniem nie samych tylko przyjaciół.

— Na miarę sił i możliwości, a zwłaszcza zdrowia (jestem po zawałach) nie uchylam się od udzielania się społecznie. W Radzie Narodowej m. Łodzi przewodniczę zespołowi spraw muzeów, zabytków i wystawiennictwa, jestem społecznym opiekunem zabytków w Zgierzu, członkiem głównej komisji selekcyjnej ceramiki i szkła przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, wchodzę w skład zarządu Ogólnopolskiego Komitetu Ochrony Zabytkowych Cmentarzy, przewodniczę też Radzie Seniora Artystów Plastyków w Łodzi.

— Czy w tak urozmaiconej działalności udało się panu coś wskórać — coś przeforsować, czemuś zapobiec?

— Przyczyniłem się do odrzucenia w interpelacji poselskiej stanowiska Ministerstwa Kultury w sprawie druku egzemplarzy książek na trzech gatunkach papieru i w sprawie stosowania zbyt wąskiego marginesu wewnętrznego książek, co sprawia, iż część tekstu znika z oczu po oprawie książki

— Widzę tu całą kolekcję medali i odznaczeń, z których wielu nie znam. Czy to pańskie?

— Tak, moje i rzeczywiście nieraz mało znane, są wśród nich bowiem przyznane nie tylko przez władze PRL. Pozwolę sobie wymienić ważniejsze, nie tyle może według ich rangi, ile według moich odczuć, a więc m.in. Polonia Restituta, Złoty i Srebrny Krzyż Zasługi, medal Polska Swojemu Obrońcy, Krzyż Armii Krajowej, medal Za Udział w Wojnie Obronnej 1939 r...

— Dowiedziałem się, że kandyduje pan na radnego do WRN w Łodzi, znaczy to, że wierzy pan, iż rady nie będą bezradne.

— Już od dłuższego czasu nie są, a teraz zwiększają się ich prerogatywy. Myślę, że potrafiłbym z nich korzystać, gdybym został wybrany.

Rozmawiał: JERZY KWIECIŃSKI

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

★ ★

Wątpię, więc jestem.
A miałem uwierzyć
W piramidę postępu,
Omegę i alfę,
Że się nigdy nie mylił
Kto chce myśl mą gwałtem
Wcisnąć w strop mojej czaszki

Wątpię, choć jestem.
Choć znowu mam wierzyć
W spokój szczegół i detal
W sprzedaży hurtowej,
Że się nigdy nie mylił
Kto mylił się zawsze
Stawiając babki z piasku na tafli lodowej.

Zwątpię gdy będę?
Czy gdy mnie nie będzie?
Co mnie trzyma w tej ziemi?
Przyjaźń czy wrogowie?
Komu rękę mam podać?
Komu przeczyć słowem?
Kto nas wprzęga bez przerwy w koło kwadratowe?

Głośne książki

Matematyk prof. Gumbel wyliczył w 1921 roku, że za 314 morderstw popełnionych przez niemiecką prawicę od 9 listopada 1918 roku wymierzono oskarżonym kary 31 lat i trzech miesięcy więzienia łącznie. Natomiast za 13 morderstw politycznych przypisanych lewicy, sądy wymierzyły kary: 8 wyroków śmierci oraz 176 lat i 10 miesięcy więzienia łącznie.

Przez dziesiątki lat w RFN nie zajmowano się rolą sądownictwa. O udziale wymiaru sprawiedliwości w upadku Republiki Weimarskiej ani nie wspominano w podręcznikach szkolnych, ani nie dyskutowano publicznie. Dopiero wzlot i upadek byłego sędziego marynarki wojennej, po wojnie premiera Badenii—Wirtembergii **Hansa Karla Filbingera** zmusiły do zastanowienia. Nic więc dziwnego że kilka pozycji, które się na temat sądownictwa ukazało, bądź zostało wznowionych wzbudziło duże zainteresowanie.

Można uznać niemal za klasykę — piszą krytycy — wznowioną po 20 latach książkę **Heinricha Hannovera i Elisabeth Hannover-Drueck: „Sądownictwo polityczne 1918—1933"** „Jest to dreszczowiec polityczny z przygnębiającym zakończeniem. Osądzano nazbyt często zamiast czynów karalnych przekonania. Lewica, intelektualiści, robotnicy i artyści spotykali się wręcz z wrogością prawników".

Hitler mógł być wydalony z Niemiec po puczu listopadowym w 1923 r., ale sąd orzekł: „Wobec człowieka, który tak czuje i myśli po niemiecku jak Hitler, nie mogą mieć, zdaniem sądu, zastosowania przepisy ustawy o ochronę republiki".

Wykładowca prawa karnego **Ingo Mueller**, w książce **„Potworni prawnicy"**, też dochodzi do wniosku że to m. in. klasowy wymiar sprawiedliwości utorował nazistom drogę do władzy. Wymiaru sprawiedliwości nie trzeba było w 1933 roku łamać. Większość sędziów, prokuratorów i urzędników sądowych łączył antysemityzm i przekonanie niemiecko-narodowe z nadzieją kariery i z uprzedzającym posłuszeństwem wobec władzy zwierzchniej. Groteskowe naginanie prawa kosztowało życie tysiące ludzi. Po wojnie tacy sędziowie mogli bez przeszkód wspinać się po drabinie kariery. „Fanatyk kary śmierci" jak mówili o nim jego koledzy **Immerwahr Fraenkel**, został w 1962 r. prokuratorem generalnym RFN. Znane są kariery **Globkego, Puvogla i Filbingera**, tak jak znana jest rola wielu adwokatów, bardziej „prokuratorskich" niż prokuratorzy, o czym pisze inny autor — **Stefan Koenig w książce „O służbie prawu"...**

M. B.

Będzie lepiej

mówi MAREK PRYT, pełnomocnik ministra pracy i polityki socjalnej ds. zatrudnienia absolwentów szkół wyższych.

— Dla wielu studentów zadanie pełnomocnika to zbędny obowiązek pośredniczenia w ofertach które studenci znajdują sami. Atrakcyjnej pracy poszukuje się najczęściej w „układach nieoficjalnych", poza tym istnieją wydziały zatrudnienia.

— Wydziały zatrudnienia zajmują się głównie pośrednictwem pracy dla osób o niższych kwalifikacjach. Poza ich kompetencjami mieści się na przykład zatrudnienie nauczycieli, urzędników, niektórych grup prawników. Co najważniejsze zaś — obsługują środowiska lokalne. Moja zaś jurysdykcja obejmuje cały kraj. Poza tym nie kieruję tylko biurem pośrednictwa pracy dla absolwentów. Jesteśmy także jak gdyby terenową stacją „wczesnego ostrzegania". Dane, które przekazujemy centrali służą podejmowaniu decyzji planistycznych, dotyczących skali i kierunków kształcenia w wyższych uczelniach.

Czy nie chodzi jednak głównie o statystyczne uogólnienia? Bo tak chyba myślą studenci twierdząc, że w biurze pełnomocnika nie ma żadnych atrakcyjnych ofert.

— Każdy absolwent może przyjść do mnie i powiedzieć: „panie jest pan tu po to, by mi znaleźć pracę".

— I co pan proponuje?

— Jeśli chodzi o oferty pracy to rzeczywiście niewiele mamy atrakcyjnych. Ale to dlatego, że zbieramy głównie interesujące.

— Ma pan liczne oferty z kuratoriów oświaty i wychowania. A jeśli absolwenci kierunków nauczycielskich szukają pracy poza szkolnictwem?

— Polonistom proponujemy m.in.: biblioteki i wydawnictwa, filologom obcym na przykład działy współpracy z zagranicą w ośrodkach badawczo-rozwojowych. Jeżeli chodzi o inne kierunki uniwersyteckie to ostatnio zmniejsza się powoli liczba ofert dla ekonomistów, choć finansistów ciągle brakuje. Dla prawników mamy na przykład więcej ofert z prokuratur, lecz absolwenci wolą sądownictwo. Absolwenci kierunków politechnicznych mają większe możliwości zatrudnienia, choć chemicy, a ostatnio architekci, podobnie jak socjolodzy, archeolodzy, etnografowie absolwenci niektórych filologii zachodnioeuropejskich uniwersytetu mają aktualnie w około 50 proc. możliwość zatrudnienia zgodnie ze swoimi kwalifikacjami.

— Czy możemy więc mówić o bezrobociu w odniesieniu do absolwentów tych kierunków studiów?

— O bezrobociu na pewno nie. Wszyscy bowiem znajdują zatrudnienie, przynajmniej zgodnie z poziomem wykształcenia.

— Ostatnio ZSP zaproponował powołanie targów pracy. Czy nie uważa pan, że podważa to działalność pełnomocnika?

— Jeszcze za wcześnie, by twierdzić, że jest to konkurencja. Pomysłów tego rodzaju było w przeszłości kilka.

— A pan poszukuje ofert pracy dla studentów?

— Gdybyśmy nie szukali ofert to nie miałbym aż tylu propozycji dla absolwentów.

— I są to propozycje różnorodne z całego kraju?

— Dla inżyniera mechanika na przykład Szczecin. Gdyby był on jednak miłośnikiem żeglarstwa jeziorowego proponowałbym malowniczy Rzeszel w Olsztyńskiem. Polonistki rozkochane w górach zapraszam w Nowosądeckie. Czekają tam na absolwentów hotele pracownicze, kwatery prywatne, mieszkania zakładowe i spółdzielcze.

— I absolwenci przyjmują te oferty...

— Trudno namówić absolwenta — mieszkańca Łodzi do wyjazdu w teren. Na opuszczenie miejsca zamieszkania decyduje się tylko około 5 proc. łodzian.

— Łatwo decydują się jednak na wyjazd z kraju.

— Nie podzielałbym tej opinii. Jest to znikomy procent. W tym roku wyjechało z Uniwersytetu Łódzkiego około dziesięciu absolwentów ostatniego rocznika i nie powiedziane jest, że nie wróca do Polski.

— Wielu absolwentów poszukuje pracy w tzw.: sektorze nieuspołecznionym.

— Traktują sektor nieuspołecznionym jako część składową gospodarki narodowej która też powinna korzystać z wysokich kwalifikacji naszych inżynierów czy ekonomistów. Nasi absolwenci są tam przyzwoicie wynagradzani.

— Oczekuje pan ofert z gospodarki nieuspołecznionej?

— Również stamtąd. Lecz oferty te dochodzą do mnie bardzo rzadko. Tylko około dwudziestu absolwentów Uniwersytetu i tyluż Politechniki zatrudnia się co roku bezpośrednio po studiach w gospodarce nieuspołecznionej.

— Być może znacznie więcej chowa dyplomy i zmienia kwalifikacje, dzięki czemu może uzyskać znacznie wyższy standard życia.

— Na tzw. „handel pietruszką" decydują się sfrustrowani magistrowie z dłuższym stażem pracy. Ci, którzy nie widzą dla siebie perspektyw w dotychczasowym miejscu pracy. Młodzież absolwencka chce natomiast w swej podstawowej masie, pracować zgodnie ze zdobytymi kwalifikacjami i poziomem wykształcenia.

— I sądzi pan, że jest to możliwe, aby absolwent otrzymał ofertę pracy interesującą z jego punktu widzenia (a nie pełnomocnika)?

— Pauperyzacja inteligenckich zawodów to dramat naszej obecnej sytuacji. Różne są tego przyczyny — ekonomiczne, społeczne, polityczne. Kryzys społeczno-gospodarczy w jakim się znaleźliśmy, unaocznił jednak, że tak dalej być nie może. Przez rząd przygotowywana jest reforma płac, wspiera ją wola polityczna. Czeka nas w ogóle trudna i bolesna operacja racjonalizowania całego systemu pracy. Wbrew temu, co sądzą pesymiści będzie ona udana.

— Myślę, że studentów wesprze ta optymistyczna wizja.

Rozmawiała:
JOLANTA POL

„To Francuzy grają"

Kierownik tkalni pracujący dla burżuja, niejakiego I.K. Poznańskiego wymyślił sobie w 1902 r., że fabryka powinna mieć własną orkiestrę dętą. Nazywał się Pech i rzeczywiście na początku fatum wisiało nad nowo powstałym ansamblem. Mianowicie pierwszy kapelmistrz kapeli „od Poznańskiego" niejaki Edward Dietrich, wojskowy w służbie carskiej, miał przyobiecane wynagrodzenie za harówkę z mistrzami tkackimi z funduszu parafialnego. Jednak proboszcz kościoła św. Józefa ani myślał trzymać darmozjada na plebańskim fikcyjnym etacie.

Musiał go zastąpić rychło Albert Grasse, który pobierał honorarium uciułane z dobrowolnych składek orkiestrantów. Było ich naoczas dwudziestu pięciu. Kapelmistrz czuł w powietrzu II etap reformy który miał nadejść za 82 lata i dlatego za podstawę dochodów uznał prowadzenie orkiestry 10 Pułku Artylerii w Zgierzu oraz orkiestry miejskiej tego pięknego grodu, w którym stał garnizonem jego oddział.

Członkowie orkiestry po latach różnych doświadczeń z ludźmi, którym obce były ideały amatorskiego ruchu kulturalnego, wreszcie postanowili zagrać właścicielowi fabryki. Burżuj nie burżuj ale człek wrażliwy na punkcie kultury robotniczej — poczęstował majstrów szampanem, a potem zaofiarował im tyle dóbr doczesnych, że mieli prawo nie wierzyć własnym uszom. W zamian stali się orkiestrą fabryczną, strażacką zresztą. Od pierwszego mecenasa dostali także mundury, że jak zagrali w Domu Mistrzów Tkackich (dziś „Tivoli") to ludzie ich nie poznali i powtarzali do znudzenia: „To Francuzy grają".

Repertuar orkiestry obejmował oprócz popularnych marszów sporo uwertur do „Halki" „Wilhelma Tella" czy „Orfeusza w piekle". Ambitny program nie bez wpływu pozostawał na dalsze losy współtworzących go ludzi. Z orkiestra dęta od Poznańskiego" związane są losy rodziny znanej pianistki Barbary Hesse-Bukowskiej. Otóż jej pradziadek Onufry Hesse był tu kontrabasistą a dziadek Karol — klarnecistą. Syn Karola Hesse — *Tadeusz został pierwszym klarnecistą. Zatrudnił go w orkiestrze teatralnej dyrektor sceny „Popularnej"* — Józef Pilarski. Tutaj Tadeusz Hesse poznał statystkę pannę Bukowską, a owocem ich związku małżeńskiego jest właśnie owa słynna pianistka Barbara Hesse-Bukowska.

Dziś Zakładowa Orkiestra Dęta przy ZPB im. Marchlewskiego koncertuje na licznych paradach na wewnątrzfabrycznych ulicach co stało się już ściśle przestrzeganą tradycją: uświetnia swą obecnością imprezy doroczne w postaci „Święta Pietryny" czy Dni Kultury Robotniczej. Nad stałym podnoszeniem kwalifikacji artystycznych czuwa kapelmistrz Ryszard Górny, zawodowy muzyk Państwowej Filharmonii Łódzkiej im. A. Rubinsteina. Orkiestra liczy 40 orkiestrantów i 10 werblistek.

Grają w niej pracownicy wielu fabryk oraz emeryci. Są w niej weterani: J. Szczepański — 62 lata gry! B. Smolarek (51) S. Ciba (32), B. Tomczak (52), K. Mierys (42) S. Marchewa (39) W. Wojnowski i Cz. Przybysz. Na podstawie materiałów z ZDK „Poltex" przygotował i do życzeń z okazji 85-lecia orkiestry przyłącza się

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Dwie godziny dla... załogi

Z bardzo ciekawą i prekursorską propozycją na wakacyjne miesiące dla załóg łódzkich zakładów pracy wystąpił **Dzielnicowy Dom Kultury Łódź-Widzew**. Jest nią cykl plenerowych imprez, festynów pod nazwą „Dwie godziny dla załogi" Udział w nich brać będą załogi poszczególnych zakładów pracy, dla nich bowiem są przygotowywane i dedykowane. Organizatorzy założyli sobie, iż niedzielne spotkania, oprócz funkcji rekreacyjnej i rozrywkowej, spełnią rolę integrującą załogę. Na specjalne życzenie będą organizowane konkursy, które mają związek z charakterem zakładu i jego produkcją. Tereny wokół widzewskiego amfiteatru, bo tam będą odbywały się festyny, zostaną na ten czas zamienione na boiska i place, na których można urządzać sportowe zabawy i gry rekreacyjne.

Dzielnicowy Dom Kultury Łódź-Widzew obiecuje wysoką jakość imprez i fachowość w ich organizowaniu. Swoje występy zapowiedzieli znani i lubiani wykonawcy z całego kraju. Wśród nich będzie **Ewa Bem, Grażyna Świtała, „Old Timers", „Sami swoi"** i wielu wielu innych. Oprócz łódzkich zespołów pieśni i tańca — **„Harnam", „Poltex"**, zaproszono do udziału **francuską grupę „DAX" oraz kilka innych z Włoch, Finlandii, Portugalii i Jugosławii**. Wystąpi także lubiany, zwłaszcza przez panie, **Kazimierz Kowalski, grupa „Super Gonzo" — laureat kwietniowego II Przeglądu Grup Rockowych „Garaż 88" i „Rezerwat"**. Dla tych, którzy lubią piosenki korzeniami tkwiące w kulturze naszego regionu, będą śpiewać i grać kapele podwórkowe, a wśród nich **„Bałuciarze", „Łodzianka", „Konstantynowiacy", „Dobrzanie"**. Amatorzy zespołów rewiowych i tańców nowoczesnych będą usatysfakcjonowani występami **„Krajek", „Stonogi", „Misia"** i jeszcze kilku innych, nie mniej popularnych. Dla zagorzałych słuchaczy audycji **Korneliusza Pacudy** i muzyki country śpiewać będą **„Western Standard", „Colorado"** i **„Texel"**.

Atrakcji będzie dużo, bardzo dużo. Orkiestry dęte, iluzjoniści, parodyści, lalkarze i... można jeszcze tak bardzo długo. Jednym słowem: w dwie godziny dla każdego coś miłego i interesującego.

MAK.

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

CÓRKA O OJCU

W piątą rocznicę śmierci Jerzego Andrzejewskiego w Muzeum Literatury w Warszawie otwarto wystawę rękopisów i pamiątek osobistych autora „Popiołu i diamentu". Ekspozycję zorganizowano przy współudziale córki pisarza, Agnieszki, która przy tej okazji powiedziała: „Ojciec był pisarzem i jego życie związane było ściśle ze słowem. Nie zawsze to słowo znajdował... Wtedy czasem malował, albo jak sam mówił »smarował« obrazki..." Jaki był dom, jakie domowe życie? „Uregulowane. Chociaż nasza rodzina była dość liczna — rodzice, dwóch braci i ja — wszystko »działo się« systematycznie. Ojciec dawał przykład: wstawał wcześnie i do południa pracował. Obiad, po południu lektura, przyjaciele, muzyka. Czasem kino lub teatr, ale nie lubił zbyt często wychodzić... Do głowy by mi nie przyszło, aby wejść do pokoju, gdy pracował (dop. MB) Ojciec zawsze uważał, że pisanie jest czynnością intymną, bardzo samotniczą" Czy czytał komuś fragmenty? „Nie. Jedyną osobą, która wcześniej mogła czytać to, co napisał była moja mama: dopóki żyła przepisywała rękopisy na maszynie. Ojciec niechętnie używał maszyny. Pisał ręcznie w małych, szkolnych kajetach." Skąd czerpał inspirację? „Nie potrafię powiedzieć, pamiętam tylko, że »Idzie skacząc po górach« powstał z zupełnie innego pomysłu — miała to być powieść o Leonardo da Vincim. Ale zawsze mówił, że żeby zacząć pisać musi mieć tytuł i zakończenie." Ulubione lektury? „Przy jego łapczanie jest półka, a na niej książki, do których lubił wracać. Nad głową miał Balzaka, Tomasza Manna i... kryminały." Ulubione dania? „Sztuka mięsa, makaron z rosołem — albo na odwrót — szpinak, golonka. Nie cierpiał ruskich pierogów..."

OBRAZY RUBENSA

Podczas remontu zabytkowego klasztoru franciszkanów w stolicy Peru — Limie, przy przebudowie jednej z sal natrafiono na sekretny schowek, w którym znaleziono 11 obrazów o tematyce religijnej pędzla Petera Paula Rubensa. Szczególną sensację wzbudziło płótno uważane za bezpowrotnie zaginione — „Wjazd Chrystusa do Jerozolimy".

NOWY DYREKTOR

62-letni popularny aktor Michael Piccoli stanął na czele Comédie Francaise, sceny, która od śmierci Jeana Le Poulaina była pozbawiona kierownictwa. Kandydaturę tę wysunął Francois Mitterrand. Wcześniej na to stanowisko proponowano ucznia i przyjaciela Le Poulaina znanego aktora — Francisa Hustera.

OPERA O KOLUMBIE

Dla upamiętnienia 500-lecia odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba Metropolitan Opera zamówiła u amerykańskiego kompozytora Philipa Glassa operę. Jej światowa prapremiera odbędzie się w 1992 r. i otworzy uroczyste obchody tej rocznicy.

ELIZABETH TAYLOR O ODCHUDZANIU

Na 256 stronach wydanej niedawno w Ameryce książki słynna gwiazda opowiada w jaki sposób udało jej się zrzucić nadwagę, która czyniła z niej »wielkiego białego wieloryba«. Ponad połowa książki dotyczy kariery aktorskiej oraz kolejnych małżeństw a także licznych chorób, na które cierpiała. Taylor nie ukrywa również że przez pewien czas była uzależniona od alkoholu i środków narkotyzujących, co również przyczyniło się do nadwagi — o czym zresztą zamierza napisać bardziej szczegółowo w następnej książce. Aktorka, która w ub. dwóch latach straciła około 30 kg podkreśla, że jest obecnie szczęśliwa, gdyż odzyskała wiarę w siebie i »nie musi się więcej wstydzić swego lustra«. Książka jest utrzymana w lekkim, gawędziarskim stylu.

ŚLADAMI PRADZIADKA

Leningradzki teatr **„Eksperyment"** wystawił niedawno spek-

Prezentacje plastyczne '88

Poza wystawami **(Andrzej Smoczyński** — rysunek, Salon Sztuki Współczesnej; **Andrzej Nowicki** — drzeworyt barwiony, Galeria Bałucka; **Elżbieta Zdyb** malarstwo, Galeria 78; II Salon Wiosenny w Ośrodku Propagandy Sztuki i pretekst do osobnego opowiadania: **Stanisław Fijałkowski** — grafika Galeria Sztuki oraz malarstwo, Galeria 86), podczas tegorocznych łódzkich prezentacji plastycznych pokazano też filmy.

Trzy filmy **Macieja Łukowskiego** — będące zarazem jego pierwszymi filmami o sztuce — poświęcone malarstwu **Wiesława Garbolińskiego i Benona Liberskiego** oraz grafice **Leszka Rózgi.**

Niech mi wybaczą autorzy wystaw, że tylko ich wymieniłem, podobnie jak laureaci II Salonu: **Marek Sławiński — Grand Prix, Piotr Ciesielski — I Nagroda, Ewa Stanisławska — II Nagroda, Elżbieta Zdyb — III Nagroda, Krystyna Matusiak — Nagroda w dziale grafiki, Jolanta Wagner — Nagroda w dziale rysunku, Dariusz Fiet, Mariusz Korczak. Zbigniew Dudek — wyróżnienia.**

Przy okazji: wystawa tegoroczna zdecydowanie lepsza okazała się od I Salonu sprzed dwóch lat, przede wszystkim w dziale malarstwa.

Filmy M. Łukowskiego swędzą mnie jak ukąszenia komarów. Doprawdy nie wiem dlaczego scenarzysta i reżyser w jednej osobie rozpoczyna film „Rekwizyty Wiesława Garbolińskiego" maszerującą przez salę Ośrodka Propagandy Sztuki zawieszoną obrazami tego malarza, gołusieńką panią? Nie potrafiłam rozszyfrować golizny, która udaje, że odkurza obraz Liberskiego (Benon Liberski — nie tylko erotyka); mam też pretensje do twórcy filmu, że nieprecyzyjnie komentarz wpasował w obraz. Słowa, że w pracowni malarza (wspólnej — o czym się w komentarzu nie mówi) jest teraz gospodynią żona artysty — **Krystyna Liberska,** zbyt wyprzedzają pokazywane jej obrazy. Nie ma to większego znaczenia dla tych, którzy znają twórczość zarówno Benona Liberskiego jak i Krystyny Liberskiej, im ta informacja w ogóle nie jest potrzebna, natomiast dla tych, którzy by się zetknęli z tym malarstwem za pośrednictwem filmu jest to dezinformacja.

Przy oglądaniu trzeciego filmu **„Trzy tematy Leszka Rózgi"** też miałam kłopoty z początkiem. Do dziś zresztą nie wiem, co tam robiła spacerująca pośród szuwarów — traw nudystka, a wlepione z innej taśmy (kolorystyka) najpierw wiewiórka potem lis dobiły mnie zupełnie.

Nieszczęściem dla tych trzech ekranowych interpretacji wykonanych przez Macieja Łukowskiego parę miesięcy wcześniej — przy okazji otwarcia bardzo starannie przygotowanej retrospektywicznej wystawy Jerzego Krawczyka — pokazano również film o jego twórczości. Film bardzo dobry. O jakości filmu zadecydowało zarówno malarstwo pokazywane, jak i doskonały komentarz, którego każde słowo, każde zdanie korespondowało z kompozycją i „zawartością" kadru, niosąc nową informację. Scenariusz do tego filmu napisała Urszula Czartoryska. Kontrast między jej pracą a dokonaniami Łukowskiego ogromny.

Maciej Łukowski nie zamierzał ukazać i skomentować całej twórczości Garbolińskiego, Liberskiego i Rózgi. Dokonał — miał do tego prawo — autorskiej selekcji wątków, motywów; to znaczy chciał tego dokonać, o czym wiemy z komentarza zamieszczonego w katalogu wydanym z okazji pokazu w Ośrodku Propagandy Sztuki: „Zamierzenia programowe przy wszystkich trzech filmach były dosyć podobne. Ustawione na linii Kobieta — Muza — Artysta.

W twórczości wszystkich trzech plastyków kobieta stanowi temat istotny jeżeli nie dominujący. Ona więc stała się motywem przewodnim, muzą spełniającą funkcję łącznika między poszczególnymi obszarami twórczości (...).

Kobieta żywa, kobieta modelka, kobieta muza, kobieta z obrazu, rysunku czy grafiki pojawia się w tych filmach jako coś oczywistego, jako stały łącznik między światem fikcji artystycznej, realnego otaczającego świata i potrzeb czy inspiracji człowieka".

Szkoda, że tylko z autorskich komentarzy dowiedziałam się, co Maciej Łukowski chciał w tych filmach zawrzeć. Bardzo żałuję, że nie umiałam tego wyczytać z samych filmów. Filmów, w których wprawdzie pokazuje się obrazy, nie zawsze zresztą najlepiej, rozebrane do aktu panie, ale nie pokazuje malarstwa, trywializuje przy okazji motyw kobiety w tymże malarstwie. Cała nadzieja w tym, że krótki metraż ma u nas nie najłatwiejszą drogę do rozpowszechniania.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Pochwała dezercji?

Niewiele do niedawna wiedziano w świecie o **Mikołaju Erdmanie,** nawet w Związku Radzieckim, a zwłaszcza tam, zachował się w pamięci potomnych ułamkowy i wypaczony obraz jego dramaturgii. Nie miejsce tu rozwodzić się o tym szerzej, trzeba jednak wspomnieć, iż **„Samobójca",** ukończony przez autora w 1930 r. i bliski — zdawałoby się — wystawienia w kraju, miał swoją prapremiere w Szwecji w 1969 r., na rok przed śmiercią Erdmana.

Nikt chyba nie wie, które akurat fragmenty sztuki uznane zostały w swoim czasie za „nieprawomyślne", najpewniej chodziło jednak o wymowę całości. Czy dobrze ją oceniano? W co i w kogo celowało jej ostrze? Z lektury tekstu w „Dialogu", a więc podobno ostatecznej wersji autorskiej, można by wnosić, że zarówno w intencji autora, jak w naszym dzisiejszym rozumieniu jest to porachunek nie tyle z pryncypiami nowego ustroju, ile z poniżającymi moralnie i udręczającymi fizycznie warunkami bytowania szeroko pojętego środowiska mieszczańskiego, obejmującego również inteligencję.

Jest to gorzka ocena intelektualno-moralnych spustoszeń w psychice społeczeństwa, znamienne bowiem, iż z całej galerii postaci, żadnej nie można by uznać za świadomego wyraziciela wyższych racji, chyba tylko nieobecnego i mimochodem wspominanego niejakiego Fiedię Pitunina, o czym — później.

Miarodajna dla odczytania intencji autora wydaje mi się zastosowana konwencja dialogu: humorystyczne przenikanie się biurokratycznego żargonu i wiecowej agitki z pretensjonalnością i napuszonym patosem. I to nie tylko w wypowiedziach „reżimowca" Jegorkina, ale i ludzi stojących na uboczu lub wprost w opozycji. Uchwycenie więc właściwej tonacji owego dialogu a także stylu zachowań byłoby chyba istotną dyrektywą w realizacji sztuki, w duchu przeraźliwie serio, bez ucieczki w farsę.

Pełne zahamowań dojrzewanie samobójczego postanowienia przez pozostającego bez pracy **Podsiekalnikowa,** pod coraz silniejszą presją otoczenia, pragnącego na tym desperackim kroku zbić swój kapitał znalazło w grze **LEONA CHAREWICZA** wyraz na ogół przekonujący, choć na początku premierowego spektaklu niepotrzebnie adresował swoje zachowania do oczekiwań widowni, wyraźnie spragnionej zabawy. Zdecydowanie w kierunku realistycznej interpretacji postaci **Marii,** zaharowanej żony bohatera poszła **EWA WORYTKIEWICZ,** dzięki czemu dał się wyraźnie odczuć posmak grozy i okrucieństwa życiowych warunków. Z kolei **BOGUSŁAW SOCHNACKI,** jako **Aristarch Gołoszczapow,** nie stroniąc od wydobycia z postaci jej możliwości komediowych zarysował w mistrzowsko dopracowanej sylwetce sugestywny obraz degrengolady rosyjskiego inteligenta.

Głównie z tych trzech ujęć biła groza sytuacji moralnej środowiska, choć z pewnością szereg innych ról, odstających od tej koncepcji, zwracało na siebie uwagę wyrazistością i spójnością, jak zwłaszcza **Serafimy,** teściowej bohatera — **IRENA BURAWSKA,** czy popa **Jełdipija — HENRYK STASZEWSKI,** lub obu zaciętych rywalek **Kleopatry — WANDA WIESZCZYCKA** i **Raisy — MAŁGORZATA ROGACKA-WIŚNIEWSKA.** Świetny pantomimiczny epizod miał **MARIUSZ SANITERNIK (Głuchoniemy).**

Miałbym zastrzeżenia do drobnych odstępstw od polskiego tekstu, świadczącego o doskonałym słuchu scenicznym tłumaczki. Jak wiadomo, „diabeł kryje się w szczegółach" i nie warto było „kogla-mogla" — symbolu jakże skromnych aspiracji bohatera zamieniać na „Eier-konjak", osłabiła też satyryczny efekt „ideologicznego" wywodu Jegorki łopatologiczna podmiana „naukowego" punktu widzenia, na „marksistowski", itp.

Przedstawienie, mimo farsowych ciągot w I akcie, osłabiających drapieżność sztuki, nabrało scenicznych rumieńców w teatralnie pomyślanym akcie II, od sceny stypy z udziałem niedoszłego nieboszczyka, przez wytrzymane komediowo żałobne uroczystości z pięknie odśpiewaną panichidą, aż do zatrącającej o „absurd istnienia" finałowej wieści, iż ani razu nie oglądany Fiedia Pitunin zdobył się na to, czego oczekiwano od Podsiekalnikowa, który wywinął się śmierci.

Tu pragnienie przeżycia za każdą cenę, tam heroiczny gest protestu! Bo może „duch tchnie, kędy chce"...?

JERZY KWIECIŃSKI

Mikołaj Erdman: „Samobójca", przekład — **Maryla Masłowska.** Reżyseria — **Marcel Kochańczyk,** scenografia — **Ewa Bloom-Kwiatkowska,** muzyka — **Piotr Hertel.** Premiera 21 maja 88 r. w Teatrze im. Jaracza.

Na zdjęciu: Leon Charewicz, Irena Burawska i Ewa Worytkiewicz *Foto: Tymoteusz*

Kompakt - disc (prawie) dla każdego

Coraz większą popularnością cieszą się w Polsce odtwarzacze kompaktowe, obdarzone przez niektórych śmieszną nazwą — laserofon. O dużym popycie na ten sprzęt świadczy niemal ustawiczny jego brak w sklepach Pewexu. Z płytami odpowiednimi do tego typu sprzętu jest podobnie. Lukę w zaopatrzeniu starają się wypełnić różnego rodzaju „handlowcy" działający głównie na bazarach przy ulicy Zjazdowej i na „Górniaku", a ponieważ ceny płyt kompaktowych są dosyć wysokie, bo oscylują w granicach 25—30 tysięcy złotych nie wszyscy mogą sobie pozwolić na ich zakup. Z myślą o tych „biedniejszych" otwarto w Łodzi prywatne wypożyczalnie płyt kompaktowych.

Pierwsza z nich powstała w styczniu tego roku, mieści się przy ulicy Dąbrowskiego 105, a jej właścicielem jest Wojciech Fiwek. Wśród zaledwie osiemdziesięciu płyt jakie znajdują się w wypożyczalni, największym powodzeniem u klientów cieszą się Sting, Pink Floyd, Pet Show Boys, The Cure. Ponieważ właściciele wypożyczalni nie mają stuprocentowej pewności czy nie spotka ich los podobny do tego, jaki spotkał właścicieli wypożyczalni kaset magnetowidowych, boją się na razie inwestować duże kwoty w „interes", ale pan Fiwek mimo wszystko stale zwiększa ofertę i obiecuje, że niedługo będzie u niego znacznie więcej płyt.

Czy wypożyczenie płyty jest drogie? Ci, których było stać na zakup odtwarzacza za co najmniej 199 dolarów, mogą sobie pozwolić na zapłacenie 700 złotych za wypożyczenie płyty na jedną dobę. Właściciel wypożyczalni przy Dąbrowskiego jako zachętę wprowadził abonament kosztujący 6 tysięcy złotych, który uprawnia do wypożyczenia w ciągu miesiąca 10 płyt na dowolną ilość dni.

Jeżeli ktoś nie posiada odtwarzacza kompaktowego, a chciałby mieć utwory z tych płyt nagrane na taśmę magnetofonową, może bezpłatnie skorzystać w wypożyczalni ze sprzętu i nagrać na własny użytek wybrane płyty lub utwory.

Nowe płyty do wypożyczalni trafiają dzięki zagranicznym kontaktom i tak zwanemu prywatnemu importowi, zaś ich doborem kierują aktualne mody muzyczne i pozycje na listach przebojów, zarówno u nas jak i za granicą.

Klientami wypożyczalni przy Dąbrowskiego są głównie młodzi ludzie, a jako ciekawostkę można podać fakt, iż wśród tej dosyć licznej, stałej grupy jest tylko jedna przedstawicielka płci pięknej.

B. A. MAKOWSKI

PS. W Centralu obok stoiska radiowo-telewizyjnego jest wypożyczalnia płyt kompaktowych i kaset magnetofonowych.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

takl pt. **„Byłam szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa".** Ten monodram oparty na wspomnieniach **Anny Dostojewskiej,** żony pisarza, stał się prawdziwym wydarzeniem artystycznym, bowiem spektakl uzupełniony został wystąpieniem **Dmitrija Dostojewskiego,** prawnuka twórcy „Zbrodni i kary". Jest on z zawodu technikiem radiowym, lecz z zamiłowania — poszukiwaczem literackich archiwaliów. Jak sam wyznał jest obecnie na tropie rękopisu „Braci Karamazow", który ongiś zaginął w Jałcie.

„NIE PRÓBUJ SIĘ WYMIGAĆ"

Te i inne, bardziej dosadne słowa usłyszał od sądowej publiczności słynny włoski aktor Franco Nero, gdy skarżąc go o ojcostwo czarnoskóra Mauricia wykrzyknęła: „Na miłość boską, Franco, powiedz prawdę!" Franco Nero, który wypierał się ojcostwa, przyznał, że, owszem, zna Mauricię jako pokojówkę swoich przyjaciół, ale nic ponadto...

Całe to wydarzenie rozgrywało się w Kolumbii, gdzie coraz więcej zachodnich wytwórni kręci swoje filmy ze względu na wspaniałą przyrodę i korzystne warunki finansowe. Lecz sprawa Franco Nero nie była pierwszą sprawą o ojcostwo. Podobną wytoczono innemu znanemu aktorowi amerykańskiemu — Robertowi de Niro, który poznał tam piękną Hinduskę na planie filmu „Pluton". Znalazł się on jednak w lepszej sytuacji, gdyż wyjechał z Kolumbii po ukończeniu zdjęć.

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Aleksander Krawczuk „Poczet cesarzy rzymskich" (opr. broszurowe) — 1700 zł; **„Muzea Watykanu"** — 4500 zł; **Stefan Migdal** „Piłsudczyzna w latach pierwszej wojny światowej" — 700 zł; **Adam Słodowy** „Majsterkowanie dla każdego" — 650 zł; **„Rośliny źródłem przypraw"** — 1700 zł; **Ryszard Nuszkiewicz** „Uparci" — 800 zł; **„Słownik wyrazów obcych"** (PWN) — 4500 zł; **Elia Kazan** „Dubler" — 2200 zł; **„Dzieje Polski"** (PWN, pod redakcją J. Topolskiego) — 3500; **„Wit Stwosz** (album) — 1400 zł; **James Jones** „Cienka czerwona linia" — 2300 zł; **Henryk Dębski** „Współczesna kuchnia polska" — 3800 zł; **Wojciech Borzobohaty** „Jodła" (wyd. 2) — 4500 zł (cena nominalna 2600 zł); **Wojsko polskie 1939—1945. Barwa i broń** — 3000 zł; **Jędrzej Tucholski** „Powracali nocą" — 500 zł (cena nominalna 300 zł); **„Ilustrowana biblia młodych"** — 6500 zł; **„Baśnie z wyspy Lanki"** — 3200 zł; **V. J. Stanek „Wielki atlas owadów"** — 7000 zł; **Cornelius Ryan** „O jeden most za daleko" — 2200 zł.

Fraszki

JAN SZTAUDYNGER

HOŁD

Składał szczery hołd przy hołdzie
Temu, na czyim był żołdzie.

POŻARŁ SAM SIEBIE

Niejeden pojmie na własnym pogrzebie
Że kąsał innych — a pożarł sam siebie!

MIEDŹ I ZŁOTO

By mieć ze złota to, na czym siedzi,
Musiała czoło mieć z miedzi.

PORA

Grzechy mi się nie udały,
A więc pora na morały...

ŁATWIEJ

Chociaż wy fraszkę macie za igraszkę,
Łatwiej dzień dobrze przeżyć, niż napisać fraszkę.

Kronika

Z OKAZJI 43 ROCZNICY POWSTANIA POLITECHNIKI ŁÓDZKIEJ, 24 bm. **w Audytorium im. Andrzeja Sołtana, odbyło się uroczyste spotkanie studentów i pracowników naukowych tej wielce zasłużonej dla naszego miasta uczelni.**

Podczas uroczystości **dwóm wybitnym uczonym — prof. Dawidowi J. Tedfordowi z Uniwersytetu w Strathclyde (członkowi królewskiej Szkockiej Akademii Nauk)** oraz **prof. Bogumiłowi Staniszewskiemu z Politechniki Warszawskiej (członkowi rzeczywistemu PAN)** nadane zostały **tytuły doktora honoris causa.**

Wyróżniający się w pracy dydaktycznej nauczyciele akademiccy udekorowani zostali wysokimi odznaczeniami.

43 ROCZNICĘ POWSTANIA OBCHODZIŁ RÓWNIEŻ UNIWERSYTET ŁÓDZKI. Najbardziej podniosłą częścią tej uroczystości było **nadanie** — decyzją Senatu UŁ — **tytułów doktora honoris causa wybitnemu językoznawcy prof. dr Karolowi Dejnie i znakomitemu znawcy prawa prof. dr Wacławowi Szubertowi.**

64 osobom wręczona została **Złota Odznaka UŁ,** a 28 — **Medal „UŁ w służbie społeczeństwa i nauki".**

TENGIZ ABUŁADZE, twórca słynnej „Pokuty", **zamierza poświęcić swój następny film biurokratycznym schorzeniom.** Za kanwę scenariusza posłuży mu utwór klasyka literatury gruzińskiej — Ilii Czawczawadze.

ANATOLIJ RYBAKOW — zachęcony wielkim sukcesem czytelniczym — **pracuje nad dalszym ciągiem „Dzieci Arbatu". Akcja następnej części tej książki rozgrywać się będzie w latach 1935—1939.**

Na jej kartach **pojawi się znów postać Józefa Stalina. Roboczy tytuł** nosi nazwę: **„Rok 1935 i inne lata".**

TOWARZYSTWO LITERACKIE IM. ADAMA MICKIEWICZA Oddział w Łodzi i **Miejska Biblioteka Publiczna im. Ludwika Waryńskiego zorganizowały 26 maja br. sesję popularnonaukową, poświęconą twórczości Czesława Miłosza.**

W trakcie sesji, **wśród czterech** wygłoszonych **referatów, interesującą informację o losach zaginionego tomiku wierszy wybitnego poety przedstawił mgr Andrzej Gawroński.**

MUZEUM MIASTA I RZEKI WARTY PTTK oraz Towarzystwo Przyjaciół Miasta i Rzeki Warty **zapraszają** na ciekawą **wystawę: „Stanisław Szukalski — artysta niepokorny"** (czynną od 20 maja br.).

„ZŁOTĄ PALMĘ" — główną nagrodę tegorocznego Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Cannes — zdobył film duńskiego reżysera **Billego Augusta „Pelle zwycięzca"** (zrealizowany w koprodukcji duńsko-szwedzkiej).

Duży sukces odniósł utalentowany **nasz reżyser Krzysztof Kieślowski,** któremu **za obraz „Krótki film o zabijaniu" — przypadła,** w głównym konkursie, **nagroda jury.**

W ŚRÓDMIEJSKIEJ BIBLIOTECE DZIELNICOWEJ (przy ul. A. Struga 14) **otwarta została** 27 maja br. **wystawa „Origami — japońska sztuka składania papieru". Współorganizatorem** tej oryginalnej **ekspozycji jest Towarzystwo Polsko-Japońskie.**

OGÓLNOPOLSKA WYSTAWA OBRAZÓW I GRAFIK ofiarowanych przez artystów na rzecz budowy Centrum Zdrowia Matki-Polki w Łodzi, otwarta została 27 maja br. **w hallu głównym Pomnika-Szpitala** (ul. Rzgowska 275).

MINISTER KULTURY I SZTUKI ALEKSANDER KRAWCZUK — zaproszony przez I sekretarza KŁ PZPR Józefa Niewiadomskiego — spotkał się, 20 maja br., **z twórcami i działaczami kultury i oświaty naszego miasta.**

IV OGÓLNOPOLSKA WYSTAWA TKANINY UNIKATOWEJ — Łódź '88 otwarta została 30 maja br. **w Galerii Łódzkiej Muzeum Historii Miasta Łodzi.**

W BIBLIOTECE ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO STOWARZYSZENIA TŁUMACZY POLSKICH (ul. Wschodnia 34) **otwarta została** interesująca **wystawa** prezentująca **nowości literatury radzieckiej.**

KSIĄŻKA MIECZYSŁAWA F. RAKOWSKIEGO „Czasy nadziei i rozczarowań" ukaże się wkrótce w Jugosławii.

W CENTRALNYM MUZEUM WŁÓKIENNICTWA W ŁODZI, 30 maja br., **odbyło się uroczyste otwarcie 6. Międzynarodowego Triennale Tkaniny. Wystawia na nim swoje prace 100 artystów z 30 państw. Zaliczane jest** ono **do** jednych z **najbardziej liczących się imprez tego typu w świecie.**

JERZY REDLICH, znawca problematyki radzieckiej, **wydał w „Iskrach" książkę o pieriestrojce: pt. „Wybuch kontrolowany".**

Nie unika w niej tematów trudnych i kontrowersyjnych — **pisze** m.in. **o ujawniających się tendencjach nacjonalistycznych, „białych plamach" i „kulcie Stalina".**

WŁODZIMIERZ SMOLAREK, od niedawna piłkarz rotterdamskiego Feyenoordu, **wybiera się latem do Polski** — do rodzinnego Aleksandrowa — **na młodzieżowy turniej piłkarski jego imienia.**

W przyszłości, po zakończeniu kariery sportowej, **pragnie** — jak wyjawił — **zostać sędzią piłkarskim.**

SZWAJCARSKIE WYDAWNICTWO „EGGI" przyznało specjalną nagrodę literacką Michaiłowi Gorbaczowowi za książkę „Przebudowa i nowe myślenie dla naszego kraju i całego świata".

CZŁONKOWIE 15 STOWARZYSZEŃ MIŁOŚNIKÓW DAWNEJ BRONI I BARWY z Belgii, Francji, RFN i Włoch postanowili uczcić 173 rocznicę bitwy pod Waterloo barwnym widowiskiem batalistycznym. Wystąpią oni, w dniach 11 i 12 czerwca br., **w roli** walczących **żołnierzy różnych armii.**

Z INICJATYWY GRUPY DIALOGOWEJ „CONSENSUS", 15.V. br., **odbyło się w Warszawie spotkanie dyskusyjne nt. „Literatura i książka w Polsce w 1988 r.". Wprowadzenia do dyskusji dokonali: prof. Marian Stępień i Jan Józef Szczepański.**

W spotkaniu wzięło udział ok. 70 osób, a wśród nich zarówno byli, jak i obecni członkowie ZLP.

Opracował: JAK

20.

Sasza wyszedł z chaty jeszcze przed świtem i wcześnie rano był na tym miejscu, gdzie wczoraj rozstał się z Borisem. Oto drzewo, pod którym leżał, Sasza zagwizdał, krzyknął parę razy na Żuczka, dając znać Sołowiejczikowi, że tu jest, ale nikt się nie odezwał. Sasza błąkał się po lesie do zmroku, ale nie, nie było Borisa, to znaczy, że postanowił nie wracać. W następnych dniach zmieniał trasy, zataczał wielkie koła. Na świerkach już grubymi poduszkami leżał śnieg, pokrywał pulchnymi bryłkami ziemię, chrust, skute lodem błota. Sasza szedł z trudem, często się zatrzymywał, wsłuchiwał się, ale las był bezgłośny. Skrzypiały tylko z rzadka zamarzające drzewa, i klekotały krzyżodzioby, przelatujące ze świerku na świerk, strącając szron z gałęzi i upuszczając łuski i wyłuskane już szyszki.

Kiedyś Sasza poderwał z legowiska zająca-bielaka i ten popędził między drzewa, położywszy po grzbiecie długie słuchy. Trafiały się wiewiórki, zapewne z tegorocznego miotu, niedoświadczone: siedzi jawnie na gałęzi z zarzuconym na grzbiet puszystym ogonem, łuska szyszkę, szybciutko obracając ją w łapkach i patrzy uporczywie na Saszę z góry. Spotkał kiedyś polującą lisicę, niespiesznie truchtała po śniegu, czasem się zatrzymywała, słuchała, czy nie piśnie pod śniegiem mysz albo nornik i jeśli słyszała pisk, to zaraz rzucała się w tamtą stronę i prędko, jak pies, ryła śnieg. Pewnego razu Sasza zobaczył, jak się żywi głuszec: ostrożnie stąpając po świeżym śniegu, zrywał szpilki z gałązki jałowca, pędy czarnej jagody, jeszcze niezupełnie zasypane śniegiem, a nawet czubki młodej sosenki.

Przez tydzień włóczył się Sasza po lesie, ale Sołowiejczik się nie pojawiał, znaczy, że zaszedł daleko, a może i zginął w lesie, zamarzł, zachorował, wpadł pod lód albo zabłądził i umarł z głodu.

Ale nie został złapany. Gdyby wpadł im w ręce, wszyscy by o tym wiedzieli. Ucieczka jest wydarzeniem, schwytanie zbiega — to wydarzenie jeszcze większe, taka nowina obiega całą Angarę, zaczynają się wyjaśnienia, dochodzenia: kto pomagał, kto ukrywał, kto dawał jedzenie?

Zesłańcy w Mozgowej też rozmawiali o ucieczce Sołowiejczika. Ale, że nikt prócz Saszy go nie znał, a Sasza o tej znajomości nie rozgłaszał, to rozmawiano o ucieczce j a k o t a k i e j, jej bezcelowości i bezskuteczności. Nawet, jeśli wyrwie się z Sybiru, i tak przepadł — nie jest możliwe w naszych warunkach nielegalne funkcjonowanie. Co do tego wszyscy byli zgodni.

Ale wszyscy też rozumieli, że ucieczka Sołowiejczika nie przejdzie bez śladu, pozostawić to bez konsekwencji — to znaczy zachęcić do następnych ucieczek. Jeśli nie można ukarać zbiega, to można ukarać tych, którzy zostali, poderwać z zagrzanego miejsca, pozbawić choćby byle jakiego zarobku, zesłańcy powinni wiedzieć, że będą odpowiadać za każdego zbiega, powinni sami zapobiegać ucieczkom. I rzeczywiście, wkrótce wszystkich zesłańców z Rożkowa poprzenoszono do innych wsi.

Do Mozgowej z Rożkowa przysłano dwoje: niejakiego Kajurowa, i kobietę, jak mówili, członka partii prawie że od tysiąc dziewięćset piątego roku, o dziwnym nazwisku Zwiaguro. Zwracano się do niej „Lidio Grigorjewna". Wyglądała staro, brzydka, z wystającymi zębami, przyjechała nie sama, ale z sześcioletnim chłopcem Taraskiem.

Przywieziono ją już sanną. Zatrzymała woźnicę koło chaty, gdzie mieszkał Sasza, weszła do niego i powiedziała:

— Mówił mi o panu Sołowiejczik. Czy mógłby pan mi podpowiedzieć, u kogo można wynająć kwaterę?

— Trzeba pomyśleć — odpowiedział Sasza — proszę wejść, usiąść.

— Powinnam zwolnić woźnicę.

Wyszli na ulicę. W saniach, okutany w chustę, siedział Tarasek. Lidia Grigorjewna wysadziła go z sań, Sasza wziął rzeczy — dwie sfatygowane walizki, przewiązane sznurkami, wszyscy wrócili do domu. Na ulicy zaskrzypiały płozy — woźnica odjechał.

Lidia Grigorjewna wymotała Taraska z chustki, zdjęła z niego coś w rodzaju futerka, zdjęła czapkę, kazała usiąść na ławce. Tarasek usiadł, spoglądając na Saszę.

Sasza otworzył drzwi do kuchni, poprosił gospodynię, żeby przyszła. Razem z gospodynią do izby przyszedł także gospodarz.

Sasza wskazał Lidię Grigorjewnę.

— To moja znajoma, u kogo można by umieścić?

Staruszka popatrzyła na chłopca.

— Wnuk, czy jak?

— Wnuk — spochmurniała Lidia Grigorjewna.

— Z dzieciakiem przecie trudno nająć. A bo dzieciaki dokazują.

— On nie dokazuje — powiedziała Lidia Grigorjewna

— Kto go wie — wymamrotała staruszka.

— Czy nie bywało tu u was zesłańców z dziećmi? — spytał Sasza.

Gospodyni nie odpowiedziała, dalej przyglądała się chłopcu.

— A jak go wołają?

— Ma na imię Taras.

— Biuchanowe, przecie by wypuścili — powiedział staruszek.

— Briuchanowe dziewuchę pomyloną mają

— Dziewucha spokojna, nie ruszy.

Lidia Grigorjewna znowu spochmurniała.

— A kto prócz Briuchanowów może wypuścić?

Staruszka zamyśliła się.

— Sizych? — spytała staruszka.

— Za kołnierz nie leje — z akceptacją zauważył staruszek.

— Nie, nie, nie chcę, Tarasek boi się pijaków.

— Przebiernaś — niechętnie zauważyła staruszka, potem zwróciła się do Saszy, — Zajrzyj do Wierchoturowów, koło nauczycielki mieszkają.

Po drodze do Wierchoturowów Lidia Grigorjewna powiedziała:

— Z dzieckiem trudno wynająć kwaterę, chociaż nikomu nie przeszkadza. Czego innego się boją: jeśli mnie zabiorą, dziecko zostanie u nich. I póki zwierzchność nie odeśle go do domu dziecka, może minąć i rok, i dwa lata, trzeba się starać, pisać, a pisać nie umieją.

Wierchoturowowie zażądali trzydziestu rubli miesięcznie.

Po wyrazie twarzy Lidii Grigorjewny Sasza widział, że zaraz odmówi. Przytrzymał ją za łokieć.

— Dobrze, dzisiaj się do was przeniosą.

Lidia Grigorjewna była niezadowolona.

— Niepotrzebnie zgodził się pan w moim imieniu, nie mogę i nie zamierzam płacić takich pieniędzy.

— Moja zgoda do niczego pani nie zobowiązuje, zawsze możemy zrezygnować. „Pobędzie pani kilka godzin u mnie, odpocznie pani, zje, a ja pochodzę, poszukam. Jeśli znajdę coś tańszego, pani obejrzy i zdecyduje. Jeśli nie znajdziemy zaraz, urządzi się pani tymczasem u Wierchutorowów, będziemy szukać dalej.

— Wierchutorowowie są wykluczeni — oświadczyła Lidia Grigorjewna. — Mam tylko dwadzieścia pięć rubli. I co to za ceny? W Rożkowie płaciłam piętnaście rubli.

— Tu jest drożej — zgodził się Sasza — Rożkowo — to głusza, a Mozgowa niedaleko Kieżmy, centrum rejonowego, tam są wysokie ceny na mieszkania. Ja płacę dwadzieścia rubli, pani podwyższyli o dziesiątkę z powodu chłopca. Co się tyczy pieniędzy, to pożyczę pani trochę, odda mi pani.

— Nie pożyczę od pana — sprzeciwiła się Lidia Grigorjewna — pieniądze przysyła mi siostrzeniec z Jarosławia, ale teraz zacznie się galimatias z pocztą, już ja wiem, co to znaczy zmiana adresu, dobrze, jeśli za pół roku dostanę. W Rożkowie zarabiałam szyciem. Gospodyni miała maszynę do szycia, czy tu się znajdzie?

ANATOLIJ RYBAKOW **(50)**

Dzieci Arbatu

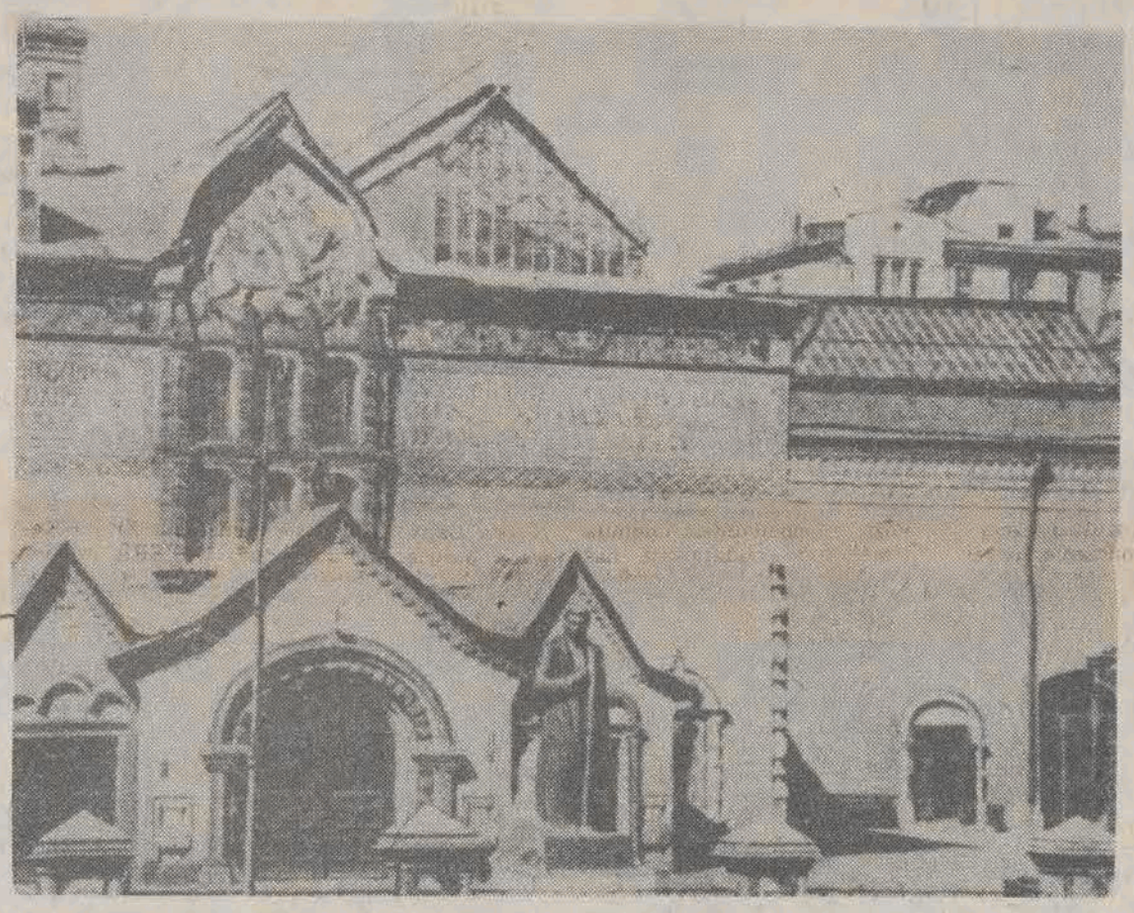

— Pełno u nas modniś — powiedział Sasza wesoło — naśladują rejonową inteligencję. Czeka panią liczna klientela. A maszynę znajdziemy.

— I tak, jak w Rożkowie, będą płacić jajkami, śmietaną, rybami. Mój siostrzeniec przysyła mi dwadzieścia rubli na miesiąc i w tych granicach mogę płacić.

Sasza odprowadził Lidię Grigorjewnę do domu, poprosił gospodynię, żeby dała jej i Taraskowi herbaty, a sam poszedł do Zidy. Okazało się, że drzwi zostawiła otwarte, ale w domu jej nie było. W piecu tliły się drwa, na stole leżały książki i zeszyty, to znaczy, że już przyszła ze szkoły. Książki i zeszyty zabraniała dzieciom zabierać do domu, kazała odrabiać lekcje, zatrzymując dzieci w szkole: „Lekcji w domu nie odrabiają, zeszyty drą na skręty...".

Machinalnie zaczął przeglądać dziecinne gryzmoły, potem jego uwagę zwrócił gruby zeszyt w płóciennej oprawie, takimi samymi brulionami posługiwał się jeszcze w Moskwie, na studiach. Sasza otworzył go tak samo machinalnie.

Jeszcze nie czytając, z dat, zaznaczonych w tekście — sierpień, wrzesień, październik, listopad, z inicjałów „S" — to on, Sasza, „W.S." — Wsiewołod Siergiejewicz, ze zdania, które rzuciło mu się w oczy: „Wczoraj powiedział mi", „Jest bardzo odważny i szlachetny" — Sasza domyślił się, że jest to pamiętnik Zidy. Pierwszym jego odruchem było zamknąć brulion, czytać cudze pamiętniki — nie może upaść tak nisko. A jednak... Gdyby był w Moskwie, w swoim minionym życiu, nie ośmieliłby się zajrzeć do cudzego pamiętnika. Ale tu, w jego sytuacji... Przecież pisze o nim! Co pisze? Dlaczego ma ufać kartkom papieru? Powinien wiedzieć, co tu jest napisane, każdy jego krok, każde słowo mogą być przeinaczone. Nieszczęście może przyjść z jakiejkolwiek strony, nawet od kobiety, która go kocha. Co właściwie wie o niej? Dlaczego się tu znalazła? W tej głuszy!

Przeszedł się po pokoju.

I co oznaczają słowa „jest odważny i szlachetny"? Aluzja do tego, że zaopatrzył Sołowiejczika w żywność, że nie wydał zbiega? Tych dwu słów wystarczy, żeby bebeszyć całą zsyłkę w Mozgowej. Przez to, że jej zawierzył, mogą ucierpieć ludzie. Ona, oczywiście, nie chce nikomu przyczynić zła, ale po co pisze? Przecież nie jest małą dziewczynką, dobiega trzydziestki! Czyżby nie rozumiała jego sytuacji? Dlaczego zostawiła pamiętnik na stole? Przypadek? Zapomniała schować? Lekkomyślność?

Znowu przeszedł się po pokoju, zerwał z polana brzozowego korę, wrzucił ją do pieca, oparzona ogniem kora błyskawicznie zwinęła się w trąbkę i momentalnie się zapaliła.

Obejrzał pamiętnik? Przeczytać co pisze o nim, przekonać się raz na zawsze, kim ona jest faktycznie? Ale jeśli to zrobi, przekroczy granicę, oddzielającą ludzi przyzwoitych od kanalii. Zresztą, już za późno, za długo się wahał... Usłyszał jej kroki na podwórzu, potem wycieranie nóg w sieni. Weszła, uśmiechając się do niego.

— Dawno czekasz?

Zamiast odpowiedzi pokazał pamiętnik.

— Co to jest?

Usłyszała gniew w jego głosie, zrozumiała, że otwierał pamiętnik, zmieszała się, potem popatrzyła na Saszę jasnym, szczerym wzrokiem.

— To mój pamiętnik.

— Dlaczego go prowadzisz?

Zwlekała z odpowiedzią.

— Poczułeś się czymś obrażony?

— Nie czytuję cudzych pamiętników. Ale... Zdaje mi się, że piszesz również o mnie?

— Tak, piszę.

Patrzył na nią, potem spytał:

— Zido, dlaczego tu jesteś?

Spuściła głowę, milczała, nie odpowiadała.

— Pytam: co cię tu przyniosło?

Wyszeptała:

— Nigdy ci tego nie powiem.

— To twoja sprawa, ale muszę wiedzieć, co o mnie piszesz.

Podała mu brulion.

— Czytaj.

— Nie będę czytać twojego pamiętnika. Ale proszę, żebyś wyrwała z niego wszystkie kartki o mnie i spaliła je tu w tym piecu. I żebyś już nigdy nic o mnie nie pisała. Już objaśniałem ci, w jakiej jestem sytuacji, szkoda, że nie zrozumiałaś.

W zamyśleniu przekartkowała pamiętnik, zagięła kilka kartek, podała brulion Saszy.

— To o tobie, przeczytaj.

— Powiedziałem ci wyraźnie: czytać nie będę. Wyrwij i spal.

Wiedział, jakie okrutne jest jego żądanie. Ale nie ma innego wyjścia! Postępek Sołowiejczika drogo kosztował ludzi, i bez tego nieszczęśliwych. Nie chce, żeby ktoś ucierpiał z powodu jej lekkomyślności.

Zida podeszła do pieca, przyklękła, otworzyła żeliwne drzwiczki, wyrwała z pamiętnika jedną kartkę, przejrzała, zmięła i wrzuciła w ogień. Przeczytała, zmięła i wrzuciła w ogień drugą potem trzecią, czwartą... Klęczała przy piecu, plecami do Saszy, wyrywała kartki z brulionu, mięła i wrzucała w ogień, już nie czytając, widać, ostatnia część pamiętnika była o Saszy, a może już było jej wszystko jedno, wyrywała wszystko po kolei.

— Gorąco — powiedziała nagle.

Dopiero teraz zauważył, że nie dał się jej rozebrać, była w futrze, walonkach, chustce, tak jak przyszła z mrozu.

Teraz było mu jej żal, siebie przeklinał. To wszystko jest obrzydliwe, okropne! Nie mógł się doczekać, kiedy skończą się wreszcie te wymyślone przez niego katusze.

Zida wstała, położyła na stole resztki brulionu, uśmiechnęła się przez łzy.

— To już wszystko!

Sasza wyszedł od Zidy. Okropne, to wszystko jest okropne! Podłe! Ale nie mógł postąpić inaczej. Żyje teraz według nowych praw. Może Zida to zrozumie i pozostaną przyjaciółmi.

Zaszedł do Fiedi do sklepu, spytał go o kwaterę. Dodał, że chodzi o lokatorkę z sześcioletnim dzieckiem, dobrze szyje i że przydałaby się gospodyni z maszyną do szycia.

— A może by ją do Łariski posłać? — zaproponował Fiedia. — Sama mieszka. I maszynę ma. Stroić się lubi, szyć nie umie, to miałaby krawcową w domu.

— Więcej jak dwadzieścia rubli płacić nie może.

— Starczy Łarisce i piętnaście — machnął ręką Fiedia — tym bardziej że szyć jej będzie. Może i dla Maruśki co uszyje.

— A Łariska się zgodzi?

— Powiem jej, to się zgodzi.

Sprawy się ułożyły. Sasza przeniósł walizki Lidii Grigorjewny do Łariski, obejrzał maszynę do szycia, naoliwił. Maszyna była stara, ale dobrej marki, „Singer".

— Życzę powodzenia — powiedział Sasza — jak coś będzie trzeba, proszę dać znać...

Interesowały go szczegóły ucieczki Sołowiejczika. Ale Lidia Grigorjewna nic nie mówiła i Saszy niezręcznie było wypytywać.

Dowiedziawszy się, że Sasza umieścił Lidię Grigorjewnę u Łariski, Wsiewołod Sergiejewicz powiedział ze swoim charakterystycznym uśmiechem:

— Alians grzesznicy ze starą panną. Ale jest z dzieckiem i nie ma wyboru. Nawiasem mówiąc, wie pan, kim jest ten Tarasek?

— Mówi, że wnuk, ale niepodobny.

— Jest synem zmarłych tu przesiedleńców specjalnych, czyli oficjalnie, kułaków.

Sasza zdziwił się.

— Wziąć tu dziecko na wychowanie? Odważny czyn.

Wsiewołod Siergiejewicz pokręcił głową.

— Albo próba znalezienia celu w życiu, uchwycenia się czegokolwiek.

— Czymkolwiek byłby podyktowany jej czyn — powiedział Sasza — jest szlachetny i humanitarny. We mnie osobiście budzi nadzieję: nawet w tych przerażających warunkach znajdują potwierdzenie najwyższe ludzkie wartości. Współczucie to jedna z nich.

— Myślę o metamorfozach naszej rzeczywistości — powiedział z kolei Wsiewołod Siergiejewicz — niewykluczone, że w swoim czasie Lidia Grigorjewna rozkułaczyła rodziców Taraska i wysiedliła ich na Syberię. A teraz jest sama na Syberii i wychowuje ich syna, znosi z tego powodu udręki i wyrzeczenia. Czyż nie potwierdza ten fakt tezy o odkupieniu?

— Mało znam chrześcijańskie zasady wiary — odrzekł Sasza — ale Lidią Grigorjewną kierowało to, jak myślę, co jest ponad wszystkimi religiami i ideami — zdolność do poświęcenia się dla innych. I fakt, że widać to nawet tutaj, wszystko to, powtarzam, budzi nadzieję: to, co ludzkie, nie zostało w człowieku zabite i nigdy zabite nie zostanie.

Proponując Lidii Grigorjewnej pieniądze, Sasza dysponował wszystkiego trzydziestoma rublami. Kilka rubli zostawi na papierosy i naftę, wytrzyma, za to pomoże Lidii Grigorjewnie. A ze swoimi gospodarzami rozliczy się w końcu listopada, ostatecznie w grudniu, kiedy zaczną dostarczać pocztę sanną.

Tak jak przypuszczał, poczta przyszła na początku grudnia. I jak oczekiwał Sasza, ogromna: pieniądze, paczka z zimowymi rzeczami, adresowaną wyraźnie technicznym pismem Warii, dużo listów od mamy, dużo gazet. Na stemplach był oznaczony sierpień, wrzesień, gdzieniegdzie listopad — korespondencja sprzed roztopów przemieszała się z korespondencją wysłaną po ich zakończeniu, to znaczy, że przyjdzie jeszcze dużo listów, jeszcze są w drodze.

Przyjemności, która go czekała, wystarczy na tydzień, a może i na dwa — czekał na wspaniały grudzień.

Jak zawsze, najpierw przejrzał listy, ułożywszy je według dat wysłania. O niczym nowym mama nie zawiadamiała, zresztą, jakie tam mogą być nowości? Pozdrowienia od ciotek, od Warii, ani słowa o ojcu, Marku, kolegach. Każdą kopertę Sasza otwierał ze skrytą nadzieją, że Waria prześle mu choć dwa słowa, przecież już do niej pisał. Ale list za listem: „Pozdrowienia od Warii", „Pozdrowienia od Warii". I na banderolach jej techniczne pismo.

I kiedy Sasza już stracił nadzieję, otworzył ostatni list i u dołu na drugiej stronie zobaczył przypis Warii:

„Witaj, Sasza! Jestem teraz u twojej mamy, piszemy list do ciebie. U nas wszystko w porządku, mama twoja jest zdrowa, ja pracuję w Mosprojekcie. Jak bym chciała wiedzieć, co teraz robisz, Waria".

Jeszcze raz przeczytał te linijki: „Jak bym chciała wiedzieć, co teraz robisz...". Mój Boże! Jak on chciałby wiedzieć, co ona teraz robi, widzieć ją, słyszeć, dotknąć ją, powieść ręką po jej twarzy... „Jak bym chciała... Jak bym chciała...". Doznał nagle przejmującego, dławiącego uczucia miłości i pożądania do tej dziewczyny, wyobraził ją sobie nagle tu, z nim...

Serce zaczęło mu walić, wstał, przeszedł się po izbie, wziął się w garść, przejrzał gazety za sierpień, wrzesień, ale co chwilę brał list i od nowa czytał te linijki: „Jak bym chciała wiedzieć, co teraz robisz...".

Jeszcze wszystko przed nim, do diabła, jeszcze wszystko przed nim! Ma teraz Warię, wie to na pewno. „Jak bym chciała wiedzieć, co teraz robisz...". Ma Warię, ma mamę, ludzi dookoła siebie, ma swoje rozważania, swoje myśli, wszystko, co sprawia, że człowiek jest człowiekiem.

Przez malutkie kwadratowe okienko do izby wpadały promienie słońca. W chacie było dobrze napalone, ciepło i przytulnie. Nie jest najgorzej, można żyć! Tym, którzy nie mają dachu nad głową, tym jest źle.

Ktoś wszedł do sieni, poprzytupywał, zmiótł miotełką śnieg z walonek, otworzył drzwi. To był Wsiewołod Siergiejewicz.

— Proszę wejść — ucieszył się Sasza — niech się pan rozbiera.

Wsiewołod Siergiejewicz zdjął futro, czapkę, rozwiązał szalik, położył rękawice na piecu... Przeszedł się po pokoju, rozcierając zmarznięte ręce, wskazał na stół:

— Segreguje pan pocztę.

— Tak, sporo przyszło. Do pana na pewno też?

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Jest koło Kostromy nieduża wieś Szczełykowo.

Gdzie teatr do nieba puka...

RAFAŁ ORLEWSKI

Szczełykowo, 120 km od Kostromy. Miejsce związane z życiem twórcy rosyjskiego teatru narodowego, autora „Burzy", „Intratnej posady", „Grzeszników bez winy", „Panny bez posagu" i innych dramatów realistycznie ukazujących ówczesne życie, zwyczaje i postawy różnych warstw społeczeństwa rosyjskiego w XIX wieku — Aleksandra Ostrowskiego (1823—1896).

Skręciwszy z szosy jedziemy leśną drogą i zatrzymujemy się w maleńkiej wsi, która ongiś — zanim posiadłość stała się własnością Ostrowskich — nazywała się Kutuzowką. Otóż ojciec dramaturga Nikołaj wywodził się z Kostromy, ale mieszkał w Moskwie, gdzie też Aleksander urodził się i spędził wczesną młodość. Ojciec nie zrywał więzi z Kostromą, mieszkał tam jego brat Paweł, którego dom zachował się do naszych czasów (ul. Gornaja 8).

W 1847 roku Nikołaj Ostrowwski okupił Szczełykowo od Kutuzowów, a wiosną następnego roku przyjechał tu wraz z rodziną i żyjącym już samodzielnie Aleksandrem, który od tej pory niemal co roku odwiedzał tę, jak sam ją nazwał, ziemię obiecaną — nierzadko z braćmi i przyjaciółmi. Lecz za życia ojca był tu tylko dwa razy, trzecia podróż wypadła zimą: ojciec umarł w lutym 1853 roku.

Po pogrzebie Szczełykowo przeszło w ręce drugiej żony ojca, Emilii (von Tessin) Ostrowskiej. Wkrótce też posiadłość podupadła — macocha Aleksandra nie miała tak gospodarskich przymiotów jak jej mąż, a ponadto podrastającym dzieciom należało zapewnić dalszą naukę. Zafascynowany Szczełykowem dramaturg postanawia wraz z bratem odkupić posiadłość od macochy. W 1867 roku Aleksander Ostrowski pisze do zaprzyjaźnionego aktora mieszkającego w Petersburgu; F. Burdina:

„Kupiliśmy z bratem od macochy nasze wspaniałe Szczełykowo; oto schronienie dla mnie, będę odtąd miał możność zająć się skromnym gospodarstwem".

I — zajmował się nim przez trzy lata, po czym ostygł w gospodarskim zapale, przekazując to zajęcie młodszej od siebie o 22 lata żonie Marii. Sam zaś spędzał tu kilka letnich miesięcy w roku, zimą pisząc w Moskwie.

Tę, zresztą znacznie bardziej szczegółową opowieść usłyszałem z ust uroczej „pani na Szczełykowie", dyrektorki zawiadującej po śmierci męża szczełykowskim ośrodkiem — Ludmiły Kolesnikowej, która oprowadzała nas po ocalałym domu Aleksandra Ostrowskiego, podejmowała śniadaniem i obiadem w jadalni dużego budynku z czerwonej cegły. Jest to dziś dom pracy twórczej dla ludzi teatru.

Dalsze losy Szczełykowa, te przed- i porewolucyjne to także historia długa i skomplikowana, zanim to wszystko, co tu czas uchronił przed zniszczeniem stało się kompleksem domów twórczych, wypoczynkowych i muzealnych mieszczących około 15 tys. eksponatów.

Po śmierci dramaturga pierwszym kustoszem muzeum, a właściwie twórczynią jego podstaw była żona pisarza, a po jej śmierci córka, Maria Szatelen. Zwrotny moment nastąpił w 1928 roku, kiedy siedzibę Ostrowskich przekazano Teatrowi Małemu. Podczas drugiej wojny światowej ewakuowano tu dzieci oraz chorych i starszych wiekiem aktorów.

W roku 1948 w związku ze 125 rocznicą urodzin Aleksandra Ostrowskiego Rada Ministrów ZSRR zdecydowała o utworzeniu w Szczełykowie parku narodowego, a w pięć lat później przeszło ono we władanie wszechzwiązkowego Towarzystwa Teatrów.

Schodzimy po przydrożnej skarpie, idziemy lasem, łąką... Powietrze tak czyste, że gwałtownie powraca zapomniane już, naturalne wrażenie rześkości. Piękne zakola i lustro Miery, którą zachwycał się Aleksander Ostrowski, a dla mnie jeszcze bardziej romantyczna, pełna tajemniczości Sendega, które to rzeki mijaliśmy po drodze, to jakby wstęp do tego, co zobaczymy za chwilę. Doliną Słońca (o niej też krążą ciekawe legendy) dochodzimy do Błękitnego Źródełka Śnieżynki (Gołuboj Kliuczik Sniegoroczki), przypominającego jedno z naszych Niebieskich Źródeł pod Tomaszowem.

Patrzymy w pulsujące rytmicznie — jak serce! — lustro wody, wyrzucające spod dna biały piasek. Na mulistym dnie igrają kolorowe promienie słońca... Ów rytmiczny puls wody ma swoją legendę o uzdrawiającej mocy źródełka, które nawet nosiło nazwę świętego. Pod wpływem słynnej „Śnieżynki" Aleksandra Ostrowskiego (dzieło to, wydane i barwnie ilustrowane w Jarosławiu 1973, przywiozłem ze sobą) zrodziła się kolejna legenda o tym, że błękitny zbiorniczek wody utworzył się w miejscu śmierci Śnieżynki i dlatego woda w nim jest tak chłodna i przezroczysta. Lecz serce Śnieżynki nie umarło: rozbudzone przez matkę Wiosnę i napełnione siłą miłości bije na dnie Błękitnego Źródełka, które ma cudowną moc zachowania urody i młodości każdemu, kto tu o porannej zorzy obmyje się wodą życia.

— *Daj kopiejkę!* — przerywa milczenie Małgorzata. Wrzuca monetę, która kołysząc się osiada może metr od brzegu na dnie i uśmiecha się złotym błyskiem. Też wrzucam kopiejkę: wrócimy tu kiedyś? Nie wiem, ale tego samego wieczoru napiszę wiersz, bo może choć w ten sposób... różne bywają powroty — wiersz zaczynający się od słów:

Może i tutaj przyfrunę
słowem
A może tylko tutaj
Gdzie po strumykach
wądołach rowach
Teatr do nieba puka

O tym miejscu Kostromszczyzny można nieskończenie, nawet o samym domu, który zachował się w nienaruszonym kształcie, o czym świadczy choćby fotografia Kondratiewa z 1889 r. W pobliżu pomnik Aleksandra Ostrowskiego, brązowy monument na granitowym cokole wykonany przez Timczenkę i Rownowa, a postawiony tu na 150-lecie urodzin dramaturga. Gdy robimy pamiątkowe zdjęcie, zatrzymuje się obok nietypowy turysta — mężczyzna w średnim wieku, który dla uczczenia 70-lecia Rewolucji postanowił przejechać rowerem trasę biegnącą przez 13 rosyjskich obwodów. W chwili spotkania z nami miał przed sobą jeszcze podróż przez trzy obwody, a więc już kilka tysięcy kilometrów w nogach...

Dom Aleksandra Ostrowskiego: drewniany, z antresolami ze strony północnej, jednopiętrowy z południa. Typowy dla przełomu XVIII i XIX wieku portyk z kolumnadą, na frontonie u góry półokrągłe okno, odkryty taras okolony balustradą, po bokach dwa jednakowo kryte ganki. Wchodzisz — i masz wrażenie, że gospodarze gdzieś na krótko wyszli. Czyściutkie, nie malowane podłogi, ręcznie tkane ludowe chodniki. Kolejne izby, sprzęty, obrazy, portrety, ogromne biurko w gabinecie pisarza przezeń zbudowane. Patrzymy na to wszystko, wciąż słuchając opowieści Ludmiły Kolesnikowej, dotykamy starego fortepianu odziedziczonego przez pisarza po rodzicach, przewracamy kartki z nutami starych romansów chętnie śpiewanych przez żonę autora „Burzy" podczas spotkań z przyjaciółmi.

Przechodzę do niedużego, ale ze smakiem urządzonego jej pokoju, wpatruję się w grupowe zdjęcie ich pięciorga dzieci... w rękopisy i druki dzieł tłumaczonych potem na kilkadziesiąt języków, granych w setkach teatrów. Tytan pracy twórczej o niełatwym bynajmniej życiu skróconym przez chorobę, która je przecięła podczas pracy nad przekładem szekspirowskiego „Antoniusza i Kleopatry".

Na zewnątrz — kilka zdjęć, m.in. w romantycznej „Biesiedce" czyli altance Aleksandra Ostrowskiego. Potem oddalona o dwa kilometry wieś Nikoło-Bierieżki, gdzie znajduje się cerkiew-muzeum z dziwnym pomieszaniem stylów: baroku z klasycyzmem, z wyraźnym wpływem katolickiej sztuki sakralnej na malarstwo prawosławne. Dwie wieże cerkwi zwieńczone również różnymi — prawosławnym i katolickim — kształtami krzyży. Wewnątrz analogiczne pomieszanie ikon z brazami świętych katolickich. Obok nikolskiej cerkwi grób Ostrowskich: w środku pomnik pisarza z czarnego marmuru, po lewej i prawej stronie pomniki obu Marii, żony i córki — z białego, z boku grób ojca. Krzyże na pomnikach — katolickie...

Oglądamy jeszcze muzeum etnograficzne z obejściami i eksponatami kultury materialnej okolicznych wsi, w tym dom Sobolewa — stolarza, z którym Aleksander Ostrowski się przyjaźnił. Idąc ze skansenu tylko z zewnątrz (bo właśnie zamknięte) patrzymy na nowe, stylowo zbudowane muzeum literacko-teatralne, gdzie co pewien czas zmienia się ekspozycje. I — na obiad!

Późnym popołudniem Ludmiła Kolesnikowa obdarowuje nas albumami autorstwa Jewdokii Pietrowej pt. „Szczełykowo. Gosudarstwiennyj muziej-zapowiednik A.N. Ostrowskiego", Moskwa 1982. Świetna edycja, obszerny esej, dwujęzyczne — po rosyjsku i angielsku — podpisy pod barwnymi fotografiami, cytaty z Aleksandra Ostrowskiego i innych... A cena? Cztery ruble dziewięćdziesiąt kopiejek. W tym miejscu siłą zabrońmy sobie komentarza, dodając jedynie, że wspomniana „Snieguroczka" wydana o 9 lat wcześniej kosztowało tylko 91 kopiejek! Zamiast porównywać przytoczmy słowa poety Siergieja Michałkowa o Aleksandrze Ostrowskim:

„Twórczość klasyka literatury rosyjskiej jest nam bliska nie tylko tym, że odegrała wielką postępową rolę w rozwoju rosyjskiego społeczeństwa XIX wieku, ale i tym, że wiernie służy ludziom dzisiaj, służy naszej radzieckiej kulturze. Oto dlaczego nazywamy Ostrowskiego swym współczesnym".

Bardzo bogaty dzień! I nic dziwnego: każdy, kto przebywał tutaj, przyzna rację wspomnieniu S. Maksimowa:

„Nie było ani jednego gościa w Szczełykowie, który nie zachwyciłby się jego położeniem".

Dodajmy: nie tylko położeniem, także pietyzmem do spuścizny kulturalnej, a zwłaszcza literackiej. Jeśli jest się czym — i kim — zachwycić, człowiek od razu bogatszy.

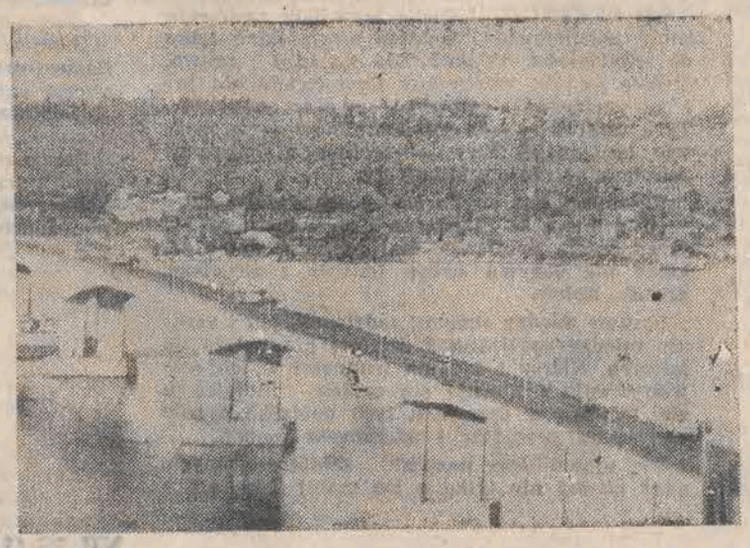

Panorama

BUŁGARIA

Todor Żiwkow poddał podczas posiedzenia Biura Politycznego KC Bułgarskiej Partii Komunistycznej ostrej krytyce działalność propagandową i artystyczną w Bułgarii. Wypowiedział się też na temat możliwości powstawania różnych stowarzyszeń. Powiedział:

„Należy dostrzegać różnorodność interesów leżących u podstaw istnienia tych stowarzyszeń. W tym sensie normalne jest utrzymywanie pluralizmu socjalistycznego. Ale jest to — podkreślam — pluralizm socjalistyczny. Realizuje się on, opierając się na nowych zasadach, etyce i ideach. Odmienne podejście doprowadzi nas na błędne drogi, odetnie od potrzeb społecznych i narodowych. Nie możemy dopuścić do anarchii".

Poddając krytyce pracę ideologiczną Todor Żiwkow powiedział:

„Praca ideologiczna na niektórych odcinkach zamarła, nie analizowano i nie obserwowano zachodzących procesów, naruszano zasady demokratyczne, osłabła troska o awangardową rolę podstawowych organizacji partyjnych. W poszczególnych dziedzinach powstały warunki rozwoju monopolizmu i towarzyszących mu negatywnych zjawisk".

Krytykując kierownictwo Związku Plastyków Bułgarskich Todor Żiwkow powiedział:

„Należałoby zapytać, czyich interesów broni kierownictwo związku. Nie umniejszamy wkładu żadnego malarza bułgarskiego, ale partia nie ma prawa do kompromisu, gdy chodzi o losy rozwoju sztuki, naszej socjalistycznej inteligencji".

Skrytykował też prasę, radio i telewizję w Bułgarii:

„Od pewnego czasu na łamach niektórych czasopism drukuje się materiały, które pobudzają negatywny stosunek do poszczególnych wartości i ideałów socjalizmu. Przed kilkoma miesiącami podobne zjawisko wystąpiło w telewizji. Nie możemy być zadowoleni ze sposobu, w jaki niektórzy uczeni z zakresu nauk społecznych traktują politykę gospodarczą partii. (...)

Gdy mówimy o podobnych faktach, należy powiedzieć, że musi budzić obawy nie to, iż pojawiają się takie materiały, ale to, iż nie uzasadnia się zawartych w nich stanowisk i uniemożliwia drukowania materiałów ukazujących właściwe stanowisko. (...)

Należy podkreślić, że prasa, radio i telewizja nie przebudowały się zgodnie ze wskazaniami konferencji partyjnej".

CHIŃSKA REPUBLIKA LUDOWA

18 maja 1988 roku w chińskim dzienniku „China Daily" ukazał się komentarz Zhang Kewena poświęcony dokonanej w ZSRR renabilitacji Nikołaja Bucharina. W Chinach nadal uznaje się Józefa Stalina za jedną z wielkich postaci komunizmu. Mimo to Zhang Kewen pisze, że naukowcy chińscy rozpoczynają badania nad *„wiekiem ciemności w ZSRR pod rządami Stalina"*. Do tej pory w ChRL obowiązywał pogląd, że Nikołaj Bucharin był *„prawicowym oportunistą"*, gdyż wbrew Józefowi Stalinowi i Mao uważał, iż w wyniku umacniania się socjalizmu walka klasowa będzie wygasać.

W Chinach szeroko informuje się o „pieriestrojce" w ZSRR, ale nie wymienia się Michaiła Gorbaczowa, jako jej twórcy. Nie przeprowadza się też analogii między reformami w ChRL i ZSRR, choć wielu obserwatorów na Zachodzie i Wschodzie takie analogie dostrzega.

Deng Xiaoping wypowiedział się niedawno na temat chińskiej polityki w przeszłości. Jego zdaniem ChRL zaczęła *„popełniać błędy lewackie w roku 1957 i kontynuowała je po rewolucji kulturalnej, która była błędem ultralewackim"*.

Komentatorzy zachodni oceniają te wypowiedzi jako zachętę kierownictwa ChRL wypowiedzianą pośrednio dla kontynuowania przez ZSRR zapoczątkowanej polityki reform i polityki zagranicznej.

CSRS

Kardynał Frantiszek Tomaszek otrzymał list następującej treści:

„Kardynale!

Tymi ustami przekazuję ci przesłanie z najciemniejszych ciemności od Pana Zła i Mordu, którego imię jest dla nas święte, z którego woli żyjemy, niszczymy, mordujemy. W jego imieniu czuć swąd palonej miłości i dobra — i dlatego zawsze wymieniamy ze czcią: Szatan.

Zwołujesz zastępy swych owieczek na uroczystości do św. Wita. To wspaniale, czynimy znak krzyża lewą ręką. Im więcej ludzi, tym lepiej. Mamy nadzieję, że się zbyt nie przestraszysz katastrofy, która nastąpi.

PS. Szatan kieruje twoimi krokami, 666 — to nie jest przypadek. 6 marca — 6 marca — 6 marca".

6 marca 1988 roku w katedrze praskiej św. Wita odbyły się uroczystości ku czci błogosławionej Agnieszki. Przebiegły one spokojnie Ale list ten zwrócił uwagę na zjawisko pojawiania się grup „satanistów" — podobnie zresztą jak i w Polsce. Nie przybiera ono szerokich rozmiarów, ale powinno niepokoić. Na wpływy „czcicieli szatana" narażeni są przede wszystkim uczniowie powyżej 13 lat.

JUGOSŁAWIA

Rząd Branko Mikulicia wprowadza w życie program oszczędnościowy, którego jednym z elementów jest obniżka płac. Celem tego programu jest opanowanie wysokiej inflacji i spłacenie zagranicznego zadłużenia. Obniżka płac dotknęła też górników. Górnicy w Labinie w Chorwacji po strajku otrzymali 40 proc. podwyżki płac. Za ich przykładem poszli inni. Czterystu górników z Bośni wyruszyło pieszo, aby po przejściu 175 km dotrzeć do Belgradu, gdzie 29 maja 1988 roku rozpoczyna obrady krajowa konferencja Związku Komunistów Jugosławii. Górnicy dziennie przechodzili po 35 km. Nie skorzystali z autobusów, które im dała do dyspozycji kopalnia.

Średnia płaca górnika z Bośni wynosi 340 tysięcy dinarów, co jest równowartością 220 dolarów i jest niższa od średniej płacy w Jugosławii.

Do 15 maja 1988 roku w Jugosławii zostały zamrożone ceny, co spowodowało, że w magazynach nagromadzono wielkie ilości towarów, a nie ma ich w sklepach. Rząd przedłużył zamrożenie cen do końca maja. Od 1 czerwca 1988 r. w Jugosławi handel będzie mógł ustalać ceny 60 procent towarów.

Inflacja w Jugosławii osiągnęła 152 procent. Zagraniczne zadłużenie wynosi 21 miliardów dolarów.

KOREAŃSKA REPUBLIKA LUDOWO-DEMOKRATYCZNA

W Japonii — w mieście Niigata — odbywały się mistrzostwa Azji w ping-ponga. Japonia zakazała u siebie wizyt przedstawicieli KRLD, zrobiono jednak wyjątek dla drużyny ping-ponga. Zakazano jednak udziału przedstawicieli tej drużyny w przyjęciu wydanym przez ugrupowanie sprzyjające KRLD w Japonii. Przedstawiciele drużyny nie usłuchali. Zostali z przyjęcia usunięci. Wynikiem tego incydentu był natychmiastowy wyjazd drużyny KRLD. Jej kierownik Li Dzong Ho zwołał konferencję prasową ,na której oświadczył:

— *Rząd japoński zmusił naszych członków do wyjścia z przyjęcia, wydanego na naszą cześć. Jest to czyn zbrodniczy, który narusza naszą suwerenność. Od tej chwili nie będziemy brali udziału w żadnych dalszych meczach w Japonii. Udamy się natychmiast do domu. Jeśli udział w przyjęciu jest działalnością polityczną, to wszystko co czynią ludzie jest polityczną działalnością.*

Minister sprawiedliwości Japonii — Yukro Hayashida, indagowany przez dziennikarzy, powiedział, że problem polegał nie na obecności na przyjęciu, ale na kontaktach politycznych, jakie przedstawiciele KRLD mieli na tym przyjęciu z ugrupowaniami politycznymi działającym w Japonii. Chodziło o organizację prokoreańską Hongryon, która też złożyła u władz japońskich ostry protest.

RUMUNIA

29 kwietnia 1988 roku odbyło się w Bukareszcie posiedzenie Politycznego Komitetu Wykonawczego KC Rumuńskiej Partii Komunistycznej, na którym przemówienie o zasadach nowego myślenia wygłosił Nicolae Ceausescu. Tezy tego przemówienia skomentował dziennik partyjny „Scinteia". Przywódca rumuński wyraził się z aprobatą o zasadach pokojowego współistnienia i uznawania prawa każdego kraju do postępu społecznego i gospodarczego. Potępił politykę siły w regulowaniu wszelkich kwestii spornych. Kwestie te powinny być rozwiązane środkami politycznymi. Wypowiedział się za uznaniem prawa wszystkich narodów do kształtowania swego życia zgodnie z własnym uznaniem.

Zdaniem „Scintei" mieszanie się w wewnętrzne sprawy innych narodów, jeśli nawet czynione jest w myśl postępowych pobudek, przynosi ujemne skutki. Reakcja na wojskową interwencję dokonaną z takich pobudek podważa istotę rewolucyjnego dzieła.

W Bukareszcie dokonano zmiany na stanowisku I sekretarza KM RPK i przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Stołecznej Rady Narodowej. Obie te funkcje piastował członek Politycznego Komitetu Wykonawczego KC RPK — Constantin Olteanu. Przeszedł on do innej pracy partyjnej. Jego miejsce zajął wicepremier, członek KC RPK — Constantin Radu.

Dokonano też połączenia ministerstw: przemysłu budowy maszyn z przemysłem maszyn ciężkich w jedno ministerstwo budowy maszyn. Na jego czele stanął były minister przemysłu budowy maszyn ciężkich — Radu Paunescu. Nie wiadomo jest, co będzie robił były minister przemysłu budowy maszyn — Alexandru Dimitriu.

Zmiany te dokonano w ramach systemu rotacji kadry.

WĘGIERSKA REPUBLIKA LUDOWA

Na odbytej niedawno Krajowej Konferencji WSPR powiedzieli między innymi:

Andras Gyenes: — *Wzrosła liczba tych, którzy nie walczą aktywnie i nie wspierają w słowach i czynach polityki partii. Byli również tacy członkowie partii, którzy przeciwstawili siebie jej polityce i omawiali ją w nieodpowiednich kołach. Przyjacielskie ostrzeżenia, a nawet partyjne decyzje nie przyniosły żadnych rezultatów. Dlatego nie można ich było pozostawić w naszych szeregach.*

Niestety osłabienie zasad moralnych jest charakterystyczne również dla części członków partii. Centralna Komisja Kontrolna reprezentuje pogląd, że w przyszłości należy jeszcze bardziej zdecydowanie i ostro występować przeciwko wszystkim tym, którzy swymi działaniami pogarszają moralność społeczeństwa i naruszają dyscyplinę partyjną.

Gyoergy Aczel: — *Młodzież wciąż w niedostatecznym stopniu uczestniczy w życiu społecznym. My, którzy przeżyliśmy większość swojego życia, powinniśmy ponosić jeszcze większą odpowiedzialność za wciąganie młodych ludzi do życia społecznego. Powinniśmy ponosić ogromną odpowiedzialność za to, ażeby przekazać młodemu pokoleniu taką partię i takie państwo, które nie będą w niczym ograniczać ich twórczych sił.*

Opracowała:
JADWIGA M. NIEDŹWIECKA

Wideonotes

FILM, TV, WIDEO

TV

Pierwszy Mohikanin?

Spotkanie z Juliuszem Machulskim zemocjonowało mnie o tyle, że nie tylko ujrzałem podporę finansową polskiej kinematografii, ale również byłem świadkiem narodzin nowej formy dziennikarskiej: w zasadzie gość magazynu „102" rozmawiał sam z sobą i o dziwo miał sobie i mnie sporo do opowiedzenia.

Z czwórki zadziornej młodzi dziennikarskiej, która obsypała go mnóstwem dociekliwych i niezbędnych pytań, początkiem dziennikarskiej ogłady wyróżnił się jedynie Piotr Radziszewski, choć jak na mój gust zbytni to melancholik. Jedna z dziewcząt miała kłopoty z odczytywaniem pytań z kartki, zaś druga była przynajmniej dość ładna.

A przecież wywiad to również forma sztuki dziennikarskiej. Nie wystarczy sprowadzić rozmówcę do studia i śpiewać mu hymny lub jąkać się z przejęcia. Dziennikarz musi być partnerem albo przynajmniej sparringpartnerem a nie workiem do bicia, ponieważ to właśnie oznacza profesjonalizm i szacunek do wiadomości, jakie zaproszony gość może przekazać.

Pisze ten felieton z pasją.

Z tych kilku uwag, które Juliusz Machulski zdołał wypowiedzieć, można było wywnioskować na czym polega robienie dobrych filmów, ale również, obserwując jego zmagania z niekompetencją wywiadowców, skonstatować, iż w branży artystycznej przychylność niebios jest szczególnie potrzebna.

Wkrótce po programie namówiono mnie na film pt. „Mokry szmal", który obejrzałem z wielkim przejęciem i do dzisiaj trudno mi się otrząsnąć. Przedstawiono okrutne zmagania bursztynowych gangów i był to prawdopodobnie film dla ludzi o mocnych nerwach. Nie wiem czy przedstawione wydarzenia są autentyczne, ale mniemam, iż przedstawiciele świata przestępczego zasiadający przed odbiornikiem poryczeli się ze śmiechu.

Juliusz Machulski sugerował, opierając się zresztą na doświadczeniach Amerykanów, że film jest taką całością, w której każdy element wpływa na pozostałe i niedopracowanie któregokolwiek z nich rozkłada konstrukcję. To nie tylko scenariusz, gra aktorów, opatrznościowa rola reżysera oraz producenta, bo każdy z tych czynników może być sam w sobie znakomity, ale przede wszystkim takie ich skomponowanie, aby ukończony film miał w sobie coś z narodzin dziecka. Amerykanie to na ogół rzemieślnicy, którzy założyli przedsiębiorstwo, mają kilka taśm i według sprawdzonych i ciągle doskonalonych wzorów wypuszczają na rynek coraz to nowe filmy, a jeśli budżet na to pozwala albo stwierdza się, że taka jest potrzeba widzów, włącza się taśmę z produkcją ambitną.

U nas prawie każdy reżyser to niespełniony geniusz, który melancholizuje, wobec tego jest głęboki, Być może bierze się to nie tylko z psychologicznych skłonności twórców, ale również z tego, że branża filmowa w Polsce pod względem finansowym, technicznym i organizacyjnym to rozlatująca się obora, w której mimo wszystko ktoś tam jeszcze porykuje anemicznie, zaś pod względem kompetencyjnym i selekcyjnym epoka tuż przedfeudalna i panoszenie się rycerzy-rabusiów.

Wrzask powstał na nową ustawę o kinematografii, ale pewnie w znacznej części dlatego, że film ma przynosić dochód, co skądinąd rzeczywiście trudno zrozumieć. Powstają amatorskie jak na razie próbki komercyjne, jak na przykład „Mokry szmal" G. Zalewskiego, który znużył mnie serdecznie, wobec tego sugerowałbym, aby lepiej podpatrywać Amerykanów, a z naszych Machulskiego i Piwowskiego, i wplatać ich doświadczenia w naszą rzeczywistość.

TOMASZ KUBIK

Czy tylko Kurosawa?

Rozmowa z profesorem KENJI IWAMOTO, historykiem i teoretykiem filmu z Uniwersytetu Waseda w Tokio, który gościł w PWSFTviT.

— Panie profesorze, choć znamy w Polsce niektóre filmy, kilku wybitnych reżyserów japońskich jak: Mizoguchi, Kobayashi, Ichikawa, to jednak w naszym pojęciu mistrzem a nawet symbolem japońskiego kina jest Kurosawa. Mówił pan jednak, że jego twórczość bywa przedmiotem ostrych ataków.

— Tak, a szczególnie ostro wystąpiła grupa młodych krytyków w początkach lat sześćdziesiątych. Był to okres radykalnych przemian w Japonii i nie bardzo akceptowano postawę mądrego, silnego ojca, nauczyciela, który przewodzi grupie ludzi niedojrzałych. Wszelkie zapędy moralizatorskie czy wychowawcze musiały być, w dobie sprzeciwu, naturalnie odrzucone. Ponadto dokonywały się wówczas istotne zmiany w łonie samej kinematografii, która oparta została na racjonalnych, ekonomicznych zasadach i kalkulacji zysków.

— Czy to znaczy, że także Kurosawa popadł w nurt komercjalizmu?

— W pewnym sensie tak, widać zresztą wyraźny zwrot w jego twórczości, właśnie w latach sześćdziesiątych. O ile wczesne filmy wnikliwie penetrowały współczesność Japonii, o tyle potem dają się zauważyć wyraźne tendencje historyczne, a nawet wątki sensacyjne czy detektywistyczne. Generalnie jednak dla większości Japończyków jest Kurosawa mistrzem kina i nie bez racji nosi przydomek „cesarza japońskiego filmu".

— W świadomości widzów i krytyki w Polsce, a chyba również w Europie, tkwi przekonanie o swoistej egzotyczności i pewnej tajemnicy, zawartej w filmach japońskich. Czy filmy europejskie są w podobny sposób odbierane w Japonii?

— Jako Japończyk, nie do końca rozumiem o jaką tajemnicę chodzi, za to oczywiste różnice kulturowe rodzą pewne bariery recepcji kina europejskiego, np. dzieł Bergmana Sporo jednak wiedzy o kulturze europejskiej, mimo oddalenia, dociera do nas i to eliminuje przeszkody.

— Co prawda nie mamy w Polsce dokładnego rozeznania, ale z tych filmów, które do nas docierają, w zasadzie żaden nie traktuje o współczesnych problemach życia Japończyków.

— W Japonii powstaje rocznie 300—400 filmów i trudno je wszystkie omówić, choć istotnie widać w naszym kinie apatię polityczną i społeczną oraz brak wyraźnego programu artystycznego w tym względzie.

— Jakie zatem gatunki są preferowane?

— Blisko 50 procent to typowo komercjalna produkcja tzw. kina soft-porno, dalej komedie, trochę filmów s-f, przygodowych, sensacyjnych. Od czasu do czasu pojawiają się filmy zaangażowane w problemy młodego pokolenia. W ostatnim czasie nie powstał jednak jakiś znaczący, wybitny film fabularny, ale coraz więcej ciekawych propozycji przynosi kino dokumentalne z gatunku publicystyki społecznej.

— Czy jest zatem w młodszym pokoleniu twórców, reżyser tej miary co Kurosawa?

— Jeśli chodzi o siłę i perfekcję artystycznego języka filmu, na razie następców nie widać. W sferze kina autorskiego artystycznego wyróżnia się może **Nagisa Oshima.** (Tego reżysera znamy w Polsce z obrazu **„Imperium namiętności"** — przyp. aut.).

— Japonia słynie w świecie z poziomu techniki. Jak zatem, w dobie wysokiej klasy odbiorników tv i sprzętu wideo, wygląda sytuacja tradycyjnego kina?

— Podobnie jak na całym świecie, notujemy spadek frekwencji w kinach. W Japonii funkcjonuje blisko 100 tys. sklepów-wypożyczalni kaset wideo, które umożliwiają oglądanie filmów w domu. Do kin, zamienianych obecnie w kameralne miniteatry, uczęszcza głównie młodzież.

— Czy może pan coś powiedzieć na temat kina polskiego?

— Niewiele filmów polskich dociera do Japonii. Z tych, które widziałem wnioskuję, że jest to kino raczej poważne, o zacięciu społeczno-politycznym lub nawiązujące do historii. Z reżyserów znany jest **Andrzej Wajda,** którego cenimy za rozległy i uniwersalny kontekst kulturowy zawarty w jego utworach.

— A Roman Polański?

— Polański jest w Japonii popularny, jakkolwiek jego twórczość nie jest utożsamiana z kręgiem kultury europejskiej, a raczej traktowana jako produkt kina amerykańskiego.

— Podczas tegorocznych Konfrontacji widzowie polscy mają okazję obejrzeć film Kurosawy — **„Chaos".** Czy na koniec można prosić o krótki komentarz do tego obrazu?

— **„Ran"** nie spotkał się w Japonii ze zbyt entuzjastycznym przyjęciem, a nawet był uznawany za film nieudany. Krytyka podkreślała jednak, że film ten — podobnie jak wiele innych — spodoba się widzom w Europie. Jest to bowiem nawiązanie do wątków szekspirowskich, a w sensie artystycznym monumentalny, niemal operowy fresk i pomnik kina spod znaku ekspresjonizmu.

— Dziękuję za rozmowę.

ARKADIUSZ GRZEGORCZYK

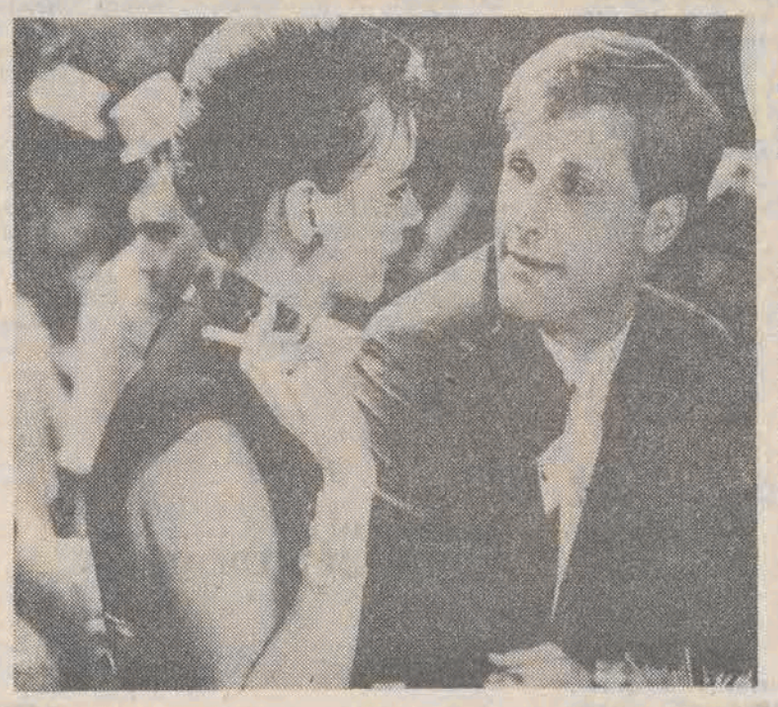

A może do kina?

Dziś proponujemy komedię pt. **„Dzika namiętność"** w reżyserii **Jonathana Demme.** Film opowiada o ekscentrycznej dziewczynie, która uprowadza niemal przykładnego urzędnika na miłosną wycieczkę. W toku rozwijającej się przygody role odwracają się i po licznych, dobrze skonstruowanych dramatycznych wydarzeniach zabawa kończy się... Ale to już trzeba zobaczyć. W filmie występują **Jeff Daniels i Melanie Griffith.**

polemiki · listy · opinie ·

JAKI BĘDZIE LOS MAŁEJ EWY? — GŁOS MA DRUGA STRONA

Po przeczytaniu artykułu pt. EMIGRACJA w „Odgłosach" z 7 maja 1988 r. nasuwają się refleksje, którymi chcę się podzielić. Artykuł nie podaje żadnych nazwisk, to i ja swojego nie podam choć tematem jestem bardzo zainteresowana.

Wiadomo mi, że ten człowiek po dwóch fakultetach — menedżer, jest bardzo słabym człowiekiem — leczył się w Klinice Psychiatrycznej w Warszawie. Dlaczego ani ten kochający tatuś, ani Andrzej Karolczak nie pomyśleli, że dziecko powinno wzrastać w pełnej rodzinie. Ojciec uważa, że jego córka będzie dopiero pełnoletnia mając lat 22—24. Dlaczego nie przyszło mu to na myśl, kiedy decydował się na romans z matką Ewy, a ta wtedy miała 17 lat. W czasie tego romansu matka Ewy z menedżerem po dwóch fakultetach dorobiła się do 21 roku życia jednego porodu na własną odpowiedzialność i trzech zabiegów przerywania ciąży.

Wyjazd matki Ewy do Belgii to schronienie się przed napastliwością ojca Ewy, przed życiem w konkubinacie, który jej absolutnie nie odpowiada, przed oszczerstwami, czego dowodem jest artykuł i przed obciążeniami psychicznymi, jakie w kobiecie zostają do końca życia po zabiegach przerywania ciąży. Ewa również decyzją tego obecnie bardzo kochającego tatusia miała być nienarodzona.

Czy stabilny prawie czterdziestoletni mężczyzna — menedżer po dwóch fakultetach, zdecydowałby się na romans z 17-letnią dziewczyną. Kim dla ojca Ewy była jej matka?

Wręcz odwrotnie, jak podaje artykuł, to u ojca Ewy miłość ojcowska wybuchła dopiero po wyjeździe matki Ewy, co objawiło się zameldowaniem małej u siebie i żądaniem 100 dolarów alimentów miesięcznie. 4 tys. złotych polskich jakie otrzymywał przez rok skrupulatnie odsyłał — to było za mało, a matka Ewy przed wyjazdem zarabiała 8 tys. złotych.

W artykule Andrzej Karolczak pisze o uczuciach matki do ojca, pisze o uczuciu ojca do dziecka, natomiast ani słowa nie pisze o uczuciu ojca do matki, ale po przeczytaniu tego artykułu wiadomo jakie ono jest.

Wysoki standard ojca dziecka nigdy nie był standardem matki, więc ona niczego nie porzuciła, gdyż nie była zameldowana w tym wysokim standardzie. Natomiast jej standard był taki, że bardzo często była wraz z Ewą na utrzymaniu własnej matki, a za wczasy jakie spędzała z ojcem Ewy musiała sama zapłacić. Matka Ewy uciekła przed tym wysokim standardem, gdyż bardzo często jej pożywieniem były łzy i poniżenie od strony ojca Ewy.

Ewę urodziła wbrew woli ojca Ewy, wprawdzie nazwisko Ewa otrzymała od ojca, ale mieszkania u ojca dla niej nie było. Do dwóch lat matka wychowywała ją sama, łudząc się, że w końcu przytuli je obie do siebie i spełniała rolę pomocy domowej, zaspokajała potrzeby seksualne menedżera. Taka sytuacja nie odpowiadałaby żadnej szanującej się kobiecie. Miała prawo do ułożenia sobie życia, do założenia normalnej rodziny i stworzenia dla Ewy również normalnych warunków bytowania i rozwoju — co uczyniła. Nigdy nie porzuciła Ewy. Natychmiast po zawarciu małżeństwa wniosła sprawę o wydanie dziecka, jak również ubiegała się o paszport konsularny, który otrzymała po półrocznym pobycie w Belgii, natychmiast przyjechała do Polski do dziecka. W okresie dwóch lat trwania małżeństwa, 9 miesięcy przebywała w kraju prowadząc proces o zabranie dziecka ze sobą. W czasie jej pobytu w kraju ojciec utrudniał jej kontakty z dzieckiem. Jej obecny mąż wiedział, że żeni się z kobietą, która kocha swoją Ewusię i zrobi wszystko, żeby nie zniszczyć tej miłości.

I jeszcze bardzo istotna sprawa. Po tych wszystkich perturbacjach matka Ewy nie zachodzi w ciążę. Czy w ogóle będzie miała następne dziecko?

Ukryć się w Bieszczadach nie można, gdyż Bieszczady również podlegają administracji polskiej.

Jeśli Andrzej Karolczak pisze, że standard, jaki posiada matka Ewy w Belgii, jest niżej niż średni, to w jakim standardzie żyje przeciętny Polak? Na miejscu matki Ewy wytoczyłabym Andrzejowi Karolczakowi proces o zniesławienie oraz domagała się satysfakcji w postaci sprostowania i odwołania zarzutów i przeproszenia w prasie.

Z poważaniem
X.Y.

OD REDAKCJI. Autorka tego listu zastrzegła sobie anonimowość, podając swoje dane tylko do wiadomości redakcji. Ma do tego prawo, zresztą zawsze zachęcamy Czytelników do takiego zachowania zamiast pisywania anonimów. Tych ostatnich — to jest anonimów — w sprawie losu małej Ewy — zgodnie z naszymi zasadami — nie opublikujemy.

Natomiast jest chyba coś — łagodnie mówiąc — brzydkiego w fakcie, że ktoś, ukrywając się przed opinią publiczną, ma „odwagę" autorowi, który nie ukrywa swego imienia i nazwiska, grozić... sądem.

Sprawy między samymi rodzicami, jak i sprawy między rodzicami i dziećmi nie należą do łatwych. Nieraz i sąd ma trudności w ich rozwiązywaniu i kieruje się zasadą mniejszego zła. Dlatego w sprawach tych potrzeba przede wszystkim rozsądku i odrzucenia emocji.

Nie ujawniliśmy nazwisk zainteresowanych, gdyż chodzi nie tylko o los małej Ewy, ale o problem w ogóle. Iluż to ludzi w kraju, spierając się między sobą, odnosząc się do siebie z nienawiścią, wciąga w to dzieci. Naszą intencją — podejmując tę trudną sprawę — było zwrócenie uwagi właśnie na to, aby pomyśleć o losie dziecka. A może przede wszystkim o jego losie.

TWÓRCZOŚĆ CZESŁAWA MIŁOSZA

W Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego zorganizowano wystawę poświęconą Czesławowi Miłoszowi. W kilkunastu gablotach znaleźć można tomy poezji, prozy, esejów oraz artykuły i wiersze drukowane w najprzeróżniejszych czasopismach. Są także artykuły i książki krytyczne dotyczące twórczości laureata Nagrody Nobla i oczywiście nie brakuje zdjęć.

Wystawa przygotowana została z okazji sesji popularnonaukowej, której bohaterem był Cz. Miłosz. Sesja odbyła się w gmachu biblioteki 26 maja 1988 r. a jej organizatorami byli: Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza i MBP.

Przejdźmy do wystawy; rozpoczynają ją pierwsze wiersze, artykuły i tłumaczenia które drukowane były między innymi w przedwojennych czasopismach: „Skamander", „Środy Literackie", „Droga", „Verbum", „Pion", „Ateneum", „Glossy". Później następuje czas wojny i największa ciekawostka wystawy. Na pierwszej, na maszynie napisanej, tytułowej stronie tomiku czytamy: Jan Syruć, Wiersze. Biblioteka Rękopisów Wydawnictwa „Brzask", Lwów 1939. I właśnie ów tomik jest jedynym zachowanym konspiracyjnym wydaniem wierszy Czesława Miłosza. Zupełnie przypadkowo odnalazł go pan Andrzej Gawroński (kierownik działu Informacji i Bibliografii MBP). Mówił o tym dokładnie w swoim wystąpieniu na sesji. Tom wierszy znajduje się obecnie w prywatnych rękach, pod szkłem leży jego kserograficzna odbitka.

Kolejne gabloty — to krótki okres powojennej bytności Cz. Miłosza w kraju i tutaj znajdujemy artykuły drukowane w „Odrodzeniu" i tom poezji pt. „Ocalenie" wydany w 1945 roku. Dalej emigracja i pierwsze książki drukowane już poza Polską. Ale zanim dojdziemy do książek, należy zwrócić uwagę na niewielki artykulik podpisany przez Antoniego Słonimskiego, a noszący tytuł „Odprawa". Ciekawy to przykład publicystyki okresu socrealizmu. Dzisiejszy młody czytelnik odbiera ten tekst jako jakiś niezwykły dowcip, choć *tekst był jak najbardziej poważny.*

W części poświęconej wydaniom emigracyjnym (głównie z paryskiej „Kultury") wyróżnia się wybór wierszy wydany przez Oficynę Poetów i Malarzy w roku 1967. Tutaj też notka o Czesławie Miłoszu w dziele pt. „Literatura Polska na obczyźnie 1940—1960", pracy zbiorowej napisanej pod redakcją Tymona Terleckiego.

Dalej literacki Nobel i przyjazd do kraju, ilustrują te wydarzenia liczne artykuły i zdjęcia drukowane w polskiej prasie. Potem krajowe wydania dzieł Cz. Miłosza.

Kończą wystawę Miłoszowskie przekłady Biblii. Natomiast na tablicach wiszących nad gablotami możemy podziwiać bibliofilskie wydanie „Traktatu moralnego". Utwór ten został wydany z okazji przyjazdu Czesława Miłosza do Lublina w roku 1981.

W sumie wystawa, mimo niezbyt przecież dużych możliwości biblioteki (wiele wydań po prostu nie dociera) bardzo ciekawa i warta obejrzenia.

T.A. WŁODKOWSKI

TEATR NAGRADZA RECENZENTÓW

Jury, któremu przewodniczył dr Sławomir Świontek z Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ, postanowiło:

W kategorii „studenckiej" nie przyznawać I i II nagrody. Nagrodę III otrzymała **Joanna Olczak,** studentka Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. A. Zelwerowicza w Warszawie.

W kategorii „szkolnej" nie przyznawać I nagrody. Dwie równorzędne nagrody II otrzymali: **Agnieszka Chwilek** (Państwowe Liceum Muzyczne w Łodzi) oraz **Wojciech Czarnota** (XII LO im. Wyspiańskiego).

Dwie równorzędne nagrody III przyznano: **Bartoszowi Smoczyńskiemu** (II LO im. Narutowicza) oraz **Pawłowi Plesiewiczowi** (IV LO im. E. Sczanieckiej).

Przyznano również trzy wyróżnienia: **Michałowi Starzyckiemu, Anecie Bernacik i Hannie Zaborowskiej** — uczniom XII LO im. St. Wyspiańskiego w Łodzi.

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

· polemiki · listy · opinie · polemiki · listy · opinie ·

„WAŻNE TO JE, CO JE MOJE"

Na podstawie art. 31 p. 2 oraz art. 32 ust. 1 p. 2 i ust. 5 ustawy z 26.I.1984 r. Prawa Prasowego proszę o opublikowanie w nr 22 tygodnika „Odgłosy" na warunkach określonych w art. 32 ust. 5 ustawy następującego sprostowania.

W nawiązaniu do artykułu Pawła Tomaszewskiego z nr 20, 21 „Odgłosów" pt. „Ważne to je, co je moje" wyjaśniam, co następuje:

1) Paweł Tomaszewski zawarte w artykule pomówienia pod moim adresem oparł wyłącznie na oświadczeniach 5 spośród 20 pracowników brygady ZRB oraz nie sprawdzonych zarzutów prezesa RSP w Piaszczycach.

2) Osoby te zarzucają mi fałszowanie dokumentacji i malwersacje. Z artykułu wynika, że w tej sprawie zgłosili doniesienia na MO. Oświadczam kategorycznie, że do chwili obecnej nie byłem przesłuchiwany w charakterze świadka czy podejrzanego o popełnienie zarzucanych mi czynów, a są to przecież przestępstwa karne. Skoro art. 13 Prawa Prasowego zabrania wypowiadania opinii co do rozstrzygnięcia w sprawie sądowej, tym bardziej Paweł Tomaszewski nie miał prawa robić ze mnie złodzieja i malwersanta na podstawie pomówień osób trzecich, gdy żadne postępowanie się nie toczy.

3) W takiej sytuacji publikowanie moich personaliów i oceny w sposób jednoznacznie oszczerczy i zniesławiający stanowi naruszenie art. 14 pkt. 6 ustawy Prawa Prasowego. Pomijam już fakt, że w takiej sytuacji zasada obiektywizmu wymagałaby wysłuchania i moich racji, a w szczególności faktów takich jak:

4) Działalność brygady została rozwinięta za moje pieniądze i dzięki mojej inicjatywie. W chwili powstania brygady spółdzielnia była już niewypłacalna (4 mln długu), czego dowodem fakt, że prawie wszystkich zakupów musiałem dokonywać za gotówkę, gdyż sklepy i zakłady odmawiały sprzedaży na przelew w RSP, wobec zadłużeń. Teza Pawła Tomaszewskiego, iż to moja brygada doprowadziła RSP Gertrudów do upadku jest oczywistym przekłamaniem. W okresie pierwszych 6 miesięcy działalności ZRB dało Spółdzielni 8,5 mln przerobu, co pozwoliło zamknąć bilans spółdzielni wynikiem dodatnim (mimo iż w czerwcu 1986 r. miała 3,5 mln zadłużeń).

5) Ustalenia Pawła Tomaszewskiego co do skutków finansowych mojej działalności i rzetelności rozliczeń oparł na rozmowie z księgową Bogusławą Zając, która, co wynika również z dokumentów Izby Skarbowej, prowadziła dokumentację nierzetelnie. Jednym z wielu dowodów nieznajomości przepisów księgowych przez Bogusławę Zając i Zarząd RSP Gertrudów może być sprawa rozliczenia mojej żony Ewy z odpowiedzialności materialnej. Żona została zatrudniona z odpowiedzialnością materialną, o czym Paweł Tomaszewski nie wspomniał stwarzając wrażenie, iż „cwaniak" Grabiński tworzył mafię rodzinną w celu ograbienia RSP Gertrudów. Gdy żona w listopadzie 1986 r. złożyła wymówienie, żądając przeprowadzenia inwentaryzacji, do chwili rozwiązania umowy 28.02.1987 r. inwentaryzacji nie przeprowadzono. Termin sporządzenia powinien nastąpić w terminie do ostatniego dnia pracy. Do chwili obecnej inwentaryzacji nie sporządzono (dokumenty do wglądu Pawła Tomaszewskiego).

6) W sprawie uchybień księgowej Bogusławy Zając z powodu braku reakcji zarządu, pracownicy brygady pisali doniesienie do Prokuratury Rejonowej w Radomsku 27.11.1987 r., jak również do Inspekcji Pracy z 3.09.1987 r., ale o tych faktach Paweł Tomaszewski nie pisze, być może dlatego, iż uprzednio nie była karana.

7) Sprawa mojej uprzedniej karalności nie była przeze mnie zatajana. Postępowanie karne zostało umorzone z amnestii, więc karta z Centralnego Rejestru Skazanych przychodziła czysta, mimo że księgowa Bogusława Zając występowała trzykrotnie. O swoich kłopotach poinformowałem prezesa T. Klekocińskiego i Bogusławę Zając przy przyjęciu do pracy, chociaż tego robić nie musiałem.

8) Zarzuty członków brygady, że nie pracowałem fizycznie wynikały z faktu, iż jako inwalida II grupy miałem przeciwwskazania lekarskie. O fakcie tym wiedział zarząd spółdzielni, gdyż początkowo zatrudniony byłem na pół etatu. Na podobnych zasadach pracował Albin Siwak — członek KC PZPR.

9) Co do oceny mojej działalności jako brygadzisty Paweł Tomaszewski przedstawił opinię 5 pracowników, podczas gdy opinie pozostałych pracowników są odmienne (posiadam oświadczenie pozostałych pracowników).

10) Jeżeli chodzi o zaopatrzenie materiałowe, to musiałem starać się o nie sam, a jeżeli dostawy docierały do spółdzielni, to były rozsprzedawane przez księgową, wskutek czego brygada miała przestoje. Faktu, iż w tym okresie księgowa Bogusława Zając budowała dom Paweł Tomaszewski nie wspomina. Dowodem na to, iż spółdzielnię interesowały tylko dochody, a nie problemy ZRB, jest fakt przez cały okres działalności Spółdzielnia nie zapewniała dowozu zwykłego piasku na czas (w sprawach materiałowych posiadam kopie wielokrotnych monitów).

11) W świetle powyższych faktów konkluzja artykułu Pawła Tomaszewskiego, iż to ja rozłożyłem gospodarstwo RSP Gertrudów jest co najmniej nieuczciwa.

Przedstawioną w artykule spotwarzającą mnie ocenę mojej przeszłości i cech osobistych pozostawiam do oceny Sądu, do którego skierowałem akt oskarżenia z art. 178 Kodeksu Karnego przeciwko Pawłowi Tomaszewskiemu.

LECH GRABIŃSKI

OD REDAKCJI. Lech Grabiński kilka razy powołuje się na „Prawo prasowe", co wymaga stosownego wyjaśnienia, gdyż powoduje poważne nieporozumienia. I tak.

1. Artykuł 32 ustęp 1 głosi:

„Sprostowanie lub odpowiedź należy opublikować w: (...) czasopiśmie — w najbliższym lub jednym z dwóch następujących po nim przygotowywanych do druku numerów, (...)".

Odpowiedź Lecha Grabińskiego otrzymaliśmy w czasie, gdy numer 22 pisma był w drukarni i nie było technicznych możliwości, aby list jego w tym numerze pomieścić. W niczym to jednak nie narusza art. 32 ustęp 1, pkt. 2 „Prawa prasowego", gdyż odpowiedź Lecha Grabińskiego ukazuje się w numerze 23 „Odgłosów", a więc „w jednym z dwóch następujących po nim przygotowywanych do druku numerów".

2. Od wielu lat istnieje w „Odgłosach" kolumna specjalnie przeznaczona dla publikacji listów, opinii, wyjaśnień i polemik. Poza tym list Lecha Grabińskiego nie ma cech „sprostowania", **o którym jest mowa w art. 32 ustęp 5 „Prawa prasowego", jedynie odpowiedzi, w niczym więc nie naruszamy „Prawa prasowego" publikując go na miejscu dla listów i odpowiedzi przeznaczonym.**

3. Artykuł 13 „Prawa prasowego" odnosi się przede wszystkim jedynie do spraw, które znajdują się w postępowaniu przygotowawczym lub sądowym. Wobec Lecha Grabińskiego — jak sam przyznaje — nie toczy się żadne z tych postępowań, zatem nie stosuje się do niego postanowienie art. 13 ustęp 2 „Prawa prasowego", który głosi, że „nie wolno publikować w prasie danych osobowych i wizerunków osób, przeciw którym toczy się postępowanie przygotowawcze lub sądowe".

Jeśli zatem dziennikarz zachowa „szczególną staranność i rzetelność przy zbieraniu i wykorzystywaniu materiałów prasowych", **o czym stanowi art. 12 ustęp 1 „Prawa prasowego", to zgodnie z art. 6 ustęp 1 tegoż może skorzystać z prawa** „do przedstawiania i krytyki wszelkich ujemnych zjawisk w granicach określonych prawem i zasadami współżycia społecznego". **Ale o tym, czy Paweł Tomaszewski naruszył prawo i zasady zadecydować musi w ostatecznym rozrachunku sąd. Nim się to jednak stanie — o ile w ogóle się stanie — zgodnie z artykułem 32 ustęp 6 „Prawa prasowego" w następnym numerze „Odgłosów" Paweł Tomaszewski odpowie na przedstawione zarzuty i przedstawi swoje racje.**

„RÓŻNE WIDZENIE PRZESZŁOŚCI"

Z zaciekawieniem przeczytałem drukowany w „Odgłosach" list Karola Obidniaka dotyczący polityki polskiej w okresie międzywojennym. Z niektórymi tezami można się pogodzić, co do innych można mieć zastrzeżenia.

Sprawą poruszaną między innymi w liście była „krucjata antyradziecka" i słusznie użyte zdanie, że Polska na takie układy nie poszła. Mimo różnicy zdań co do form ustrojowych, przewidywano w kraju, że tego rodzaju polityka ma na celu wyczerpanie sił witalnych narodu i próbę włączenia go w awanturnicze plany, nie mające przyszłości. Logicznie myślący ludzie przez długie lata dobrze przypatrywali się stanowisku emigrantów rosyjskich po zakończeniu wojny 1920 roku. Ci ludzie wierzyli, że Polska jako niepodległy kraj nie ma podstaw dla dłuższego istnienia. Dla nich była jedynie „Prywiślańskim Krajem", który zachował wierność dla „cara batiuszki". Taki punkt widzenia trwał przez wiele, wiele lat.

Odnośnie polityki angielskiej wobec Polski, to była ona polityką zmierzającą do osiągnięcia swoich celów jedynie za pomocą wykorzystania krajów sprzymierzonych w sprawach, które były wygodne dla Wielkiej Brytanii. Opór Polski, stawiany wobec zwrotu Niemcom byłego zaboru pruskiego (początkowo jako obszaru Wolnego Miasta Gdańska i „autostrady" przez obszar polskiego Pomorza), był nie na rękę planom Anglii. Nie była ona przygotowana do wojny i robiła wszystko, aby jej uniknąć, nawet kosztem ofiar (naturalnie nie własnych). Tym można tłumaczyć jej stanowisko w kwestii „pokojowego" rozstrzygnięcia sprawy Nadrenii, Austrii, Sudetów, Czechosłowacji, Kłajpedy itp.

Z głęboką nieufnością i rezerwą odnoszę się do ludzi, którzy twierdzą, że Wielką Brytanię cechuje zainteresowanie sprawami polskimi i że to zainteresowanie nosi znamiona bezinteresowności.

MIECZYSŁAW KOZAK

KTO ZAJMIE SIĘ WYSIEDLANYMI Z ŁODZI?

Z zadowoleniem należy powitać fakt powstania Stowarzyszenia Polaków Eksploatowanych przez III Rzeszę Niemiecką.

Nie można jednak nie zauważyć, iż sposób jego powołania i dotychczasowa działalność muszą budzić pewne zdziwienie. Należy wyrazić żal, że stało się to o ponad 40 lat za późno.

Jednakże powołanie Stowarzyszenia nie rozwiązuje kwestii organizowania się WSZYSTKICH zainteresowanych osób poszkodowanych przez III Rzeszę Niemiecką. Głośna i publikowana w prasie w lutym 1986 roku wypowiedź członka Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce Stanisława Kani — wymienia wiele grup osób cywilnych, które mają prawo do ubiegania się o odszkodowanie ze strony władz Republiki Federalnej Niemiec. Wśród nich wymienia się m.in. wysiedlonych. Byłem jednym z nich. W grudniu 1939 roku rodzina nasza została wysiedlona (była to pierwsza fala wysiedleń z Łodzi do Generalnej Guberni). Wysiedlenie oznaczało utratę całego mienia i wygnanie na poniewierkę.

Powstaje pytanie, kto ma reprezentować tę liczną przecież jeszcze rzeszę byłych wysiedlonych?

Wydaje się, że Stowarzyszenie nie zamierza podjąć się tego zadania, co zresztą jednoznacznie wynika z treści jego nazwy. Zmiana nazwy Stowarzyszenia, o której doniosła ostatnio prasa, niewiele tutaj chyba zmieni. Powstanie zbiurokratyzowana koturnowa organizacja moloch.

Czyż wobec tego nie powinien powstać związek lub też stowarzyszenie wysiedlonych?

Pisząc o bolesnej sprawie wysiedlonych, nie sposób nie zauważyć, iż przez wszystkie powojenne lata temat ten był z niewiadomych przyczyn przemilczany. Milczenie to i niezauważanie problemu wysiedlonych miało długo po wojnie ujemne dla wielu z nich skutki.

Temu też chyba zawdzięczamy, iż nic lub prawie nic nie wiemy o wysiedlaniu ludności polskiej z Łodzi w grudniu 1939 roku i w okresach późniejszych. Nie ma żadnej źródłowej, obszernej i wyczerpującej literatury traktującej ten temat. Wiedza szerokich kręgów społeczeństwa o tych sprawach jest prawie żadna. Jeszcze jedna „biała plama" czeka na swego odkrywcę. Kto ma to zrobić?

JAN KABAT

OD REDAKCJI. Przykro nam, ale wielekroć krzyk na temat „białych plam" bierze się z... niewiedzy. O wysiedlaniach z Łodzi na początku okupacji drukowaliśmy artykuł Pawła Dziecińskiego w 38 numerze „Odgłosów" z 1987 roku. W tych dniach ukaże się w księgarniach książka tegoż Pawła Dziecińskiego „Łódź w cieniu swastyki". Książkę wydał łódzki oddział KAW, a zapowiedział jej ukazanie się w telewizyjnych „Wiadomościach" 19 maja 1988 roku Wiesław Jażdżyński. Tam również jest o wysiedleniach z Łodzi.

CZY POTRZEBA?

Z mieszanym uczuciem przeczytałem na łamach „Odgłosów" nr 18 z 30 kwietnia 1988 roku, jak to p.p. Kozak i Zajączkowski na ruinach cmentarza żydowskiego na Brackiej budują pomnik członkom ruchu oporu, rozstrzelanym tu w okresie ostatniej wojny przez okupanta hitlerowskiego.

We wrześniu 1976 roku z miejsca tego z ceremoniałem wojskowym ekshumowano prochy wszystkich rozstrzelanych tu polskich bojowników i pochowano we wspólnej mogile na Cmentarzu Komunalnym na Dołach, a społeczeństwo Łodzi uczciło ich pamięć wyrytym na nagrobnej płycie epitafium:

„Tu spoczywają prochy młodocianych członków Ruchu Oporu rozstrzelanych w 1944 roku przez okupanta hitlerowskiego na cmentarzu żydowskim w Łodzi".

Wielce zastanawiające jest, bo i komu ten zamysł jest potrzebny, aby tworzyć tym samym bohaterom dwa upamiętniające miejsc na dwóch cmentarzach i to w tak bliskiej odległości od siebie.

Tłumaczenie, że pozostały tu jeszcze prochy ludzkie, jeśli się zważy, że cmentarz istnieje od 1892 roku i spoczywa tu ponad 300 tysięcy istnień ludzkich, to zapewne w każdym miejscu odnaleźć można ich ślady.

ALEKSANDER PYTKE

DLA NICH OSKAR

Są w różnym wieku, różnej płci, różnych zawodów. Współczujemy im, ustępujemy miejsca w tramwaju, ustanawiamy „kolejkowe przywileje". Czy to jednak wszystko co możemy i powinniśmy dla nich zrobić?

W Łodzi od czterech już lat działa OSKAR — Klub Studentów Niepełnosprawnych zrzeszony przy ZSP. Jego członkowie to głównie studenci i pracownicy wyższych uczelni, ale nie tylko, gdyż klub ma charakter otwarty. Spotykają się, by wspólnie spędzić wolny czas, podzielić się radościami i troskami. Organizują letnie i zimowe obozy, jeżdżą na nartach, pływają i żeglują. Korzystając z pomocy specjalistów z Poradni Rehabilitacyjnej ZOZ dla Szkół Wyższych szukają nowych form odzyskiwania pełnej sprawności. Głównie jest to rehabilitacja poprzez intensywne ćwiczenia i uprawianie sportu. Pasją, która ich łączy jest żeglarstwo. Wśród członków klubu odnaleźć można kapitana żeglugi morskiej, jachtowego sternika morskiego, sterników i żeglarzy jachtowych.

Doceniając ich chęci i starania Ogólnopolska Rada Studentów Niepełnosprawnych w porozumieniu z Akademickim Centrum Żeglarskim w Łodzi, utworzyła Akademickie Centrum Szkolenia Żeglarzy Niepełnosprawnych. W oparciu o jego pomoc już przed trzema laty członkowie klubu zorganizowali pierwszy w Polsce pełnomorski rejs żeglarzy niepełnosprawnych, kierowany przez Jerzego Sokołowskiego.

Przykry jest natomiast fakt, że przeszkody, na które napotykają przy załatwianiu ważnych dla nich spraw są natury czysto formalnej, wynikają z braku chęci i dobrej woli ludzi, którzy nie chcą pomóc. Musieli je pokonać i w 1987 roku, kiedy wyruszali na Międzynarodowe Regaty Żeglarzy Niepełnosprawnych do Holandii — Holandicap Trophy '87. Ich pięcioosobowa ekipa (Bogusław Grzelak, Piotr Fros, Małgorzata Garno, Janusz Andrzejewski i Marek Kurasz) była tam jedyną reprezentacją krajów socjalistycznych.

Udział Polaków w powyższej imprezie dał początek współpracy z niepełnosprawnymi żeglarzami z innych państw, a przede wszystkim zapewnił przedstawicielstwo naszego kraju w Międzynarodowym Komitecie Sportów Wodnych dla Niepełnosprawnych.

I dziś nie narzekają na brak kłopotów, a mimo to starają się coś robić. W marcu 1988 roku zorganizowali obóz bojerowy na Mazurach i choć inni biadolą, że nie ma zimy i śniegu — oni wrócili zadowoleni. Być może tajemnica ich sukcesu tkwi zupełnie w czym innym — może po prostu dobrze czują się w swoim towarzystwie i dlatego imprezy, które organizują, zwykle się udają. Nie zrażają ich kłopoty i trudności.

IZABELA BORECKA

TELEFON 36-77-70

Na stronie 14 nr 18 „Odgłosów" z 30.04. 1988 r. w rubryce „Masz temat dla reportera" ukazała się wzmianka dotycząca byłej pracownicy naszego zakładu Ob. Sabiny Bartos. W notatce tej zawarta jest sugestia iż zakład nasz „zrewiduje stosunek do byłej pracownicy i rozprawi się z bezduszną maszynerią urzędników".

Sprawa Sabiny Bartos sprowadza się do tego, iż ZUS nie uznał chorób przebytych przez Sabinę Bartos jako choroby zawodowej. Sabina Bartos była badana przez lekarzy Instytutu Medycyny Pracy, który to Instytut nie stwierdził choroby zawodowej. Sprawa Sabiny Bartos dotycząca ustalenia istnienia choroby zawodowej była rozpoznawana także przez Sąd Ubezpieczeń Społecznych w Łodzi (w trybie odwoławczym od decyzji ZUS) i Sąd ten także nie ustalił, że Sabina Bartos jest chora na chorobę zawodową.

Mając na uwadze fakt prawomocnego rozstrzygnięcia sprawy przez niezawisły Sąd, Zakład nasz nie może w tej sprawie udzielić żadnej pomocy.

mgr M. RADOSIEWICZ („POLMERINO")

MBP IM. L. WARYŃSKIEGO ZAWIADAMIA

Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego uprzejmie zawiadamia P.T. Czytelników, że w maju zakończone zostały główne prace remontowe W związku z tym zapraszamy wszystkich do korzystania z naszych zbiorów codziennie w stałych godzinach otwarcia Biblioteki. Jednocześnie MBP wznowiła w Dniach Kultury, Oświaty, Książki i Prasy swoją działalność wystawienniczą i imprezową. W najbliższym czasie — 26 maja — odbędzie się sesja popularnonaukowa poświęcona Cz Miłoszowi przygotowana wespół z Oddziałem Łódzkim Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, na którą serdecznie zapraszamy.

REDAKCJA — CZYTELNICY

JÓZEF JANKE, WROCŁAW. Propozycje pana przeczytaliśmy z dużym zainteresowaniem. Mamy jednak pewne wątpliwości, czy gdyby TOTOLOTEK zamiast samochodów dawał talony na książki, to ludzie masowo wypełnialiby kupony. Proszę nie zapominać, że — jak wykazują różne badania — około 40 procent Polaków nie czyta książek. Nie wszyscy są też zainteresowani ich kupnem, choć funkcjonuje czarny rynek księgarski. Ale — jak twierdzą ludzie obeznani w księgarskim interesie — książka dziś to również lokata kapitału. Pewnie, że cierpią na tym ludzie, którzy naprawdę książką się interesują, którym jest ona potrzebna, a którzy nie mają wiele pieniędzy. Nie jedyny to paradoks w naszym życiu.

Na cenę prasy wpływa bardzo wiele czynników. Najczęściej najmniej do powiedzenia mają redakcje. Ich zadaniem jest tak redagować pisma, aby czytelnik kupował je, mimo rosnących cen.

GRZEGORZ KOWALSKI, Łódź. Przykro nam, choć zajmujemy się też religioznawstwem, to jednak z listu nie skorzystamy. Byłoby zręczniej, gdyby napisał pan do tych redakcji, które drukowały tekst, wobec którego ma pan tyle merytorycznych zastrzeżeń. Gdyby zechciał pan zabrać głos na tematy przedstawiane na naszych łamach, to inna sprawa.

TADEUSZ KOŁACZYK, Łódź. JERZY SZYMAS, Koluszki. Nie podejmowaliśmy na naszych łamach problematyki związanej z karą śmierci. I nie zamierzamy jej podejmować. Dyskusja, jaka przewaliła się przez łamy prasy polskiej dostatecznie nas do tego tematu zniechęciła W społecznej świadomości tkwi bowiem tyle nienawiści, że trudno o dyskusję przy pomocy argumentów. Chyba jeszcze do takiej dyskusji nie dorośliśmy. A przecież temat jest bardzo ważny i trzeba będzie do niego powrócić. Może jak opadną emocje i przyjdzie czas na argumenty. Prosimy o cierpliwość.

REDAKTOR DYŻURNY

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

9 czerwca — TERESA JERZYKOWSKA — godz. 10—16.

16 czerwca — JERZY KWIECIŃSKI — godz. 10—16.

Nie po raz pierwszy okazuje się, że najtrudniejsze do załatwienia są sprawy proste, często wręcz banalne, a przecież bardzo uprzykrzające na co dzień życie. I o takich głównie sprawach mówili Czytelnicy podczas ostatniego dyżuru reporterskiego przy redakcyjnym telefonie.

Ot, choćby sprawa kasowników w tramwajach i autobusach. W wielu wozach jest ich zbyt mało, aby np. w tłoku każdy miał do nich swobodny dostęp, co powoduje, iż niektórzy pasażerowie po prostu nie kasują biletów, wiedząc, że kontroler do zatłoczonego tramwaju raczej nie wejdzie. Bywa też, że kasowniki wiszą za wysoko, aby mogły dosięgnąć do nich dzieci, które także przecież podróżują. I jedno, i drugie nie zachęca do przestrzegania przepisów oraz pozbawia MPK części wpływów za bilety.

Czytelnik, który podzielił się z nami tą refleksją, zaobserwował również, że autobusy linii 78 na ogół odjeżdżają z pl. Wolności zatłoczone, podczas gdy — linii 79 raczej pustawe. Pyta więc, czy nie można przesunąć części pojazdów z jednej trasy na drugą — tę bardziej obciążoną. Zastanawia się on także, dlaczego nie ma przystanku autobusowego przy stacji kolejowej na Zabieńcu — w stronę Teofilowa, a jest w przeciwnym kierunku.

Pan **Jerzy Borowski** jest zamiłowanym szachistą i bywa często w parku nie opodal pl. Wolności, ale rzadko udaje mu się „dopchać" do któregoś z ustawionych tam stolików z szachownicami, aby zagrać z kimś partyjkę. Dlaczego? Dlatego, że chętnych do gry jest tam wielokrotnie więcej niż szachownic i na zwolnione miejsce czekać trzeba godzinami. Szachy, to piękna gra — twierdzi nasz Czytelnik — i chyba lepiej jeśli odpoczywający w parku łodzianie nią się właśnie zajmują, niż mieliby, powiedzmy, pić na ławce wódkę lub wino, co też, niestety, czasem się zdarza. Postuluje on zatem, aby stolików z szachownicami było więcej, a nawet deklaruje chęć pomocy w ustawieniu nowych. Polecamy tę propozycję władzom dzielnicy i miasta, mając nadzieję, iż usatysfakcjonują one szachistów — przy ich zresztą pomocy.

Aż dwa telefony dotyczyły działalności ROM nr 2 w Śródmieściu przy ulicy Sienkiewicza 56. I tak mieszkanka domu przy Piotrkowskiej 121, pani **Franciszka Malicka** skarży się, że od trzech miesięcy ona oraz jeszcze kilku lokatorów pozbawionych jest gazu. Stało się to po wymianie licznika. Próby uzyskania informacji, kiedy gaz znów popłynie do ich mieszkań — zarówno w ROM, jak i w Zakładzie Gazowniczym — spełzają na niczym. Po prostu nikt nic nie wie. Czyżby wspomniany ROM zapomniał o tym budynku?!

Z kolei lokatorzy oficyny w posesji przy Wólczańskiej 112 zbulwersowani są decyzją ROM, zabraniającą im korzystania z suszarni bielizny. Powód — przeciekające stropy i zalewanie mieszkań. Powód niewątpliwie ważny, ale... No, właśnie — czy ROM nie powinien raczej zadbać o naprawę stropów, niż wydawać zakazy? Ludzie przecież muszą gdzieś suszyć wyprane rzeczy, a tej możliwości bezdusznie ich pozbawiono. I jeszcze: swego czasu jeden z lokatorów wyremontował znajdującą się w podwórku komórkę zdewastowaną i nie zamykaną) urządzając w niej garaż dla swego malucha. Kierownik ROM zakazał mu jednak użytkowania jej, po czym... sam zaczął trzymać w niej samochód. Komentarz chyba zbędny.

Pabianicki listonosz, pan **Jan Jaworski** od lat jest honorowym dawcą krwi. Oddał już ponad 10 litrów tego cennego leku, nie żądając w zamian nic. Zastanawia go jednak, że o ile parę lat temu oddając 450 mililitrów, dostawał — na zregenerowanie sił! — sześć czekolad twardych, jedną nadziewaną i batonik, to ostatnio — już tylko dwie twarde czekolady i jedną nadziewaną. Czyżby dziś organizm honorowego krwiodawcy łatwiej uzupełniał ubytek krwi? — pyta. A może chodzi o to, by szeregi honorowych krwiodawców malały, co jak obserwuje, jest już faktem? W każdym razie nie przekonują go tłumaczenia, że słodycze drożeją, a służba zdrowia nie ma pieniędzy na czekolady. Widzi raczej w tym poważne zaniedbanie odpowiedzialnych za taki stan rzeczy władz. Te pieniądze powinny się znaleźć, mimo wszystko!

Innymi sprawami poruszonymi w telefonach od Czytelników postaramy zająć się w osobnych publikacjach.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

ROZGŁOŚNIA POLSKIEGO RADIA
w Łodzi, ul. Narutowicza 130

Z A T R U D N I

pracowników na stanowiska

INSPEKTORÓW DO SPRAW KSIĘGOWOŚCI.

Warunki pracy i płacy do omówienia w dziale spraw pracowniczych, w godz. 9—16, **tel. 78-81-24** lub **78-90-17** w. **290.**

3632/K

ZJEDNOCZONE PRZEDSIĘBIORSTWA ROZRYWKOWE

O Łódź, ul. Moniuszki 4

Z A T R U D N I Ą

pracowników na stanowiskach:

- Z-CY KIEROWNIKA LUNAPARKU
- ST. REFERENTA DS. TECHNICZNYCH
- Z-CY KIEROWNIKA KLUBU „MAXIM"
- ELEKTRONIKÓW
- KASJERKI
- ELEKTRYKÓW
- ŚLUSARZY
- TOKARZA.

Możliwość wyjazdu na atrakcyjny kontrakt zagraniczny po 3 latach pracy.

Informacji udziela Sekcja Spraw Pracowniczych, ul. Moniuszki 4, tel. 32-89-12.

3636/K

Nasze dzieci

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Jeśli nie seks grupowy, to co?

Jak przeciwdziałać znużeniu erotycznemu?

Rozmowa z ANDRZEJEM BARCZEWSKIM, seksuologiem z Przychodni Seksuologii i Patologii Więzi Międzyludzkich Specjalistycznego Zespołu Opieki Zdrowotnej Matki i Dziecka w Łodzi oraz sekretarzem Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Rozwoju Rodziny.

— W magazynach „Relaks", „TOP" czy gablotach ogłoszeniowych coraz częściej ukazują się anonsy, że para, małżeństwo, najczęściej około trzydziestki pozna inne małżeństwa lub pary, niepruderyjne, ceniące przyjaźń i seks. Jest to reakcja na znudzenie sobą małżonków czy może raczej moda na seks grupowy, która dotarła do nas z Zachodu?

— Uważam, że jest to głównie moda, i to moda bardzo niedobra. Czy znudzenie? Powiedziałbym, iż jest to raczej znużenie, które bardzo silnie koresponuje z sytuacją społeczną, w jakiej się znajdujemy. A jeżeli rzeczywiście jest to znudzenie, to zaspokajanie potrzeb seksualnych w zachowaniach grupowych nie jest dobrym sposobem na jego zlikwidowanie.

— Dlaczego najczęściej ogłaszają się ludzie około trzydziestu lat?

— To może mieć dwa źródła. Po pierwsze — granica zawierania małżeństw przesunęła się teraz do wieku dwadzieścia osiem—trzydzieści kilka lat i próby erotycznego realizowania się w układach zbiorowych mogą świadczyć o poszukiwaniach ludzi, którzy nie są dostatecznie emocjonalnie ukształtowani. Druga sprawa — może to wynikać z poszukiwania nowych doświadczeń. Jest przecież grupa ludzi, którzy właśnie około lat trzydziestu są już „ustawieni" w życiu, to znaczy mają dobrze umeblowany dom, odchowane dzieci, ich sytuacja materialna jest ustabilizowana i nie muszą się tak bardzo martwić o przyszłość. Zaś jakkolwiek patrzeć na seks grupowy, to takie zachowania świadczą o małej dojrzałości emocjonalnej człowieka.

— Czy pan, jako lekarz seksuolog często spotyka w swojej praktyce ludzi, którzy zwracają się ze sprawami bezpośrednio dotyczącymi seksu grupowego lub choćby tylko pośrednio dotykają tej sprawy? Na jakie niebezpieczeństwa zwróciłby im pan uwagę?

— Jeżelibyśmy przyjęli za wzorzec osoby, które dają ogłoszenia o jakich pan mówił, to takie problemy i osoby do przychodni nie docierają. Jeśli coś takiego trafiłoby do nas, to staralibyśmy się zahamować takie postępowanie. Natomiast przychodzą do nas ludzie z trochę innymi problemami. Podam konkrety: współżycie z żoną, reakcje seksualne są prawidłowe, natomiast przy współżyciu z sekretarką występują kłopoty, a ponieważ pacjent zajmuje eksponowane stanowisko, to uważa, iż powinien ją wykorzystywać w życiu intymnym. Po takich zwierzeniach stajemy w dość trudnej sytuacji; mamy pomóc człowiekowi zdradzać żonę. A to nie jest dla nas dobry interes, gdyż stoimy na straży rodziny, czy stałych związków partnerskich przypieczętowanych uczuciem. Nie jest naszym celem lansowanie zachowań seksualnych w oderwaniu od więzi uczuciowej. Akceptowanie tego rodzaju praktyk jest prostą drogą do rozbijania rodziny.

Wyłania się zatem dosyć ciekawe pytanie: jaki czynnik w kulturze wychowania intymnego, a także naszych postaw wobec cudzych zachowań seksualnych wywiera decydujący wpływ? Wydaje się, że na to pytanie dał odpowiedź Mikołaj Kozakiewicz. Przez odpowiednio przygotowanych respondentów z czternastu państw o różnym systemie społecznym i ustrojowym została wypełniona ankieta, która miała odpowiedzieć na pytania: jacy jesteśmy, jacy chcemy być i jakie mamy oczekiwania w stosunku do naszego środowiska?

I co się okazało? — Polska znalazła się w grupie państw, które autor określił jako kraje kultury łacińskiej. Obok Polski znalazły się w niej Włochy, Francja, Hiszpania, Portugalia, Irlandia i Belgia. Co jest dla nich wspólne? Wspólnym mianownikiem była rozpowszechniona w nich religia rzymskokatolicka. Okazało się, że jest to czynnik decydujący w kształtowaniu zachowań w sferze erotyki, a także postaw w odniesieniu do rodziny i otoczenia. Można wysnuć wniosek, iż wśród wszystkich czynników kulturowych, kształtujących życie intymne na pierwszym miejscu należy uwzględnić religię dominującą na danym terenie. Mimo iż w Polsce mieszkają ludzie wierzący i niewierzący, to jednak nasze społeczeństwo funkcjonuje na podstawach tradycji chrześcijańskiej. Najlepszym tego przykładem jest zawieszenie podręcznika „Przysposobienie do życia w rodzinie".

W świetle tego jakiekolwiek grupowe zachowania seksualne pozostają w jaskrawej sprzeczności z wzorcem narzuconym przez religię rzymskokatolicką. Wszelkiego rodzaju zachowania tego typu są także przez seksuologię uznawane za negatywne. Zaspokojenie seksualne realizowane grupowo jest odwróceniem normalnej sytuacji, mianowicie najpierw są zachowania seksualne, a potem następuje zaangażowanie emocjonalne, jeżeli jest to w ogóle możliwe. Normalne sytuacje, to są takie, w których najpierw występuje związek uczuciowy, a później zachowania seksualne. Czy przez seks grupowy nadwątlona więź zostanie poprawiona — z pewnością nie.

Kolejne zagrożenie zilustruję przykładem. Zgłosiła się do nas pacjentka, która pod presją męża, dla uratowania małżeństwa i rodziny zgodziła się współżyć jednocześnie z dwoma mężczyznami — z nim i jego przyjacielem. Po każdym takim „seansie", a było ich kilka czy kilkanaście, czuła do siebie odrazę i obrzydzenie.

— Z pana wypowiedzi wynika, iż na szczęście nie można jeszcze mówić o narastającym problemie seksu grupowego i wynikających z tego konsekwencji.

— Wydaje mi się, że osoby, które podejmują zachowania seksualne nie akceptowane społecznie mają poczucie słuszności swojego postępowania. Przypuszczam, że ludzie ci intuicyjnie czują, iż, gdyby zgłosili się do instytucji zajmującej się tą problematyką byliby potraktowani krytycznie.

Natomiast przychodzą do nas wtedy, kiedy w wyniku ich zachowań dochodzi do zaburzenia porządku, w którym dotychczas fukcjonowali, a to niesie za sobą czasem tragiczne skutki.

— Czy nie ma ani jednej strony dodatniej grupowych zachowań seksualnych? Czy na przykład, jednorazowe bądź sporadyczne kontakty grupowe nie mogą mieć korzystnego wpływu na wzbogacenie „ars amandi"?

— Być może, ale tylko dla ludzi, którzy akceptują tego typu praktyki. To należy traktować bardzo indywidualnie, podobnie jak picie wódki — jeden pije dla smaku, dla kurażu, inny po to, żeby się upić.

— Uważa się, że wszystko to, co nie przynosi szkody społecznej jest w erotyce dozwolone, więc nie można twierdzić, że grupowe kontakty seksualne są dewiacją.

— Pojęcie dewiacji trzeba rozpatrywać w kategorii klinicznej i społecznej. Podam dwa przykłady takiej rozbieżności. Małżeństwo o prawidłowo ukierunkowanych zainteresowaniach seksualnych realizuje wzajemne potrzeby erotyczne z zakłóceniem spokoju w miejscu zamieszkania, bo pijany małżonek próbuje wymusić kontakt seksualny z żoną, do którego ma pełne prawo. Widać więc normę fizjologiczną i patologię społeczną. Odwróćmy zagadnienie. Mieszkanie zajmuje dwóch homoseksualistów. Panowie spokojni, funkcjonują bez zakłóceń. Z punktu widzenia prawa naturalnego i fizjologii coś jest nie tak, ale ich koegzystencja nikomu nie przeszkadza. Mamy do czynienia z patologią kliniczną i z normą społeczną.

— No dobrze, ale jeżeli nie seks grupowy, to co?

— Bardzo często radzę moim pacjentom hobby. Jest ono doskonałą odtrutką na wiele sytuacji stresowych.

— Myślę, iż z naszej rozmowy można wyciągnąć wniosek, który jest jednocześnie przestrogą, że w przypadku, kiedy w życiu erotycznym coś się psuje, zamiast poszukiwać zaspokojenia i satysfakcji w kontaktach zbiorowych, należy zgłosić się do seksuologa.

— Dlaczego tak bardzo stawiamy na stałość układu partnerskiego. Wszystko jedno jak go nazwiemy? Wspólnym mianownikiem powinien być stały układ partnerski, którego walory chciałbym wymienić. Po pierwsze — unikamy chorób przenoszonych drogą płciową. Druga rzecz — nie powołujemy do życia ciąży, której nie chcemy. Nie grozi płacenie alimentów na dzieci, których nie są ojcami. I ostatnie — to stałość układu partnerskiego, która sprzyja ustabilizowaniu aktywności seksualnej.

Rozmawiał: BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Znalazł się człowiek, który na własny koszt za 140 milionów złotych zaczął restaurować... zamek. I co z tego wynikło?

Kult papierka

W naszej historii najnowszej przeżyliśmy wiele rozmaitych okresów kultu, z kultem głupoty włącznie. Jednakże najtrwalszym okazał się kult papierka. Kultowi papierka nie poradził nawet głośny i okrzyczany akt, wedle którego człowiek z dowodem osobistym, bądź własnym oświadczeniem złożonym przed urzędnikiem na taką czy inną okoliczność, miał być wystarczającym gwarantem prawdy. Pieczątka i papierek to do dziś powszechnie obowiązujące (panujące?) glejty wszędzie i na każdą okazję. Pieczątka i papierek nobilituje byle głupca, otwiera każde drzwi do załatwienia nawet podejrzanej sprawy; pieczątka i papierek stanowi po dziś dzień niejedną przeszkodę w załatwieniu, czy podjęciu nawet najpożyteczniejszej sprawy bądź przedsięwzięcia.

W warunkach kultu papierka z pewnością nawet Jan Gutenberg nie byłby w stanie wydać w 1455 r. pierwszej książki z własnej tłoczni, bowiem człowiek nie namaszczony pieczątką i papierkiem nic nie znaczy! Tak jak do dziś z braku pieczątki i papierka niejeden — śmiem twierdzić — geniusz, wynalazca, czy bodaj człowiek — „złota rączka" nie jest w stanie spożytkować własnych umiejętności dla swojego i bliźnich dobra. O przykłady nietrudno — jest ich zaskakująco dużo.

W kulcie papierka upatruję podstawową przeszkodę na drodze reformowania naszego życia społecznego i gospodarczego. W kulcie papierka widzę utrupianie wszelkiego nowatorstwa i odważnych przedsięwzięć, bowiem kult papierka, to nie tylko stawiane bariery formalne, lecz w pierwszym rzędzie sposób rozumowania — tępego i asekuranckiego. Kult papierka — to sposób na wygodne, urzędnicze życie, kult papierka — to akt zgonu wystawiony każdemu przedsięwzięciu naruszającemu owo wygodne życie. Kult papierka wreszcie jest w stanie uśmiercić nawet najszlachetniejsze, osobiste poświęcenie jednostki.

Swego czasu w pewnych kręgach (szczególnie artystycznych) bardzo modne stało się przejmowanie starych dworków na własny użytek. Kosztem wielu osobistych wyrzeczeń uratowano w ten sposób przed całkowitym zniszczeniem niejeden bezcenny, nierzadko historyczny obiekt, przywracając mu, jeśli nie dawną świetność to urodę.

Dr inż. Włodzimierz Sobiech, pracownik naukowy Akademii Rolniczej w Poznaniu, podjął się znacznie większego przedsięwzięcia. I to nie tyle na użytek własny, ile w znacznie szlachetniejszych zamiarach. Trudno bowiem dopatrywać się, aby wielki, pseudogotycki pałac o kubaturze 86 tys. m sześc., liczący 110 komnat i *liczne sale, zamierzał odrestaurować* na użytek *własny. Widać* był na tyle urzeczony tą piękną budowlą, że postanowił przywrócić jej dawny blask inwestując w to gigantyczne przedsięwzięcie cały swój osobisty majątek, łącznie z wielkim — jak na nasze wyobrażenia — spadkiem.

Piękny pałac góruje nad Kamieńcem Ząbkowickim *(woj. wałbrzyskie)* leżącym u jego stóp. Wzniesiono go *dla* księcia Albrechta Pruskiego w latach 1836—1863. Jedna z najpiękniejszych budowli zabytkowych na terenie Polski jest dziełem znakomitego architekta Karola Fryderyka Schinkla. Niestety, jak większość tego typu obiektów pałac w szybkim tempie zaczął podupadać.

To właśnie postępującemu procesowi zniszczenia tej pięknej budowli postanowił przeciwdziałać dr inż. Włodzimierz Sobiech. W 1985 roku, z pomocą kilku osób, postanowił na własną rękę przystąpić do prac rewaloryzacyjnych. Przez długi czas prywatny konserwator zdany był na własne siły i, oczywiście, własne zasoby finansowe. Jego wysiłek i starania nie interesowały nikogo, żadnego z przedsiębiorstw np. turystycznych, ani też żadnej instytucji.

Trzeba by nie żyć w naszych czasach, aby sądzić, że tak gigantyczne przedsięwzięcie jak rewaloryzacja ogromnego zabytku, to znakomity interes mający w perspektywie przynieść śmiałkowi znaczny profit. A jednak dr Włodzimierz Sobiech zainwestował z własnej kieszeni aż... 140 mln złotych! Tyle bowiem wydał dotychczas na odnowę kamienieckiego pałacu, który pochłonął cały spadek, choć do przywrócenia mu dawnej świetności potrzeba jeszcze około 1,3 mld zł. To prawda, niezależnie od zainwestowania kapitału własnego (owych 140 mln zł) dr Włodzimierz Sobiech otrzymał od wojewódzkiego konserwatora zabytków w Wałbrzychu — za pośrednictwem Urzędu Gminy w Kamieńcu Ząbkowickim — 10 mln zł. Jednakże na więcej, w najbliższym czasie, liczyć nie może. Konserwator bowiem nie może przekazać więcej pieniędzy prywatnemu rewaloryzatorowi gdyż, według konserwatora, pracuje on „na dziko", a to znaczy, że nie spisano z nim żadnej umowy, nawet dzierżawnej, nie mówiąc już o tym, że dr Włodzimierz Sobiech nie ma nijakiego papierka — żadnych „uprawnień" rzemieślniczych czy budowlanych.

Czyż to, że tyle już zrobiono, a więc że pałac pokryty został dachem nieomal w całości, że zabezpieczono jedną z wież, że odbudowano część sklepień łukowych i schodów, że wstawiono wiele okien, że wykonano wiele prac tynkarskich, że niektóre komnaty mają już doprowadzoną instalację, założone podłogi i drzwi, nie mówiąc o owych 140 milionach złotych własnego kapitału, czyż wszystko to coś znaczy w porównaniu z żądanym papierkiem!? Papierkiem uprawniającym do czego? Do zainwestowania w społeczny interes własnych pieniędzy? Papierkiem do wykonania czegoś, co zostało wykonane. Bo przecież jak to możliwe, aby ktoś bez papierka był w stanie cokolwiek zrobić?

Jakie plany i nadzieje wiązał z pałacem jego odnowiciel? Różnie o tym się mówi, a i sam zainteresowany utrzymuje, że najbardziej realne dotyczą ewentualnego utworzenia w nim hotelu, bądź ośrodka szkoleniowo-wypoczynkowego z bogatym zapleczem kulturalnym i gastronomicznym. Ba, rysowały się jeszcze w 1987 r. pewne nadzieje wprzęgnięcia w to zamierzenie Towarzystwa Chopinowskiego z Toronto, które nadesłało do wojewody wałbrzyskiego ofertę związaną z zakończeniem remontu i ewentualną późniejszą eksploatacją pałacu. Dokumentację przygotowaną przez kamienieckie władze wysłano na ręce prezydenta Towarzystwa Andrewa Williana i... cisza.

Prywatnemu konserwatorowi pieniądze kończą się, a przyszłość pałacu górującego nad Kamieńcem Ząbkowickim jest bardzo mglista. Zanim się do tego przedsięwzięcia zabrał przynajmniej wiadomo było, że pałac zamieni się w ruinę, a w przyszłości niejednemu widok ruin powróciłby czkawką, a tak?

No cóż, niejednego Zabłockiego (tego od mydła) Polska widziała.

Jedno jest wszakże pocieszające w tej sprawie, że owe 140 mln zł zainwestowane w pałac nie potraktowano jak... papierki.

MARIAN ZDROJEWSKI

1

Pod prąd

Nie ma sprawy!

W poprzednim felietonie napisałem, że dokument, to tyle co dowód, świadectwo potwierdzające prawdziwość jakiegoś faktu. Napisałem tak, gdyż w ten właśnie sposób słowo to definiuje słownik języka polskiego, a chodziło mi głównie o takie dokumenty, jak dowód osobisty, paszport, akt urodzenia, itp. Ale przecież dokumentem, co prawda — swoistym, są również na przykład gazety. Mówi się nawet — dokumentem czasu, epoki... Czytuje i cytuje się je po latach, czerpie z nich wiedzę i argumenty, pisuje na ich podstawie prace historyczne... Czy więc gazety także możemy nazwać dowodem, świadectwem prawdziwości czegoś, co się rzeczywiście wydarzyło?

2.

Pamiętam, w „dobrych" latach 70. jeden z redakcyjnych kolegów wybrał się do któregoś z podsieradzkich pegeerów, w którym — jak słyszał — padło bodaj dwieście prosiąt. Informacja wymagała sprawdzenia, gdyż różne plotki krążyły wtedy po kraju i mogło się okazać, że owszem, wszystko się zgadza, tylko nie było to w pegeerze, a w rzeźni, nie chodziło o prosięta, a o dorodne świnie, które w dodatku wcale nie padły, lecz po bożemu zostały zaszlachtowane i przerobione na kiełbasy. Tym razem jednak „cynk" był w stu procentach prawdziwy, o czym kolega — dziennikarz przekonał się naocznie. Wypytał więc pracowników pegeeru, co i jak, zanotował potrzebne nazwiska i ucieszony, że będzie miał w gazecie bulwersujący reportaż, wybrał się spokojnie w powrotną podróż do Łodzi.

Aliści zanim zdążył dotrzeć do redakcji, jego przełożeni dowiedzieli się już z bardzo pewnego źródła zbliżonego do kół partyjnych, że choć istotnie pogłowie prosiąt w rzeczonym pegeerze uległo zmniejszeniu, to jednak w pełnej zgodzie z polską normą i kwartalnym planem. Nie ma więc o czym mówić, a już tym bardziej pisać! Zresztą, czy nie ma już w Polsce ważniejszych spraw? Na pewno są i nimi to właśnie powinna żywiej zająć się prasa. Bo kogóż za 10, czy 20 lat interesować będzie dwieście prosiąt z jakiegoś tam pegeeru? No, kogo?!

3.

Rozmawiałem całkiem niedawno z pewnym nauczycielem w związku z nieczystą sprawą innego nauczyciela. Nie mój rozmówca jednak przyczynił się do zatuszowania „afery" i nie w jego szkole pracuje ów pedagog, który mógłby być rzeźnikiem, malarzem pokojowym, kamieniarzem, ale na pewno nie pedagogiem. Przedstawiłem mu jedynie sprawę i prosiłem, aby — anonimowo — powiedział, co o niej myśli. Myślał z grubsza to samo, co ja, z jednym wszakże wyjątkiem — nie powinno się w prasie o tym pisać.

Dlaczego?

Ano dlatego, że po pierwsze artykuł o tym nauczycielu nie naprawi zła, które już się wydarzyło. Po drugie — jaką korzyść może mieć społeczeństwo z artykułu stawiającego w złym świetle pracownika oświaty? Żadną, albowiem po jednym krytycznym głosie stan oświaty i tak nie ulegnie poprawie, choćby z uwagi na brak funduszy na podniesienie zarobków, a co z tym idzie — od lat negatywna selekcja do tego trudnego i odpowiedzialnego zawodu, spadnie zaś jeszcze bardziej prestiż nauczycieli, młodzież jeszcze mniej będzie ich szanować... Poza tym, może ten zły pedagog jest dobrym nauczycielem i na lekcjach zachowuje się nienagannie, a że po skończeniu pracy... Słowem, pracownicy oświaty są takimi samymi ludźmi jak wszyscy inni i nie można od nich wymagać, aby przez całą dobę świecili wokół siebie przykładem. Każdemu może przecież się coś zdarzyć. Każdy ma jakieś swoje słabości i słabostki... Tylko czy warto zaraz robić z tego sensację?

4.

A mówi się, że temu, iż nasze gazety nie odzwierciedlają w pełni całej prawdy o życiu we współczesnej Polsce, winna jest wyłącznie cenzura.

JÓZEF RETMAN

2

Lewym okiem

O, Józek przyszedł!

Nie ma w Polsce człowieka, który by nie słyszał o rodzinie Matysiaków. Ta powieść radiowa, która zresztą wcale nie jest powieścią, od kilkunastu lat straciła znaczenie na rezonansie społecznym, ale ciągle ma miliony swoich zwolenników i systematycznych słuchaczy. Kiedy próbuję zastanowić się nad tym fenomenem społeczno-literacko-kulturalnym nasuwają mi się takie skojarzenia.

Przez kilkadziesiąt lat, przez całe międzywojenne dwudziestolecie i jeszcze kilka lat powojennych wychodził w Warszawie tygodnik satyryczny „Mucha". Przez cały czas swego istnienia redagowany przez tego samego Władysława Buchnera (z wyjątkiem lat powojennych). W tygodniku tym powtarzały się stale rubryki, takie jak: „List posła do wyborcy", „List wyborcy do posła", „Antek czyścibut rezonuje", „Poseł Winersztok ma głos". Były to cztery postacie, z których każda na swój sposób i ze swojego punktu widzenia komentowała bieżące wydarzenia. Wszystkie cztery były wytworem tego samego Buchnera, tak więc były to jego własne komentarze rozpisane na głosy, na specyficzne dialekty środowiskowe, zabarwione przynajmniej w zamyśle specyficznym patrzeniem na świat: wiejskiego madrali, sprytnego stołecznego Żyda, cwaniaka czyścibuta.

W mieszkaniu Matysiaków przy ul. Dobrej w Warszawie spotykają się różne typy starych i młodych mężczyzn i kobiet i rezonują czyli mądrzą się o tym, co się właśnie na świecie, a szczególnie w Warszawie, dzieje. Spotykają się zawsze i wyłącznie w tym samym mieszkaniu, nigdy jeszcze nie spotkali się w miejscu pracy, pociągu, na wczasach, na ulicy. Jest to chyba jedyny na świecie, tak sążnisty wytwór pióra ludzkiego dziejący się idealnie w tym samym miejscu, przez tysiące odcinków radiowych. Żeby mogli się spotykać ciągle w tym samym miejscu, a w różnych konfiguracjach osobowych, musza koniecznie wchodzić i wychodzić. Jest to w powieści „Matysiakowie" jedyny zabieg dramaturgiczny: wejścia i wyjścia. Każda osoba witana jest owacyjnie: „O Józuś przyszedł!" „O, pan Adam", „O, Maryśka przyszła!..." Tylko tym sposobem, zdecydowali autorzy, można radiosłuchaczom przekazać moment wejścia lub wyjścia jednej z osób. W jednym półgodzinnym odcinku jest takich owacyjnych wejść i pożegnań kilka, co świadczy o niezwykle częstym wizytowaniu się mieszkańców Powiśla, a stanowi przy tym efekt niezmiernie nużący. Przyznaję jednak, że inaczej chyba nie można, a w każdym razie trudno byłoby tu coś mądrego wymyślać.

Normalna powieść i w ogóle każdy utwór literacki ma jakąś zamierzoną konstrukcję, a więc początek, rozwinięcie, zakończenie, które powinno zawierać w sobie jakąś pointę lub morał. „Matysiakowie" nie mogą mieć żadnego zakończenia i nie zmierzają do żadnej pointy. To jest magma, to jest niekończący się strumień, który może tylko zostać porzucony, zaniechany, przerwany. Autorzy „Matysiaków" pilnie czytają prasę, potrafią wychwycić z niej ciekawostki, przetworzyć taką interesującą wzmiankę gazetową na dwu- trzyosobowy dialog, włożyć ten dialog w usta swych zmyślonych bohaterów, potem ci bohaterzy rezonują każdy na swój sposób, jak niegdyś poseł Winersztok i Antek czyścibut.

Jest niemała rzesza radiosłuchaczy, którzy tylko tą drogą dowiadują się o światowych wydarzeniach. W tym też leży wielkie znaczenie audycji, jest w niej niezaprzeczalna, pozytywna rola społeczna.

Pierwszą powieścią, napisaną specjalnie dla radia była przedwojenna „Anielcia i życie" Marii Kuncewiczowej. Była to próba autentycznej powieści, tyle, że rozpisanej na głosy, jak w teatrze. Wydana później w książce trudna była do czytania. O ile wiem, „Matysiaków" wydano także w formie książkowej, myślę, że czytanie tego było straszną piłą i że prób takich podejmować nie musimy. Na antenie „Matysiakowie" mają swoje dobrze zagospodarowane miejsce, cieszą się wieloletnim przywiązaniem milionów ludzi, powtarzają im jak plotkę każdą ważniejszą informację o otaczającej nas rzeczywistości, robią to zręcznie, z dużym wyczuciem hierarchii zdarzeń nie pozostaje więc nic innego jak tylko życzyć im długich jeszcze lat towarzyszenia nam w naszych małych i większych biedach.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Sport

Kalkulator rządzi sportem

Zakończył się 41 Wyścig Pokoju. Polska zajęła trzecie miejsce. Kibice są rozżaleni. Kibice mieli nadzieję, że dzięki Ryszardowi Szurkowskiemu polskie kolarstwo wróci na europejską arenę przynajmniej, a już w Wyścigu Pokoju odgrywać będzie czołową rolę. Nadzieje te okazały się płonne. Kibice oraz obserwatorzy mówią, że wyścig stał się nudny, że już na starcie dzieli się role i później nic się nie zmienia. Kolarze odbywają wycieczkę przez CSRS, Polskę i NRD. Coś z tym trzeba zrobić, aby wreszcie wyścig stał się wyścigiem! — tak twierdzą również dziennikarze, którzy od kilku lat przyglądają się tej kolarskiej imprezie.

A Ryszard Szurkowski jest zadowolony. Jego zdaniem — co powiedział przedstawicielowi „Sztandaru Młodych" i nie tylko jemu — należy „start naszej drużyny ocenić pozytywnie chłopcy walczyli ambitnie, starali się realizować założenia taktyczne i, w moim odczuciu — powiada Ryszard Szurkowski — nie zawiedli". Przypomniał też, że „w zasadzie przyjechaliśmy na 41 Wyścig Pokoju z drużyną debiutantów". No, bo choroby osłabiły planowany skład.

To, kto rządzi w polskim kolarstwie? Dobry szkoleniowiec powinien być przygotowany i na taką ewentualność. Jeśli natomiast trener, bądź co bądź kadry narodowej, chwali swoich podopiecznych za to, że „walczyli ambitnie", że „starali się realizować" i że „nie zawiedli", to mam głębokie wątpliwości, czy w tej kadrze aby dobrze się działo? I co dalej z polskim kolarstwem?

Inny trener, z którego śmieje się już prawie cała piłkarska Polska, powiada zupełnie poważnie po skandalicznym wręcz meczu polskiej drużyny z Irlandią, że „...wygraliśmy drugą połowę". Tak, ale cały mecz przegraliśmy 1:3. Niedługo dojdzie do tego, że trener reprezentacji, bądź co bądź narodowej, będzie chwalił dzielnych piłkarzy za to, że zechcieli wyjść na boisko, wysłuchać „Mazurka Dąbrowskiego" w należytym skupieniu oraz starali się nie zejść z boiska przed upływem wymaganych regulaminem 90 minut. Może nawet zacznie się za taką „postawę" wypłacać wysokie premie.

Byliśmy niegdyś — i było to nie tak dawno — liczącą się dużyną piłkarską, polscy kolarze sięgali po mistrzowskie tytuły, siatkarze przywozili olimpijskie medale i tak dalej. Dziś wspomnienia minionych to lat i niejeden młokos będzie myślał, że bajki mu się opowiada. Dziś staliśmy się sportowymi dziadami Europy i nie tylko. Zupełnie nie wiem, po co przeszło 200 osób jedzie do Seulu? Na szczęście piłkarze tam nie pojadą, bo już dość przynieśli nam wstydu.

Wygasły ambicje w polskich sportowcach, wygasły ambicje w działaczach sportowych, a sportem zaczął rządzić kalkulator. Marek Leśniak — były polski piłkarz — policzył sobie to i owo i zniknął nagle jak ten sen, w mgle się rozpłynął. Nie powrócił z zagranicy. A przecież PZPN nie stawiał mu przeszkód w przejściu do Bayeru Leverkusen. O co więc chodzi? O pieniądze niewątpliwie.

A przecież na tym Zachodzie, gdzie tak chętnie uciekają i emigrują legalnie polscy sportowcy są jeszcze ludzie, którym ambicje nie są obce. Oto włoski kolarz Francesco Moser zapowiedział wprawdzie zakończenie kariery, ale nim to się stanie postanowił pobić rekord świata w godzinnej jeździe na krytym torze. I słowa dotrzymał. A ma on już 36 lat, co dla sportowca to wiek przedemerytalny. A mimo to. Proszę jak się chce, to wszystko można osiągnąć.

Rzecz w tym, że naszym sportowcom nie chce się po prostu. My tu narzekamy na reprezentację, ale jej słabość bierze się z braku siły w naszej lidze cotygodniowej. To, co się teraz dzieje na boiskach piłkarskich woła o pomstę do nieba, bo PZPN i wszelkie inne organizacje — z prokuraturą włącznie — są bezsilne. Na meczu Widzewa z poznańską Olimpią nie bez powodu kibice krzyczeli: — „Ile dostaliście?". Kiedyż to bowiem Widzew pozwalał sobie strzelić aż 4 gole na własnym boisku i to pod koniec rozgrywek? No, chyba tylko wtedy, kiedy nie jest zainteresowany zajęciem wyższego niż 6 miejsca. Tak to się właśnie teraz dzieje.

Podobnie sprawa wygląda z piłkarzami ŁKS. Leszek Jezierski robił co mógł, ale okazało się, że mało może. Drugie lub trzecie miejsce dla piłkarzy ŁKS okazało się zbyt ryzykowne. Trzeba byłoby występować na dobrych zagranicznych boiskach, a wtedy w konfrontacji z zagranicznymi zespołami wyszłoby, jak szydło z worka, wszystko, co w umiejętnościach tej drużyny jest najgorszego.

Wcale nie trzeba być wielkim znawcą sportu, aby przewidzieć przed meczem Górnik Zabrze z Legią, że Puchar Polski zdobędzie Legia, bo Górnik ma już niemal w kieszeni mistrzostwo Polski. Kalkulator zadziałał.

Płyną w Polsce na sport ogromne pieniądze. Posłowie na Sejm PRL ustalili, że Zabrzańskie Gwarectwo Węglowe przez niespełna 2 lata wpłaciło do kasy Górnika Zabrze 190 milionów złotych. Pieniądze te następnie wkalkulowano w koszty wydobycia węgla. Zapłacili rolnicy, ludzie mieszkający na przedmieściach, w małych miasteczkach, na wsi, którym węgiel jest niezbędny. Zapłacili też emeryci. Zapłaciliśmy wszyscy. Kupując cokolwiek do wytworzenia czego potrzebny jest węgiel dopłacam do chwały drużyny piłkarskiej Górnika Zabrze i nie tylko. Prokuratura natomiast nie dopatrzyła się niczego złego w transferach Krzysztofa Budki i MKS Zagłębie Lubin. W świetle prawa jest to czyn o małej szkodliwości społecznej. A w świetle interesów tego społeczeństwa?

BOGDA MADEJ

ZBIGNIEW NIENACKI

(4)

Dagome iudex

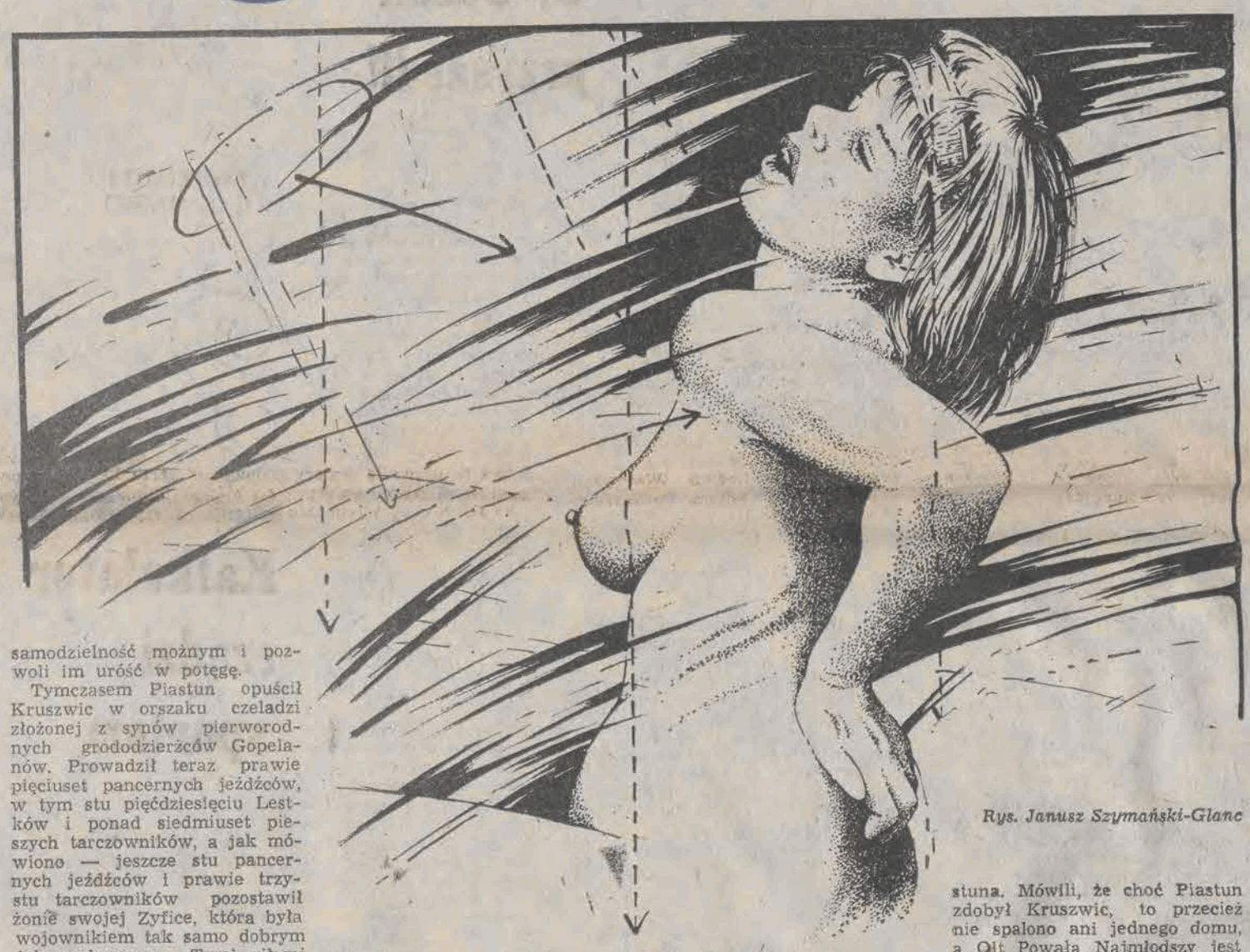

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Otworzyła wrota stajni i wślizgnęła się do wnętrza. Ogarnął ją ostry duszący zapach końskiego potu i końskich odchodów, ale on był dla niej przyjemny, a nawet podniecający, ponieważ zawsze go czuła, gdy miała przyjemność z kozłem. Ten zapach zapowiadał niebywałą rozkosz i dlatego, nawet w dzień pod byle jakim pretekstem zaglądała do stajni, żeby go wciągnąć w nozdrza. W stajni było ciemno, koniuch głośno chrapał na swoim posłaniu, końskie pyski chrupały owies. Pomyślała, że na złość księżnej zrobi sobie jeszcze raz w jej stajni tę obrzydliwą przyjemność i po omacku sunęła pod ścianą aż do kąta, gdzie trzymała kozła. Jak zwykle wyciągnęła w ciemnościach rękę, aby namacać palcami kosmate futro zwierzęcia, ale jej palce trafiły w próżnię. Nie, nie było kozła w kącie, ktoś go zabrał, wyprowadził gdzieś, ukradł.

Potknęła się o coś, leżącego na gnoju. Przykucnęła i znowu namacała rękami. Natrafiła palcami na kosmate futro pokrywające zimne i martwe ciało zwierzęcia. Pełna grozy i bólu, gniewu i żalu, sunęła dłońmi po kosmatym futrze aż natrafiła na szyję, na zakrzepłą krew i leżącą obok odciętą siekierą lub mieczem głowę zwierzęcia. Kto to zrobił? Komu księżna zdradziła jej tajemnicę?

Hodon i Jaszczołt. Tak, to byli kochankowie księżnej, a kochankom o różnych sprawach się opowiada. Zemścili się na księżnej, kładąc jej na poduszce głowę Gizura. Zemścili się też na Miłce, ponieważ wiernie służyła księżnej, i położyli na gnoju głowę kozła.

Nie jęknęła z bólu i żalu, aby nie zbudzić koniucha. Cichuteńko wymknęła się ze stajni i pobiegła do dworu. Weszła do pustej już sali tronowej i tam zaczęła płakać. Tam też po jakimś czasie aż zdrętwiała, przeszyta pytaniem, czemu to Helgunda właśnie tej nocy rozmawiała z nią o koźle i kazała go nazajutrz wydalić z grodu. Z czyjego więc rozkazu ucięto głowę kosmatemu zwierzęciu — Jaszczołta, Hodona czy Helgundy?

Bezszelestnie — tak jak przedtem — powróciła do sypialni księżnej i położyła się na futrze obok łoża. Ale nie zasnęła aż do świtu. Bezdźwięcznie poruszała wargami i powtarzała: „Przyjdź Piastunie, zniszcz całe Gniazdo. Przyjdź Piastunie, przyjdź. Piastunie"...

GNIAZDO

Potężne było państwo Visulan. Jego zachodnia granica biegła szczytami Gór Sarmackich zwanych też Sudetami, od południa broniły jej niedostępne łańcuchy Karpatos, gdzie żyły dzikie i nikomu nie podległe plemiona. Wschodnia granica ciągnęła się po rzece Styr i Buck aż do grodu Brest, od północnego zachodu zaś sięgała rzeki Pilicy. Od północy Wisulanie sąsiadowali z Krajem Ludzi Skrzydlatych, który ich oddzielał od państwa Popiołowłosych.

Nie bali się władcy Visulan tego, co może im zagrozić z północy, a jedynie lękiem napełniała ich Brama Morawska, nizinna przestrzeń między łańcuchami gór Karpatos. Na południu bowiem rosło w potęgę państwo zwane Wielka Morawa, rządzone przez księcia Rostislava, który przyjął chrzest od mnichów cesarza Rhomajów, wycinał Święte Gaje, obalał drewniane posągi starych bogów i na ich miejsce kazał wznosić chrześcijańskie kościoły, aby cały lud na południu został zjednoczony jedną wiarą. Raz po raz też ową Bramą Morawską przenikały do państwa Visulan uzbrojone oddziały Wielkiej Morawy i czyniły ogromne spustoszenie. Dlatego to książę Karak — aby skończyć z owymi atakami — zebrał koło grodu zwanego Visulica całą swoją potęgę wojskową i na jej czele postawił swego syna Karaka II. Spod Visulicy miał Karak II ruszyć z wojskiem w Bramę Morawską i wypędzić z niej wojowników Wielkiej Morawy. I tutaj właśnie, w grodzie Visulica młody książę Karak II przebił mieczem ojca swego, księcia Karaka, ogłaszając się jedynym władcą Visulan.

Nie wszyscy uznali nowego pana. Rozproszyło się wojsko zgromadzone pod Visulicą, część jego została przy nowym władcy, a część z nich dowodzona przez możnych odeszła do grodu Karradonon, piętnując młodego księcia jako ojcobójcę. Marzyła się bowiem możnym taka sama wolność i samodzielność jaką mieli Powałowie, Duninowie i Łabędzie w państwie Popiołowłosych. Gród Karradonon ogłosili niepodległym i niezależnym od Karaka II.

Na próżno więc księżna Helgunda słała raz po raz posłańców do młodego księcia, prosząc go o pomoc, wiedziała bowiem, że po zdobyciu Kruszwic wkrótce otoczą Gniazdo wojska Piastuna. Karak II nie mógł jednak spełnić danego jej przyrzeczenia, ponieważ najważniejszą dla niego sprawą było utrzymanie jedności własnego państwa i pokonanie możnych w Karradonon. Zebrał wojsko, które okazało mu wierność i zamiast pójść przeciw Wielkiej Morawie albo na pomoc Helgundzie, ruszył oblegać Karradonon. Miłe są uściski kobiety, ale jeszcze milsza władza nad całym państwem Visulan. Na przykładzie państwa Popiołowłosego zdawał sobie sprawę co to oznacza, gdy da się samodzielność możnym i pozwoli im urość w potęgę.

Tymczasem Piastun opuścił Kruszwic w orszaku czeladzi złożonej z synów pierworodnych grododzierżców Gopelanów. Prowadził teraz prawie pięciuset pancernych jeźdźców, w tym stu pięćdziesięciu Lestków i ponad siedmiuset pieszych tarczowników, a jak mówiono — jeszcze stu pancernych jeźdźców i prawie trzystu tarczowników pozostawił żonie swojej Zyfice, która była wojownikiem tak samo dobrym jak mężczyzna. Tymi siłami miała Zyfika bronić Kruszwic w razie czyjegoś buntu albo napaści wroga, słyszało się bowiem pogłoski o wiecach wojennych Estów, którzy sądzili, że rozpadło się państwo Popiołowłosych i można ich kraj łupić bezkarnie.

Ruszył Piastun na Gniazdo w porze żniw, z początkiem miesiąca zwanego Sierpień. Za konnymi i pieszymi wojownikami jechało mnóstwo wozów z paszą dla koni, namiotami i innymi potrzebnymi w drodze rzeczami; gnano też stada bydła i owiec na jadło dla wojska. Albowiem Piastun zabrał wszystko co się dało z Kruszwic i jego okolic. Tych, którzy narzekali, że Piastun okradł Gopelanów z całego ich dobra, skazywały Sądy Ludowe i natychmiast wieszały na drzewach.

Wojskami konnymi dowodził Pałuka, wojskami tarczowników — Awdaniec. A że każda z tych armii została też podzielona na mniejsze oddziały, tedy musiał Dago mianować kilku nowych dowódców, których nazwano setnikami albo władykami. Natomiast trzynastoletni Olt Powała Najmłodszy otrzymał tytuł wojewody, i w ten sposób uhonorowany został jego ród oraz żołnierze z Kruszwic, choć on sam nikim i niczym nie rządził.

Potężną armię Piastuna poprzedzali konni jeźdźcy i ludziom zajętym żniwowaniem mówili, że nie muszą przerywać swej pracy i uciekać w lasy, gdyż od nadchodzącego wojska nic im nie grozi. Przeciwnie: komu uda się dostać do Piastuna i skraj jego szaty ucałować, dar otrzyma i wolność, ponieważ Piastun jest Dawcą Wolności. Nikt więc nie uciekał w lasy jak to dawniej bywało, gdy szło wojsko Nielubów albo Helgundy, ale prości kmiecie zbliżali się do wojska i wypatrywali Piastuna na białym koniu, w złoconym pancerzu, w białym płaszczu i ze świętą Andalą na białych włosach. Kto się zbliżył do niego mimo otaczającej go straży złożonej z Lestków, padł na twarz i skraju jego płaszcza dotknął, zdarzało się mu otrzymać kawałek złota albo srebrnego denara. Przytrafił się nawet taki przypadek, że człowiek, który nie wiadomo dlaczego od wielu lat chromał na jedną nogę, po dotknięciu skraju płaszcza Piastuna władzę w chromej nodze odzyskał. W drodze było kilka przypadków rabunku a nawet gwałtu ze strony wojska, ale Sądy Ludowe działały sprawnie; powieszonych oddawano na pastwę krukom. Ludzie mówili: „naprawdę Piastun jest Dawcą Sprawiedliwości".

Nakazał też Piastun, aby zawsze przestrzegano prastarych obyczajów, omijano Święte Gaje i oddawano cześć wróżom. Zważał także na honor rodów i pozwolił, aby rody znalazły swoje miejsce w poszczególnych oddziałach, a nie zostały rozproszone. Tłumaczył Piastun wojewodom, że ludzie z sobą krwią związani lepiej razem walczą i gotowi są ginąć jeden za drugiego. Naczelników największych rodów uczynił władykami.

Na Wroniej Górze oddał ofiarę bogom i własnoręcznie uciął głowę bykowi, jego krwią polewając święty kamień. Potem bardzo długo sam na sam rozmawiał z nowym wróżem. Od niego to dowiedział się, że Helgunda na próżno oczekuje pomocy od Karaka II, nie ma zapasów na czas oblężenia grodu. Rozkazał sobie powróżyć z popiołu,żaru ognia, z wnętrzności zabitego byka i wszystkie wróżby wypadły dla niego pomyślnie. Obdarował więc Dago wróża i ruszył dalej na Gniazdo, choć było dla niego oczywiste (nikomu jednak o tym nie mówił), że choćby miał pięć razy potężniejszą armię — nie zdobędzie warowni Gniazda, gdyż była ona nieopisanej mocy. Tylko głód mógł coś wskórać, ale to wiązało się z długotrwałym oblężeniem i niebezpieczeństwem, a w tym czasie Karak II zdoła stłumić bunt możnych i przybędzie Gniazdu z odsieczą. Wiózł więc Piastun dwie skrzynie złota, albowiem — jak mu to już powiedział Popiołowłosy — złoto otwiera wszystkie bramy i wytrąca oręż z ręki wrogów.

Wkrótce dowiedział się Dago, że księżna Helgunda popełniła wielki błąd, trując Jaszczołta i Hodona, a przede wszystkim ich ciała rzucając do jeziora na poniewierkę i pogardę. Miał Jaszczołt młodszego brata także Jaszczołta, który służył w Gnieździe i miał Hodon brata Hodona. Ciała otrutych potajemnie nocą wydobyli oni z wody, spalili, a następnie uciekli w poszukiwaniu zemsty na Helgundzie. A że zemsta mogła spotkać Helgundę tylko ze strony Piastuna, do niego to trafili i zostali łaskawie przyjęci w jego namiocie.

Dowiedział się od nich Piastun, że załoga Gniazda liczy stu pięćdziesięciu Normanów z Jumna oraz tyluż wojowników, którzy byli związani z rodem Popiołowłosych i złożyli przysięgę Aslakowi. Gród miał zapasy żywności na pół roku oblężenia. Pomoc Helgundzie obiecali Duninowie z Poznani i Łabędzie z Lądu, był dla nich bowiem Piastun jak gdyby największym Lestkiem wśród Lestków, pogromcą książąt i możnych. Czy jednak dotrzymają obietnicy i przyjdą Helgundzie z pomocą, tego nie można było przewidzieć.

Piastun kazał przywołać do namiotu Olta Powałę Najmłodszego ubranego we wspaniałą kolczugę, pozłacany hełm i biały płaszcz wojewody.

— Spójrzcie, jako ja szanuję stare rody — powiedział Hodonowi i Jaszczołtowi. — Jeśli Duninowie i Łabędzie oddadzą się w moje piastowanie, otrzymają także białe płaszcze i tytuły wojewodów oraz będą nadal panami swoich grodów. Ty, Jaszczołcie, zawieziesz tę wieść do Poznani i do Lądu. Tobie zaś Hodonie proponuję, abyś stał się przywódcą wszystkich Normanów, którzy oddadzą się w moje piastowanie. Wcielę ich do swojej armii i poprowadzę do zwycięstwa.

Przypomniał sobie Hodon, że w porze letniej posuchy przez jedno z jezior otaczających Gniazdo może przejść mężczyzna zanurzony tylko po pas. Jest w warowni Gniazdo tajne wyjście do wody i do łodzi. On, Hodon, powróci do Gniazda, porozumie się z innymi Normanami i zorganizuje spisek: otworzy tajne przejście, aby oddział Piastuna mógł wejść po cichu do warowni i zdobyć ją zdradziecko.

Wtedy Piastun złożył przysięgę na swój miecz zwany Tyrfingiem:

— Ja, Dago pan i Piastun obwieszczam uroczyście, że jako Dawca Wolności uczynię wolnym mój lud uciskany w Gnieździe a jako Dawca Sprawiedliwości wymierzę karę tylko tym, co okażą mi opór.

Zanim więc Piastun otoczył swym wojskiem warownię Gniazdo i jego podgrodzia, już Jaszczołt zdołał przybyć do Poznani i wstrzymał wymarsz wojsk Duninów na pomoc Helgundzie. Również dotarli do Gniazda kupcy i wędrowni rzemieślnicy, opowiadający o wolności jakiej lud zazna od Piastuna. Mówili, że choć Piastun zdobył Kruszwic, to przecież nie spalono ani jednego domu, a Olt Powała Najmłodszy jest u boku Piastuna i wraz z nim pragnie zdobyć Gniazdo. Zjawił się też w Gnieździe Hodon, twierdząc, że dostał się do niewoli Piastuna i przebywał u niego jakiś czas, sprytem jednak uwolnił się z więzów i powrócił, aby bronić Helgundy. Wypytywali go Normanowie o to, jak mu było u Piastuna, jaką ma siłę i kim jest w istocie. Różnie różnym ludziom opowiadał młody Hodon. Dziesięciu Normanów udało mu się dopuścić do spisku, wśród nich zaś przywódcę, Nora. Miał bowiem żal Nor do Helgundy, że dała mu władzę nad wojownikami, ale swojego ciała poskąpiła, co przyjął jako wyraz jej pogardy dla siebie. Tak jednak był nieufny, że nocą, tajnym wyjściem wydostał się z warowni i spotkał osobiście z Piastunem.

— Najmitom nie wolno łamać przysięgi wierności, bo nikt im potem nie zaufa — tłumaczył Dagonowi przywódca Normanów. — Pozwolimy, abyś wszedł do warowni i nie wyciągniemy mieczy. Dochowana jednak musi być przysięga wierności. Pozostawisz przy życiu księżnę Helgundę i jej syna Aslaka, a potem odeślesz ich wolnymi do Jumna.

— Tak się stanie. Przysięgam — uroczyście oświadczył Dago.

A kiedy to mówił był pewny, że dotrzyma przysięgi. Albowiem zgodnie ze sztuką rządzenia ludźmi władca może złamać przysięgę wobec pojedynczego człowieka, natomiast nie należy tak postępować wobec prawie dwustu Normanów, którzy potrafili lepiej walczyć niż niejeden z żołnierzy Piastuna. Tych ludzi chciał mieć Dago po swojej stronie.

W wieczór poprzedzający noc, jaką Nor wyznaczył na opanowanie Gniazda, wybrał Dago trzydziestu Lestków, o których już miał sąd, że są odważni i sprytni oraz nie odstąpią go w chwili niebezpieczeństwa. Nie zważał na godności, gdyż sam postanowił przewodzić grupie. Dlatego przy jego boku znalazł się wojewoda Awdaniec, zaś wojewoda Pałuka miał na dany mu z wałów warowni znak żagwią zająć wojenną pozycję przy bramach podgrodzia.

Wyprawa trzydziestu zbrojnych, którzy mieli przejść nocą przez płyciznę jeziora i dostać się do warowni tajnym wejściem, była przedsięwzięciem niebezpiecznym. Kto mógł zaręczyć Dagonowi, że Nor nie gotuje zdrady? Skąd można było wziąć pewność, że kiedy przebrną przez jezioro i staną u ścian warowni, nie spadną na nich kamienie, belki, a z tajnego wejścia nie wypadną Normanowie i nie wyniszczą przybyłych aż do ostatniego? Dago jednak upierał się przy tej niebezpiecznej wyprawie, on bowiem jeden wiedział, że Gniazdo można zdobyć tylko zdradą lub podstępem.

Dlatego Dago musiał zawierzyć Hodonowi i Norowi, pójść przez płyciznę aż do tajnego wejścia, zdobyć Gniazdo podstępem i zdradą. A jego „tak", stało się „tak" dla Awdańca i Pałuki.

Nadeszła noc ciemna i duszna, zapowiadająca burzę, ale znikąd nie słyszało się grzmotów. Helgunda, która późnym wieczorem wyszła na chwilę na wał obronny, widziała najpierw tylko ogarnięte mrokiem jezioro, a dalej — jak okiem sięgnąć — dziesiątki ognisk oblegających Gniazdo wojsk Piastuna. Nie lękała się ich, gdyż jak to sobie obliczyła, starczy zapasów aż do chwili, gdy Karak upora się z możnymi i przyjdzie jej z pomocą. Lada dzień spodziewała się także pojawienia na tyłach wojsk Piastuna obiecanych jej oddziałów Duninów i Łabędziów. Nie mogła tylko pogodzić się z myślą, że tak łatwo ów Piastun pokonał Powałę Starszego i stał się panem Kruszwic. Mało tego, jakimś czarodziejskim sposobem spowodował, że *wszystkie wojska Powałów* ruszyły z Piastunem przeciw Gniazdu. Jakiego sposobu użył ów Piastun, aby dokonać tego, o czym ona z Gizurem wspólnie rozmyślała przez wiele dni i nocy? Czy naprawdę, jak opowiadano, pochodził z rodu olbrzymów, owych wymarłych Spalów? Czy to możliwe, że sztuki rządzenia uczył go cesarz Rhomajów a potem król Franków?

Patrzyła więc Helgunda w mrok nad jeziorem i w połyskujące ogniska na brzegu. Nie wiedziała, że w tym czasie młody Hodon stawił się przed Piastunem i gotów był poprowadzić oddział przez płyciznę na jeziorze.

Wędrowali przez płyciznę nieskończenie wolno i nieskończenie długo. Aż wreszcie znaleźli się tuż pod wysokim wałem obronnym, najeżonym trzema rzędami pochylonych ku jezioru zaostrzonych pali. „Każdy zamek Franków można zdobyć. Tego nikt nigdy nie zdobędzie" — pomyślał Piastun i znowu poczuł ogromny szacunek dla Nielubów Popiołowłosych, którzy potrafili w taki sposób bronić swoich siedzib. I zadał sobie pytanie: czemu ten kraj tak potężnie ufortyfikowany, nie został nigdy odnotowany w „Rocznikach Fuldajskich" a tylko plotki krążyły o nim wśród uczonych mężów w Akwizgranie. Czy Nielubowie Popiołowłosi, celowo rozpuszczali wieści, że za Viaudą żyją tylko ludy dzikie, nie uznające żadnej władzy? Być może chcieli, aby ich pozostawiono w spokoju, pozwolono urosnąć w potęgę równą margrabiom frankijskim. I tylko Golub przez swoją dobroć zmarnował ich wysiłek. Nie do końca przecież. On, Piastun, jeśli zdobędzie Gniazdo, stworzy tu państwo potężniejsze od Nielubów i też każe Herimowi rozpuszczać wieści o tym, że lud tu dziki, bez bogactw, a ludzie raz do roku w wilki się zmieniają.

C.D.N